

Ludwik Stomma  
SbuAAcsJjE,  
polskie.

) Copyright by Demart SA Wszelkie prawa zastrzeżone.

Warszawa 2008 Żadna część ani całość wydawnictwa Skandale polskie nie może być reprodukowana ani przetwarzana w sposób elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny i inny, nie może być użyta do innej publikacji oraz przechowywana w jakiegokolwiek bazie danych bez pisemnej zgody Wydawcy.

Wydawca: Demart SA

02-495 Warszawa

ul. Poczty Gdańskiej 22a

tel. (0-22) 662 62 63

fax (0-22) 824 97 51

<http://www.demart.com.pl>

e-mail: [info@demart.com.pl](mailto:info@demart.com.pl)

Biuro handlowe

tel. (022) 498 01 77/78

fax (022) 753 03 57

e-mail: [biuro.handlowe@demart.com.pl](mailto:biuro.handlowe@demart.com.pl)

Redakcja: Elżbieta Olczak

Projekt graficzny i projekt okładki: Krzysztof Stefaniuk

Fotografie: Agencja Fotograficzna BE&W,

Archiwum Dokumentacji Mechanicznej w Warszawie, East News, „Forum” Polska Agencja Fotografów, Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, Muzeum Teatralne w Warszawie, Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, PAP-Foto, Skansen w Ciechanowcu

Przygotowanie zdjęć do druku: Tomasz Góra

Korekta językowa: Izabela Jesiołowska

Skład i łamanie, przygotowanie do druku: Tomasz Góra

ISBN: 978-83-7427-422-7

Wydanie 2008 r.

.; .

Skandale polskie

łownik języka polskiego pod redakcją Witolda Doroszewskiego definiuje skandal następująco: „coś, co wywołuje zgorszenie, oburzenie; rzecz gorsząca, zawstydzająca, postępek przynoszący wstyd; awantura”. Jest to dosyć zgodne z etymologią słowa, które wywodzi się, poprzez przejęte z łaciny kościelnej „scandalum”, z greckiego, również liturgicznego, „scandalon”, co w obu przypadkach jest odpowiednikiem „mikchól” - zgorszenia, rzeczy stwarzającej okazję do grzechu. Znacznie mniej jednak zgodne z potocznym rozumieniem pojęcia.

Słownik języka francuskiego Paula Roberta wyróżnia już cztery znaczenia „skandalu”, z których tylko pierwsze zbliżone jest do proponowanego przez Doroszewskiego. Drugie to: zamieszanie, hałas w miejscu publicznym (stąd polskie skandować); trzecie: sprawa, afera, która porusza opinię publiczną; czwarte wreszcie: zdarzenie niemoralne, szokujące. W tradycji polskiej odnajdujemy bez trudu wszystkie te znaczenia. Przypomnijmy choćby żartobliwy wierszyk Boya Litania ku czcip.t. matrony krakowskiej o panoszeniu się starszych pań, zakończony strofą:

„I tylko w tęsknocie żyjem, Czy nie wstanie jaki Wandal, Co przepędzi babę kijem I zakończy raz ten skandal!...”.

Skandale polskie

W historii przyjęty jest na przykład termin „skandal panamski”, czyli zdemaskowanie nadużyć przy budowie Kanału Panamskiego. Raz po raz słyszymy o skandalicznych wypowiedziach tego czy owego, gdy chodzi najczęściej o wulgarność, przekraczanie granic dobrych manier czy też ekstremizm poglądów. Jednak już skandaliczne zachowanie kibiców, to najczęściej wandalizm i pijackie ryki.

Są przecież i skandale pozytywne. „Im większy skandal wybuchnie wokół tej sprawy, tym większa szansa na powodzenie naszego protestu”. „Sztuka musi być skandalem”. „Każda nowość jest skandalem”. Niejako podsumowując te dosyć wyświechtane zdania, napisał Emil Zola, iż „skandal jest niezbędny w życiu społecznym”. Chodziło mu konkretnie o słynny proces oskarżonego niesłusznie o szpiegostwo na rzecz Niemiec francuskiego kapitana Alfreda Dreyfusa. Sprawa zyskała kolosalny rozgłos. Podzieliła Francuzów na dwa obozy, ale ostatecznie przyczynia się do uwrażliwienia i demokratyzacji społeczeństwa. „Największym skandalem średniowiecza” nazwał Pierre Pierrard pojawienie się Joanny d'Arc na zamku w Chinon, przed obliczem króla Karola VII. Bo też rzeczywiście młoda, drobnoszlachcianeczka doradzająca, a właściwie rozkazująca władcy - to sprzeczne było ze wszelkimi obowiązującymi normami, musiało gorszyć, a już na pewno szokować współczesnych. Z kolei sens tytułu sławnej powieści El escandalo Pedra de Alarcóna jest wysoce ambiwalentny. Czy jest skandalem libertynizm Fabiana, czy właśnie jego nawrócenie? A jakby tego wszystkiego było mało, skandal jest często subiektywny. Co dla jednych jest skandalem, dla innych nim wcale być nie musi. Tak jak w satyrycznym wierszyku Mariana Hemara o kanapowej partii komunistycznej w Wielkiej Brytanii uskarżającej się na niedopuszczenie do Telewizji BBC:

„To, powiadają, skandal, My też mamy zadanie By przed elektoratem stanąć I program swój rozwinąć Wyborcom przed oczyma...”.

Skąd my to znamy? - chciałoby się powiedzieć. I skąd znamy słowo skandal odmieniane przez wszystkie przypadki i pojawiające się we wszelkich kontekstach, aż w końcu traci jakikolwiek sens. Jakże więc wprowadzić tu minimum dyscypliny i wytłumaczyć, o czym ta książka?

Przyjęliśmy dość eklektyczne rozumienie „skandalu”, chyba najbardziej jednak odpowiadające potocznej intuicji. Skandal to dla nas wydarzenie głośne, sensacyjne, szokujące i poruszające opinię publiczną. Takie, o którym właśnie z powodu sensacyjnego i szokującego charakteru opowiada się później przez lata. Jednocześnie są to zawsze wydarzenia niejako z marginesu historii. Poruszyły i podnieciły współczesnych, nie wpłynęły jednak znacząco na bieg dziejów. Dlatego sprawa Dreyfusa nie znalazłaby już miejsca w tym tomie. Skądinąd jednak warto o tych skandalach pamiętać. Ukazują one, często lepiej niż najporządniejsze podręczniki, ducha swoich czasów.

Liczba opisanych skandali politycznych, erotyczno-matry-monialnych, towarzyskich, sądowniczo-kryminalnych i tym podobnych zwiększa się w naszej książce w miarę zbliżania się do naszych czasów. Nie dlatego, żeby były bardziej skandaliczne. Po prostu Basia, moja żona, powiedziała mi, że bliższa koszula ciału - wszystkich bardziej interesuje, co im chronologicznie bliższe, z czym bardziej można się utożsamić. Zawsze słucham Basi. Stało się więc i tym razem podług jej życzenia.

Kazimierz Wielki, król Polski w latach 1333-1370. Obraz Władysława Łuszczkiewicza zatytułowany Kazimierz Wielki u Esterki, 2. poł. XIX w.

## 1 Skandale polskie

DrtkA Ocku

%.. f

IO ■:■:[.■/ -:: :-:-:-:- \ ,

azimierz Wielki lubił kobiety, że zaś, piastując królewskie stanowisko, na niejedno mógł sobie pozwolić, więc też jego skandaliczne miłosne i matrymonialne przygody stały się głośne w całej Europie, acz - przychodzi to ze smutkiem stwierdzić - nie zawsze wystawiały mu najlepsze świadectwo.

Zacząjeszcejako królewicz. Podczaspobytu na dworze węgierskim zgwałcił tam niejaką Klarę Zach. Branie kobiet przemocą przez możliwych tego świata nie było w średniowieczu rzadkością i nikt by się zapewne krzywdą pięknej ponoć Klary nie przejął. Niestety, nierozsądna dziewczyna wpadła na nieszczęsny pomysł poskarżenia się ojcu (jakby przysługiwało poddanym prawo do oceniania postępów władców i ich dostojnych gości). Felicjan Zach, ojciec Klary, był możnowładcą ambitnym i porywczym. Wysłuchawszy opowieści córki, stracił całkowicie panowanie nad sobą. W ataku szału wdarł się na monarsze komnaty i rzucił z mieczem na węgierską parę królewską, którą uznał odpowiedzialną za czyny przybysza z Polski. Król został lekko ranny, królowa zaś straciła cztery palce u prawej ręki. Kara była straszliwa. Felicjan został żywcem poćwiartowany, a cała jego rodzina, aż po odległych kuzynów, wycięta w pień. Przeżyła tylko sama Klara, której, jako bezpośredniej sprawczyni nieszczęścia, zgotowano los szczególnie okrutny. Ucięto jej otóż wargi, nos i palce u rąk, po czym obwożono w żelaznej klatce po całym kraju, ludziom ku przestrodze i na pośmiewisko.

■41

## Skandale polskie

Kazimierz był w trakcie tych wydarzeń od czterech już lat żonaty z Anną Aldoną Litewską, żeby więc nie narażać jej honoru, a także stosunków polsko-litewskich, sprawie nie nadawano w Krakowie specjalnego rozgłosu. Skądinąd Aldona, świadoma swojej czysto politycznej roli w życiu Kazimierza, nie narzekała ani w tym przypadku, ani kiedy docierały do niej wieści o licznych innych miłostkach męża. Bardziej skłonny do potępienia Kazimierza był Kościół. W 1338 roku biskup krakowski Jan Grot, żeby dać wyraz swojej dezaprobacie, przerwał nawet nabożeństwo, kiedy król wszedł do katedry. Takie sprawy łagodzą jednak bez trudu za pomocą nadań i odpowiednio sutych prezentów.

Pomimo niewątpliwego taktu i łagodności Aldony pożycie małżonków układało się co najwyżej poprawnie. Kazimierz nigdy żony nie kochał, wiadomo powszechnie, że poślubić jej nie chciał. Mawiano nawet, że przed ołtarz doprowadzono go siłą, w imię racji stanu, na rozkaz ojca - Władysława Łokietka. Ile w tym prawdy, nie wiadomo. W każdym razie śmierć Aldony Kazimierz, teraz już król, przyjął z ulgą i szybko zaczął się rozglądać za następną żoną. O wyborze zdecydowały oczywiście znowu względy polityczne. Adelajda Haska miała osiemnaście lat (Kazimierz - trzydzieści jeden) i na pewno nie zaliczała się do piękności. Skoro nawet bardzo jej życzliwy kronikarz Jan Długosz napisał, że „była piękniejszą przymiotami serca niż urodą”, to właściwie wystarczy za cały komentarz. Napisałem w Życiu seksualnym królów Polski, że średniowiecze kultywowało sztukę eufemizmów. Kiedy w kronikach francuskich znajdujemy zdanie, iż „Karol VI czasami się zapominał”, oznacza to, że w ataku furii mordował własnych rycerzy. Tak dalece posunięta powściągliwość Długosza we wzmiance o urodzie królowej świadczy po prostu o tym, że królowa musiała być nader mało atrakcyjna. Toteż już od pierwszych dni po ślubie Kazimierz nie krępował się wcale. Posprowadzał, nie tylko do prowincjonalnych zamków, takich jak Opoczno, Czchów czy Krzczów, ale nawet do samego Krakowa, dziesiątki nałożnic, tak że „jakby domy nierządne potworzył”. Adelajda nie miała, rzecz jasna, nic do powiedzenia.

Mogła robić tylko dobrą minę do złej gry i nie zauważać sytuacji, co

O tyle było możliwe, że od kochanek męża dzieliła ją przepaść pod względem pozycji i etykiety.

Kazimierz nie miał jednak najmniejszej ochoty ułatwiać żonie zachowania twarzy. Wręcz odwrotnie, posuwał się coraz dalej. Dopóki były to „murwy”, dopóty wszystko jeszcze jakoś uchodziło. Gorzej, gdy chodziło o regularne faworyty, panoszące się w towarzystwie i afiszujące bliskością z monarchą. Pierwszą z nich była Cudka (nomen omen podobno), córka kasztelana sieciechowskiego Pełki i żona dworzanina Kazimierza, Niemierzy z Gołczy, herbu Mądrostka. To ostatnie akurat nie stanowiło problemu. Rogaty mąż wyprawiony został z poselstwem do papieskiego Avignonu, co skądinąd było dla niego niemałym awansem. Z Cudką miał Kazimierz trzech synów: Niemierzę (jest pewna perwersja w nadaniu mu imienia wyeliminowanego męża matki), Jana i Pełkę.

I tutaj zaczynały się poważne sprawy. Królowa bowiem nie dawała Kazimierzowi potomstwa. Swoje uczucia ulokował więc w nieślubnych synach, których rozpieszczał i uposażał. Tym razem biskupi zaczęli już króla upominać, a gdy zamknął on Adelajdę na zamku w Żarnowcu, rzecz doszła do uszu papieskich. Zirytowany Klemens VI zwrócił się nawet wprost do Kazimierza, „aby oddaliwszy od siebie wszystkie niewolnice, łoża małżeńskiego wszeteczeństwem nie kaził”. Kazimierz nic sobie nie robił z papieskich uwag i nakazów, a w dodatku całą winę za rozpad małżeństwa zrzucił na żonę i, co więcej, zrobił to tak przekonywająco, że następca Klemensa VI w Avignonie, Innocenty VI, już nie do króla Polski, ale do Adelajdy wysłał list z surowym upomnieniem, nakazując jej powrót do męża i pojednanie. Dostawszy jednak od niej zwrotne pismo, przekonujące o winie Kazimierza, zniechęcił się do pośredniczenia w tak złożonej kwestii i przekazał negocjacje w sprawie pogodzenia małżonków w ręce Ludwika Węgierskiego i Wacława Luksemburga, którzy (ich interesy były zresztą sprzeczne) nie bardzo się starali cokolwiek zdziałać. Rozzuchwalony bezkarnością Kazimierz posunął się jeszcze dalej.

Oto w 1355 roku, podobno podczas turnieju rycerskiego, poznał w Pradze piękną mieszczańkę Krystynę Rokiczanę, wdowę

Skandale ; polskie

po rajcy Mikołaju. Jej urodę wynosi pod niebiosa nawet Długosz, tak bardzo skądinąd przeciwny rozpuście królewskiej, a to już naprawdę

o czymś świadczy. Kazimierz we wdowie zakochał się od pierwszego wejrzenia (związek z Cudką zakończył w przyjaźni nieco wcześniej). Tym razem trafił jednak kosańskiemu.

Uroczą wdówkę kategorycznie nie zgodziła się na rolę kochanki. Małżeństwo albo nic. Nie skusiły ją ani podarunki, ani obietnice późniejszego uregulowania sytuacji.

I zakochany władca uległ. Ślubu udzielił im opat tyniecki Jan. Skandal niesłychany, gdyż bigamia była oczywista. Późniejsi historycy usiłowali wytłumaczyć opata, iż młodożeniec oszukał go, pokazując sfalszowaną dyspensę Innocentego VI. Jest to jednak zupełnie nieprawdopodobne. Za blisko leży Tyniec Krakowa, żeby Jan - ważny dostojnik kościelny - mógł być niewprowadzony w tajniki dworskich matrymoniów. Król osadził Krystynę w Łobzowie, czyli de facto tuż koło Wawelu, na oczach wszystkich. Tego już Adelajda, żona prawowierna, wytrzymać nie mogła. Postanowiła powrócić do rodzinnej Hesji. Trzeba przyznać, że była to z jej strony decyzja wymagająca niemałej odwagi. Rezygnowała bowiem w ten sposób nie tylko ze splendorów, ale i apanaży związanych z rangą królowej Polski, a nie mogła przecież przewidzieć, jak zostanie przyjęta przez krewnych. Na szczęście ojciec zdecydował się jej pomóc. Jak pisze Edward Rudzki: „Henryk Żelazny przyjechał do Żarnowca i zabrał córkę «z całym jej domowym majątkiem i zasobem». Opuściła Polskę we wrześniu 1356 roku po 15 latach pobytu, mając około 34 lat. Starostowie królewscy nie utrudniali wyjazdu, ale zaraz po opuszczeniu przez żonę kraju Kazimierz skonfiskował wszystkie jej posiadłości”.

Monarcha miał dwie żony, ale dalej nierozwiązaną sprawę następstwa. Ewentualny syn z Rokiczanką nie miał szans wstąpić na tron. Co gorsza stosunki Kazimierza z dumną i kapryśną Krystyną zaczynały się psuć. On nie tolerował jej własnego zdania i chęci mieszania się do polityki, ona jego nałożnic, których liczba bynajmniej nie zmalała. Po kolejnej małżeńskiej scenie postanowił Kazimierz wziąć sobie następną, równoległą żonę, Rokiczankę zaś po prostu wypędzić, w odróżnieniu od Cudki bez ochrony i godziwego zabezpieczenia. Ową kolejną żoną okazała się młodziutka (ona miała około piętnastu lat, on już pięćdziesiąt pięć) córka księcia Henryka V Żagańskiego -Jadwiga. Ślubu udzielił (stwarzając pozory tajemnicy) biskup poznański Jan Doliwa. Wkrótce potem nastąpiła koronacja. Reakcja Rzymu wydawała się w pierwszej chwili gwałtowna i stanowcza. Papież Urban V (następca Innocentego VI) nakazał Kazimierzowi natychmiastowe zerwanie wszelkich związków z Jadwigą i sprowadzenie Adelajdy. Ten odpowiedział listem, w którym prosił o unieważnienie ślubu z Adelajdą, jednocześnie obiecując papieżowi pomoc finansową i wojskową przeciw księciu Mediolanu oraz zaangażowanie dyplomatyczne Polski w obronę interesów papieżstwa. Obietnica poskutkowała częściowo. Urban wprowadzie małżeństwa z Adelajdą nie unieważnił, ale przestał też domagać się oddalenia Jadwigi. Innymi słowy, przymknął oczy, co Kazimierza, któremu życie w podwójnej bigamii nie stwarzało najmniejszych moralnych problemów, całkowicie satysfakcjonowało. Istotne było dla niego, że opinia publiczna w Polsce małżeństwo zaakceptowała, a kler, śladem papieża, nie protestował. Duchowieństwo polskie pamiętało zresztą dobrze przypadek księdza wikariusza i kaznodziei królewskiego Marcina Baryczki: w 1349 roku usiłował Kazimierza upominać i skończył utopiony w wiślanej przerębli pod Wawelem. Jadwiga Żagańska pozostała więc żoną królewską aż do śmierci męża 5 listopada 1370 roku.

Wszelako to nie bigamie, nie Cudka i nie Rokiczanką przyczyniły się najbardziej do skandalicznej, erotycznej legendy Kazimierza III Wielkiego. Pisał Kazimierz Gliński: „Kto wie, co śpiewają ptaki? Może z każdą nową wiosną Powietrznymi lecąc szlaki, Nuca dawną pieśń miłosną O Kazimierzu, o Esterce?... Wszędzie, zawsze - miłość, serce!".

Skandale  
polskie

Jedną z kochanek monarchy miała być oto Żydówka Esterka. Piszę „miała być”, gdyż część pruderyjnych historyków przemilcza tę postać, paru zaś wręcz neguje jej istnienie. Ci ostatni (nie chciałbym ich posądzać o antysemityzm) powołują się przede wszystkim na biblijną Księgę Estery. Opowiada ona o wielkiej miłości króla Aswerusa (Kserksesa Perskiego), „który panował od Indii aż do Etiopii nad stu dwudziestu siedmiu państwami” (Est 1,1), do pięknej Żydówki Estery; dzięki niej poprawia się los Żydów w jego włościach. Przeniesienie sytuacji nad Wisłę miałoby więc tłumaczyć przychylność Kazimierza dla napływającej ludności wyznania mojżeszowego. Jest to propozycja ciekawa, sprzeczna jednak ze źródłami. Pisze oto Długosz (pod rokiem 1365):

„Król polski Kazimierz (...) wziął sobie za nałożnicę kobietę żydowskiej krwi, Esterę, z powodu jej niezwykłej urody. Miał z nią nawet dwóch synów: Niemierzę i Pełkę. Również na prośby wspomnianej nałożnicy, Estery, dokumentem królewskim przyznał wszystkim Żydom mieszkającym w Królestwie Polskim nadzwyczajne przywileje i wolności (wysuwano podejrzenia, że dokument ten został przez pewnych ludzi sfalszowany), które ciężko obrażają Majestat Boży. Ich cuchnący odór trwa aż do dnia dzisiejszego. Jeden z synów królewskich poczętych z Żydówki Estery, Pełka, zmarł przedwcześnie naturalną śmiercią. Niemierza zaś, który po śmierci króla sprawował służbę u Władysława, księcia litewskiego, później króla Polski, został zabity przez mieszczan w Koprzywnicy w czasie sporu, jaki powstał wskutek wybierania podwód. Jest też rzeczą ohydną i godną potępienia, że córki zrodzone z tej Żydówki, Estery, król pozwolił wychować w religii żydowskiej”.

Warto przyjrzeć się bliżej temu świadectwu kronikarza. Długosz nienawidził Żydów, więc istotnie mógł mieć powód, aby nadanie im przywilejów uzasadnić królewskim grzechem cudzołóstwa i rozpusty. Byłyby one wtedy skażone niejako niemoralnością, a więc miałyby podej -rzną wartość (czemuż innemu służy sugestia o sfałszowaniu nadań?).

Wątpliwości historyków budziła też identyczność imion ewentualnych nieślubnych synów ze związków z Cudką i Esterką, acz w tym względzie mógłby mieć Kazimierz swoje prywatne predylekcje. Warto jednak spojrzeć i na drugą stronę rzeczy. Czy rzeczywiście za cenę wytłumaczenia łaskawości króla dla Żydów posunąłby się kronikarz do zmyślenia romansu, którym skądinąd brzydzi się w najwyższym stopniu? A dochodzą szczegóły. Można twierdzić, iż zeznania niektórych informatorów Długosza były stronicze i z mitologii przeszłości wzięte. Dotyczy to na pewno czasów dzielnicowego rozdarcia Polski, a tym bardziej wcześniejszych. Jeżeli chodzi jednak o panowanie Kazimierza Wielkiego, mógł już kronikarz, urodzony w roku 1415, korzystać z zeznań świadków naocznych. I korzystał. Ale w takim razie, skąd ta precyzja dotycząca Niemierzy, syna Esterki? Nie dość, że Długosz podaje dokładnie, gdzie go zabito, to nawet z jakiego powodu. A przecież, gdyby zabicie bękarta królewskiego przez mieszczan (sic!) nie wzbudziło sensacji, jakież byłby to temat dla wielkiego kronikarza? Żaden. Mało to zabójstw popełniano wtedy na ziemiach Rzeczypospolitej?

Realność Esterki potwierdzają również źródła żydowskie, podsumowane przez badaczy niemieckich w Das Buch von polnische Juden, gdzie przytoczone są świadectwa o Esterce nazywanej „najpiękniejszą królową Polski”. Książka ta zakazana zostaje w Niemczech w roku 1937, gdyż romans króla, choćby i untermenscha, z Żydówką nie godził się z faszystowską doktryną rasową. W Polsce miłości króla i Żydówki poświęcił powieść Aleksander August Ferdynand Bronikowski (w wersji niemieckiej: Aleksander von Oppeln-Bronikowski). Jego romans Kazimierz Wielki i Esterka został przetłumaczony na kilkanaście języków, z odległym japońskim włącznie, awAustriibyłbestselerem roku 1829. Zapomniany dzisiaj u nas zupełnie Bronikowski dostrzegł w związku Kazimierza i Esterki zwiastun pojednania wszystkich narodów Rzeczypospolitej, które pomnożyć miało jej siły i nieuchronnie przywrócić niepodległość. Nie należy sądzić, żeby to właśnie przyciągnęło austriackich czytelników. Fascynowała ich raczej opinia Klausa Inneringa: „Nawet Francja nie dochowała się władcy, który w imię osobistej ochoty tak dalece,

Skandale polskie

nie bacząc na skandal i przesady epoki, przekroczyłyby granicę próżnych konwenansów”. W pełni podzielamy to zdanie.

Do historii Polski przeszedł ten nasz najbarwniejszy i skądinąd najskuteczniejszy władca pod przydomkiem „króla chłopów”, wskazującym na to, iż był opiekunem pospółstwa. Ciekawe, że żadnemu z historyków nie przyszło do głowy, jak dwuznaczny to epitet. Prawda, wieśniaków wspierał. Ale Klara Zach, cztery żony, Cudka, Esterka, paręset nałożnic regularnych i tyleż kochanek przygodnych też by się pod tą definicją, jedno w sensie pozytywnym, drugie negatywnym, na pewno podpisały.

Przy tym wszystkim był to władca wspaniały. Stanisław Wyspiański w rapsodzie Kazimierz Wielki (1900) przedstawia go jako uosobienie siły i woli czynu; Julian Ursyn Niemcewicz w dramacie Kazimierz Wielki (1792) - jako monarchę, który żadnym przeciwnościom losu nie daje się zbić z tropu. Co mieli na myśli? Zapewne jedno i drugie.

A-

Wm

Jadwiga Andegaweńska, król Polski w latach 1384-1399. Portret wykonany przez Sylwestra Bianchi w XVII w.

## Skandale polskie

I

/, ,,,-■'-. -\* :■'-.-^

adwiga, gdy miała zaledwie rok, została przeznaczona o cztery lata odeń starszemu Wilhelmowi, synowi Leopolda III. Potwierdzone to zostało 15 czerwca 1378 roku uroczystymi zaślubinami szkrabów (Wilhelm miał lat osiem, Jadwiga cztery) w Hainburgu nad Dunajem. Dzieci spotykały się potem często i wszystko wskazuje na to, że Jadwiga serdecznie zadurzyła się w nieco starszym, wyjątkowo przystojnym -co do tego wszystkie kroniki są zgodne - koledze. Polityka ma jednak swoje bezlitosne prawa. W wyniku, drobnego skądinąd, przetasowania aliansów zostaje Jadwiga w 1384 roku przewieziona do Krakowa, gdzie polscy panowie wymyślili wydać dziesięcioletkę za starszego od niej o dwadzieścia trzy lata (a więc starego jak na średniowieczne obyczaje) księcia litewskiego Jagiełłę.

Można sobie wyobrazić rozpacz dziewczynki. Protestuje co sił i powołuje się na hainburską ceremonię. Chce Wilhelma i jego tylko! Trzeba od razu zaznaczyć, że jej życzenia nie są bynajmniej beznadziejnymi mrzonkami. Habsburgowie mają dość pieniędzy, żeby pozyskać dla Wilhelma zwolenników na Wawelu. Wkrótce też rodzi się spisek, którego duszą jest Gniewosz z Dalewic, herbu Strzegomia, pan wsi Suchy koło Jangrotu (10 kilometrów od Olkusza, na Wyżynie Krakowsko--Częstochowskiej). Plan jest prosty. Sprowadzić potajemnie Wilhelma do Krakowa, a potem przemycić go do komnaty Jadwigi, gdzie będzie

## Skandale polskie

mógł nareszcie skonsumować zaślubiny sprzed sześciu lat. W ten sposób klamka zapadnie i nawet najzagorzalszym zwolennikom Jagiełły nie pozostanie nic innego, jak pochylić głowy przed faktem dokonanym.

Szaleńczy wydawałoby się pomysł wcielony zostaje w życie z drobną tylko korektą. To nie Wilhelm ma wdrzeć się do komnaty Jadwigi, ale ona uciec do niego. I oto nadchodzi ten moment, uwieczniony w malarstwie i literaturze. Wilhelm czeka pod bocznym wyjściem. Dwunastoletnia Jadwiga biegnie do niego po krętych, mrocznych schodach baszty Lubranka. Iskry z łuczywa sypią się jej na twarz i boleśnie parzą. Ale oto już odrzwia. On jest tam, tuż-tuż, po drugiej stronie. Niestety, zawarte. W ostatnim akcie rozpaczy chwyta królowna za topór, wyrwany z rąk niememu halabardnikowi, nierozumiejącemu nic z patetycznej sceny, która rozgrywa się przed jego oczami, a może też nie-chcącemu rozumieć, i uderza w dębowe belki zapory. Próżny trud. Ledwie parę wiórów spada na posadzkę. Wszystko spaloło na panewce. Służba odprowadza Jadwigę do komnat, które nagle zdają się jej więziennymi celami. Wilhelm w panice rejteruje z Krakowa. Kto przegrał? Kochający się młodzi. Kto wygrał? Polska racja stanu, ale także... Gniewosz z Dalewic.

Jak pisze Jan Długosz: „książę Wilhelm, obawiając się, by go nie zabili lub nie zranili, uciekł z Krakowa potajemnie - kilka osób o tym tylko wiedziało - do Austrii, zostawiając wszystkie skarby i ogromnej wartości klejnoty u wspomnianego podkomorzego krakowskiego Gniewosza. O skarby te nigdy się potem nie upomniał. Zatrzymał je sobie na własność i użytek wspomniany Gniewosz". To jedno. Oprócz majątku zyskał też rycerz z Dalewic życzliwość i zaufanie Jadwigi. Przed kim innym mogła w długie wawelskie wieczory wypłakiwać się i wspominać księcia z bajki? Komu się zwierzyć, kogo pytać o radę? Pisze Karol Szajnocha, że wkrótce „znał Gniewosz wszystkie jej kroki i tajemnice". Gdy chodzi o „kroki i tajemnice" królowej, jest to niebagatelny oręż polityczny.

Po ślubie Jadwigi z Jagiełłą odgrywał więc sprytny Gniewosz dwie równoległe role. U boku króla Władysława występował jako

„specjalista od spraw Jadwigi", ten który wszystko rozumie, a w razie przejściowych nieporozumień doradzi i kłótnie załagodzi. Dla Jadwigi pozostawał nieustającym powiernikiem westchnień, mężem zaufania i pocieszycielem. Sytuacja nader wygodna,

przynosząca jednak zyski dopiero wtedy, kiedy strony są w konflikcie. Dopóki wszyscy się lubią, panuje niczym niezaburzona sielanka i wzajemne zrozumienie, dopóty owszem, szarogęsia pozycja pośrednika jest mocna, nie przysparza jednak szczególnych apanaży. Co innego zupełnie, kiedy małżonkowie tracą do siebie zaufanie, zaczynają wietrzyć zdradę i spisek. Wtedy zaczyna się poszukiwanie świadków i informatorów. Tak doskonale usytuowana osoba, jak Gniewosz z Dalewic w tym przypadku, zdaje się zaczyna sojusznikiem nie do pominięcia. Za informację i wsparcie trzeba zaś oczywiście płacić. Na to czekał Gniewosz i w pierwszej przynajmniej chwili wcale się nie przeliczył. Faktami się nie przejmował, bo też były dla niego niewygodne. Wiedział natomiast doskonale, że Władysław jest zazdrosny, Jadwiga zaś wielce małżonkiem przestraszona i gotowa uwierzyć w najgorsze. Zaczyna się perfidna gra podszeptów, aluzji, niekiedy tylko pointowanych zatroskanym wyznaniem: - Najjaśniejsza Pani - król was zdradza... W innej zaś komnacie: -Najjaśniejszy Panie, królowa nie stroni od grzesznych związków. Czy wiecie, Najjaśniejszy Panie, że przebrany za mieszczanina Wilhelm przebywał ostatnio w Krakowie i widziano go na Wawelu?

W ramach średniowiecznej obyczajowości król może sypiać z kim mu się spodoba. To jego rzecz. Przy czym władca imponujący jurnością i potencją jest z reguły podziwiany przez poddanych. Małżonkę może to boleć lub doprowadzać do pasji, lepiej jednak, żeby nie ujawniała publicznie tak niewczesnych sentymentów, które spotkać się mogą, w najlepszym przypadku, z pogardliwą litością. Zdrada królowej to już zupełnie inna sprawa, chociażby ze względu na wątpliwości, które budzić może kwestia potomstwa. Nawet nie zdrada. Wystarczy już same plotki o niej, pogłoski, wszeptywane przy kuflu piwa zwierzenia, by zdestabilizować uświęcony ład dynastyczny. Gniewosz wcale nieźle to wymyślił. Już widział się w roli

TO

Skandale polskie

wielkiego śledczego, który cyzelując odpowiednie donosy będzie mógł grać na nastrojach Jagiły i odcinać przez lata intryganckie kupony. Nie przewidział jednego. Oto rada koronna postanowiła rzecz niebywałą w ówczesnych czasach - przeprowadzić regularne, racjonalne śledztwo. Jego pierwszym etapem było, rzecz naturalnie niezwykle delikatna, przepytanie obojga małżonków, skąd biorą się ich wzajemne podejrzenia, kto im dostarcza pokątnych wieści. „Oboje królestwo -pisze Karol Szajnocha - przychylił się do żądania. Wtedy ku niemałemu zdziwieniu dworu wyszło z ust króla i królowej jedno i to samo nazwisko: Gniewosz z Dalewic". Oburzona Jadwiga zażądała natychmiastowego pozwania go pod sąd, przed którym będzie zmuszony przeprowadzić dowód prawdziwości swoich doniesień, albo zapłacić za oszczerstwa.

„Odbył się ten akt pamiętny według wszelkich przepisów ówczesnej procedury sądowej, wiślickim określonej statutom. Królowa Jadwiga, używając prawa każdej zacnej szlachcianki, zapozwała pana Gniewosza o potwarz czci niewieściej, przewidzianą osobnym paragrafem statutu. Wyznaczono obżałowanemu «rok» sądowy w Wiślicy. Zebrał się tam w oznaczonym terminie cały trybunał sędziów, podsędków i towarzyszącego zwyczajnie każdemu sądowi grona dostojników i panów, tak zwanych «asesorów i komorników». Przewodniczyli sądowi z Małopolski: Drogosz z Chrobrza i Krzesła; z Sandomierszczyzny: Pełka i Prandota. Oprócz nich: Dobiesław z Krakowa, Krzesław z Sędmierza, Krystyn z Sądcza i Mikołaj z Ossolina. Ponieważ kobietom nie przysługiwało prawo osobistego stawiennictwa przed sądem, Jadwigę reprezentował sędziwy i zasłużony kasztelan wojnicki Jaśko z Tęczyna, przed którym wcześniej złożyła królowa uroczystą przysięgę o swojej niewinności «jako prócz króla Władysława, żadnego innego mężczyzny w życiu nie zaznała»".

„Upewniony i przekonany" tą przysięgą rozpoczął kasztelan od gwałtownego ataku na Gniewosza, wyliczając liczne jego kłamstwa



i przenieństwa, które poświadczali powołani świadkowie. „Nadto przywiódł Jaśko przed trybunał drugie tyle świadków innego, zagranicznego prawa, dwunastu zbrojnych szlachty-rycerzy, którzy by obyczajem zachodnim, dowodem sądu Bożego (wspomnijmy walkę Zbyszka z Bogdańca z Rotgierem w Krzyżakach Sienkiewicza - LS), przepierali przeciwnika rycerskim z kolei pojedyńkiem...”.

Cóż mógł na to odpowiedzieć nieszczęsny Gniewosz? Już po pierwszym dniu procesu wybrał jedyne możliwe rozwiązanie. Zrezygnował z obrony i tylko prosił o łaskę, która też w dużej mierze została mu udzielona, zasądzono bowiem elementarny wymiar kary (jakby znieważył prostą szlachciankę), nie biorąc pod uwagę żadnych okoliczności obciążających. I tak musiał Gniewosz zapłacić 60 grzywien, a przede wszystkim wleźć pod ławę i stamtąd jako „szkaradnik” odwołać wszystko, co prawił przed królem o przewinach Jadwigi. Przepisana przez statut formuła rewokacji kończyła się słowami: „zełgałem jako pies”. Jeden z sędziów zaproponował więc (czego statut nie przewidywał), żeby dodatkowo zobowiązać Gniewosza do zaszczekania spod ławy. Wniosek jego został jednogłośnie i wśród ogólnej wesołości przyjęty, dzięki czemu w słowniku języka polskiego znalazł się termin „odszcze-kać”. Sam Gniewosz, pomimo że owo żalosne „hau, hau” spod ławy winno go być definitywnie zdeprecjonować i ośmieszyć, w gruncie rzeczy ucierpiał niewiele. Opinia szlachecka zbyt była przyzwyczajona do tego, że w polityce - a tym bardziej, gdy wzbogacenie się było w grze - wszystkie chwytaki są dozwolone, żeby dyskwalifikować pana brata za jakieś tam, choćby i parszywe, kłamliwe insynuacje.

Już parę lat po sławetnym szczekaniu wyniesiony zostaje Gniewosz na wysoki urząd podkomorzego krakowskiego. Pod Grunwaldem, w 1410 roku, widzimy go na czele pięćdziesiątej chorągwi, która - jak pisze Długosz - „miała jako znak białą strzałę w środku rozwidloną na lewo i prawo, z krzyżem nad poprzecznym rozwidleniem na czerwonym polu. Służyli w niej tylko najemni rycerze, nie z Polski, ale zaciągnięci przez wspomnianego podstolego Gniewosza spośród Czechów, Morawian i Ślązaków”. Warto zauważyć, że glejty na zaciąg

Skandale i polskie

cudzoziemców król wydawał tylko najbardziej zaufanym rycerzom. Że znalazł się wśród nich pan z Dalewic? Cóż, Jadwigi od jedenastu lat nie było już na tym świecie, a skarby Wilhelma też może w tym i owym pomogły.

Słodowe, \N0II£&5>ЪЛ<к.

Maryna Mniszech, żona Dymitra Samozwańca Pierwszego i Drugiego, carów moskiewskich na początku XVII w.

Portret z epoki wykonany przez nieznanego malarza

fi

Skandale i polskie

Stalowe. y\*u%Łia%shvX

arynę większość historyków polskich XIX wieku nazywało po prostu, zgodnie z tradycją językową, Mniszkówną. Dopiero sensacja wywołana przez publikację w 1908 roku Trędowatej, pióra Heleny Mniszkówny (primo voto: Chężyńskiej, secundo voto: Rawicz--Radomyskiej) spowodowała zmianę. Od tej pory, żeby nie mylić jednej skandalistki z drugą, przyjęto dla tej pierwszej niesfeminizowaną i nie-informującą o stanie cywilnym, patrymonialną formę: Mniszech. Skądinąd w dokumentach obie nazywały się, po kolejnych mężach, inaczej. Pozostajmy jednak przy ugruntowanych zwyczajach.

Iwan IV Groźny zmarł 28 marca 1584 roku. Pozostawił po sobie dwóch synów:

dwudziestosiedmioletniego Fiodora i dwuletniego Dymitra. Nie w pełni sprawny umysłowo Fiodor, wstąpiwszy na tron, stał się marionetką w rękach ambitnego, pozbawionego

skrupułów, ale i bezspornie niezwykle zdolnego bojara Borysa Godunowa. Po latach Puszkina pisał o nim:

„Jakiż to zaszczyt dla Rusi i dla nas! Wczoraj niewolnik, Tatar, zięć Maluty, Zięć kata, w głębi duszy także kat - Monomachowy weźmie scepter i kołpak.

polskie

"mm

Ileż w tym nienawiści. „Wczoraj niewolnik” sugeruje, że ród Godunowa nie ma szacownej genealogii. „Tatar” - to insynuacja do pochodzenia, że mongolskiej, a nie ruskiej był krwi. W końcu zaznaczenie „zięć Maluty” - czyli szefa swoistej terrorystycznej policji Iwana Groźnego, zawiera pomówienie, że jest Godunow karierowiczem, który dla władzy zjednoczył się z najpodlejszymi zbrodniarzami. To, że tak opisał Borysa Godunowa poeta ponad dwa wieki później, nie miałoby najmniejszego znaczenia. Problem w tym, że podobnie postrzegano go znaczna część jemu współczesnych. To zaś skutecznie podminowało jego władzę. Dopóki jeszcze żył Fiodor firmujący wszechpotęgę Godunowa, dopóty problem mógł się wydawać drugorzędny. Co jednak może się stać, jeśli słabowity car umrze, a na tron wstąpi jego wychowywany przez wrogów aktualnych rządów brat? Pytanie to musiało nurtować całą kremlowską elitę władzy. Dorastające dziecko Iwana Groźnego budziło więc w jednych nadzieję, w innych, potężniejszych w tej chwili, okrutną obawę.

W takiej to atmosferze mają miejsce w Ugliczu, gdzie wychowuje się Dymitr, nader dziwne przypadki. Według oficjalnej wersji dziewięcioletni chłopak w ataku epilepsji miał sam śmiertelnie zranić się nożem. To byłoby jeszcze prawdopodobne. Następuje jednak dziwne zamieszanie związane z pochówkiem. Gdzie zwłoki, czyje zwłoki, czy na pewno właściwe zwłoki... Nawet jeśli mamy wiarę uroczystym proklamacjom, przyznać przyjdzie, że nieudolni (?) urzędnicy igrali z ogniem. W Rosji, i wcześniej, i później, żywa była bowiem tradycja pojawiania się, jeśli tylko okoliczności zgonu nie zostały precyzyjnie udokumentowane, nowych wcieleń zmarłych, wyciągających ręce po ich majątki i godności.

I oczywiście, kiedy tylko umiera Fiodor, a Borys Godunow z pominięciem iluś tam najświętszych praw pasuje się na cara, pojawia się natychmiast „ocalony z Uglicza” Dymitr. Przyjmuje się dzisiaj, że był to zbiegły z monasteru mnich Grigorij, syn Stiepana Otriepowa, dziesiętnika strzelców moskiewskich. Nic mniej pewnego. W każdym razie jest to młodzieniec (Dymitr miałby dwadzieścia dwa lata) obdarzony urokiem osobistym i wybitnym wyczuciem politycznym. Rozumie, że w moskiewskiej łamigłówce, w której górami jest wciąż Godunow, nie ma na razie czego szukać. Natomiast magnaci ze wschodniej Rzeczypospolitej, węszący możliwości wyciągnięcia swoich kasztanów z rosyjskiego ognia, stwarzają mu idealne pole do działania. Pomińmy drugorzędną w końcu sprawę, jak wkraść się w ich łaski. Przejdźmy od razu do tego dnia 1604 roku, kiedy domniemany Dymitr staje przed Jerzym Mniszchem i proponuje mu z całą bezczelnością koronę Rosji dla jego córki, z którą się łaskawie ożeni, w zamian za zorganizowanie i opłacenie wojskowej wyprawy na Moskwę. Jerzy Mniszech - krajczy koronny, kasztelan radomski, wojewoda sandomierski, jeden z najpotężniejszych panów w Rzeczypospolitej - nie jest durniem. Zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że ma przed sobą oszusta. Tyle iż doniesiono mu, że w uzurpowaną przez owego oszusta tożsamość wierzą tysiące, ma on więc realne szanse zasiąść na Kremlu, a przynajmniej sięgnąć po kremlowskie skarby. Z drugiej strony, magnat wie, że odebranie mu przez króla zarządu żup ruskich (co jest właściwie nieuniknione) postawi go na progu bankructwa. Z niezmiernym cynizmem (jest wszakże możliwe, a nawet prawdopodobne, że interesant nie jest nawet szlachcicem) przystaje na wszystkie warunki. Tak oto Maryna Mniszech trafia na arenę dziejową. Z zachowanych portretów trudno wywnioskować, czy była piękna. Jest w niej jednak - w stalowym spojrzeniu, twardej bruździe przecinającej czoło między brwiami - coś nietuzinkowego. Jeżeli sądził Jerzy Mniszech, że oddając rzekomemu Dymitrowi córkę, sam

zaczyna rozdawać karty w polityce polsko-rosyjskiej, mylił się głęboko. I przyszły zięć, który obiecał mu milion złotych oraz nieprawdopodobne nadania w państwie moskiewskim, i córka przerastali go o głowę.

W październiku 1604 roku przekracza zwany Dymitrem granicę moskiewską. Ma pod sobą, historycy wyliczyli to skrupulatnie, 3619 żołnierzy. Stanisław Grochowski tak ich opisze w Pieśni na fest ucieszny wielkim dwiema narodom, polskiemu i moskiewskiemu:

#### ■ Skandale polskie

„Nieborscy, Gogolińscy, Żuliccy, Bilińscy, Czanowiccy, Dworzycy, więc i Mikulińscy, Domaraccy, Ratomscy, Tchorzewscy, Gumowscy, Kruszynowie, Siecińscy, także i Łochowscy, W tychże poczcie Janiccy, Buczyńscy, Fredrowie, Wszyscy strzelbie i broni przywykli mężowie, Przy których i Wierzbiccy, Kamieńscy, a kto wie Drugich, albo z rejestru wszystkich kto wypowie”.

Była to więc zbieranina, ale że „strzelbie i broni przywykła”, wystarczyła i ona, po nagłej śmierci Borysa Godunowa, na opanowanie Moskwy. 20 czerwca 1605 roku wkracza Dymitr Samozwaniec na Kreml, a 12 maja 1606 roku w nieprawdopodobnym przepychu poślubia Marynę.

Tutaj drobna dygresja. W Rzeczypospolitej jest to właśnie okres odchodzenia od tolerancji religijnej. W 1604 roku umiera ostatni w Rzeczypospolitej innowierczy myśliciel Faustyn Socyn, w 1605 roku odchodzi orędownik tolerancji Jan Zamoyski, natomiast w roku 1603 stawia pierwsze kontrreformacyjne kapliczki w Kalwarii Zebrzydowskiej jej złowrogi fundator, warchoł i przywódca rokoszu, Mikołaj. Dymitr znalazł się więc w sytuacji właściwie bez wyjścia. Musi opierać się militarnie na Polakach; ci jednak przez swój religijny fanatyzm i pogardę dla „azjatów” uniemożliwiają mu porozumienie z poddanymi. Jest to beczka prochu, która też oczywiście musi eksplodować. W nocy z 26 na 27 maja 1606 roku, a więc zaledwie dwa tygodnie po wspaniałym weselu, wybucha w Moskwie powstanie. Dymitr zostaje zabity. Jego główni współnicy: Jerzy Mniszech, Konstanty Wiśniowiecki, Zygmunt Tarło, a także Maryna z całym fraucymerem, dostają się do niewoli, w której pozostają przez nieco ponad pół roku. Nowy car, Wasyl Szujski, zgadza się ich wypuścić w lipcu 1608 roku pod warunkiem, że opuszczą definitywnie ziemie rosyjskie, Maryna zaś zrezygnuje z tytułu carowej. Wielce to było wspaniałomyślne, ale i równie naiwne.

W czasie, który Maryna spędziła w niewoli, w Rosji i w Polsce pojawiło się kilkunastu nowych „Dymitrów”. Jeden z nich, który potrafił, tak jak jego poprzednik, wciągnąć do awantury znaczną liczbę polskiej szlachty i spragnionych łupu Kozaków, stał teraz obozem w Tuszynie i szykował się do marszu na Moskwę. „Mniszech - pisze Paweł Jasienica - uznał go wkrótce za zięcia, zastrzegając sobie umową trzysta tysięcy rubli. Pomimo początkowego ociągania się i wstrętu poszła w ślady rodzica i Maryna. «Rozpoznała» w Łędymitrze drugim cudownie ocalałego małżonka, ale niedługo potem w największej tajemnicy wzięła z nim ślub kościelny”. Jasienica nie próżno wspomina o wstręcie Maryny. Pierwszy Samozwaniec był bowiem, pomimo prostego przypuszczalnie pochodzenia, postacią nietuzinkową, umiejacą zjednywać sobie ludzi nie tylko złotem, ale i swoistą charyzmą. Drugi był już tylko chciwym chamem, otoczonym powszechną pogardą, bezwolnym pionkiem w rękach swoich szlacheckich i kozackich „sojuszników”. Taczał się podobno pijany po obozowisku, przechwalając się grubiańsko obcowaniem z Maryną. Nikt nie brał go na serio. Nawet tytułujący go carem i całujący ceremonialnie w rękę panowie polscy rozglądali się jednocześnie za innym rozwiązaniem personalnym i politycznym, co stało się realne w momencie, kiedy w sprawy moskiewskie wmieszał się osobiście król polski Zygmunt III Waza. Nie miejsce tu na opisywanie całego dyplomatycznego mętliku, który teraz nastąpił. Pozostajmy przy Marynie.

Łędymitr zwąchał pismo nosem i 6 stycznia 1610 roku uciekł z częścią wojsk do Kaługi, gdzie zaczął znosić się z bojarami rosyjskimi, szermując teraz również hasłami

patriotycznymi, czyli wyzwolenia kraju od polskiego najeźdźcy. Maryna w pierwszej chwili napisała rozpaczliwy list do Zygmunta III, błagając go o protekcję, czy wreszcie już tylko o pieniądze. Już po paru dniach zmieniła jednak zdanie i podążyła za mężem. W Kałudze doszła ich wiadomość o wielkim zwycięstwie nad siłami moskiewskimi wojsk koronnych hetmana Stanisława Żółkiewskiego pod Kłuszynem 4 lipca. Chcąc wykorzystać okazję, ruszył natychmiast Samozwaniec pod Moskwę. Tyle że pod stolicę nadciągał już także Żółkiewski. W pierwszej chwili usiłował on pozyskać oto-

Skandale polskie

czenie Dymitra i Maryny. Gdy jednak dostał od nich nieprawdopodobnie butną odpowiedź: „Niech też Król Jegomość ustąpi Carowi Jegomości Krakowa, a Car Jegomość da Królowi Jegomości Warszawę...”, poinformowany, co więcej, że bojarzy uznali za cara Władysława, syna Zygmunta III, zdecydował się na walkę. Okazało się od razu, że nikt prawie nie chce nadstawiać głowy za Dymitra w konfrontacji z hetmanem.

Cudem tylko raz jeszcze udaje się Dymitrowi i Marynie uciec do Kaługi. Dla Samozwańca jest to jednak: ucieczka po śmierć. 22 grudnia 1610 roku został zamordowany przez człowieka, którego uważał za jednego z siebie najbliższych - Piotra Tjrusowa, osierocając dopiero co wydanego przez Marynę na świat synka - Iwana. Paradoksalnie, poprawiło to sytuację Maryny. Pogardzany, a często i znienawidzony Dymitr stał się już dla swojego otoczenia piątym kołem u wozu. Natomiast walka o prawa niemowlęcego „carewicza” otwierała przed nim zgoła nowe perspektywy. Na czele tych, którzy zrozumieli od razu, że rodząca się legenda poniewieranego, maleńkiego „następcy tronu” może im przynieść bezcenne, ludowe poparcie, stanął ataman kozacki Iwan Zarucki (Zarudzki). Maryna oddała mu się natychmiast całą duszą, a przede wszystkim ciałem. Miała już, co w tej epoce uznawano za wiek średni, trzydzieści dwa lata, ale zachowała wdzięki, a przede wszystkim ów „diabelski, na pokuszenie wiodący urok”, o którym wspominają kronikarze. Poza tym burzliwe przejścia nie osłabiły jej woli, zdecydowania i chęci wdrapania się na szczyty. Iwan Zarucki był również indywidualnością wielkiej miary. Rówieśnik (przypuszczalnie) Maryny, zapewnić zdołał już sobie niekwestionowany mir wśród Kozaków, choć ambitna i zazdrosna starszyna mało przed kim pochylała głowy. Jego akcja na rzecz „skrzywdzonego carewicza”, choć o podboju Moskwy nie miał na razie co marzyć, pozwoliła mu na stworzenie nad dolną Wołgą i Donem bez mała własnego państwa. Musiano się z nim uczyć do tego stopnia, że w 1613 roku moskiewski Sobór Ziemski zwraca się do niego niezwykle pokornie, proponując - w zamian za rezygnację z militarnych działań i wycofanie się z polityki - pełne przebaczenie, obfite nadania, a także (siei) wyrównanie krzywd, jakich doznał od caratu. Dumny Zarucki odmawia. W głowie mu teraz utworzenie odrębnego księstwa, a kto wie, czy nie carstwa, ze stolicą w Astrachaniu. Już szyją się koronacyjne szaty. Nowy car moskiewski Michał Fiodorowicz Romanow rzuca więc wojska w pochód. W dwudniowej, krwawej bitwie zostają one odparte, nie pobite jednak. Po przegrupowaniu zachodzą siły kozackie od flanki i zagrażają samemu Astrachanowi. Dla mieszkańców, którzy zapewne nie kochali ani Michała Fiodorowicza, ani Zaruckiego, jest to dzień tchórzliwego rozrachunku: co się im bardziej opłaci. Najlepszy byłby kompromis. Ale tego właśnie Maryna kategorycznie odmawia. Zatraciła zupełnie poczucie rzeczywistości. Kiedy kolejny raz z równą dezynwolturą i nieprzejednaniem odrzuca propozycje carskie, w Astrachaniu wybucha bunt.

Kolejna ucieczka. Tym razem do Niedźwiedziego Ostrowu, wyspy na rzece Jaik.

Teoretycznie jest to miejsce, gdzie można się bronić latami. Tylko wtedy jednak, kiedy sprzyja miejscowa ludność, a Kozacy strzegący brodów zachowują wierność. Niestety, żaden z tych warunków nie został spełniony. Wojska carskie z zupełną łatwością przeprowadzają się przez półbieg Jaiki i biorą w kajdany zarówno Zaruckiego, Marynę, jak i trzyletniego Iwana. Nikt nie pofatyguje się nawet, żeby ich sądzić. Iwan Zarucki zostaje wbity na pal (Henryk

Sienkiewicz dostarczył tylu dosłownych, żeby nie powiedzieć sadystycznych, opisów tego rodzaju śmierci, że czujemy się zwolnieni od wnikania w detale). Niespełna czteroletni Iwan skończył na szubienicy, natomiast Maryna została skazana na zesłanie „w dożywocie” do Kołomyj. Wieszanie niespełna czteroletnich dzieci jest rzeczą przerażającą. Tym bardziej kiedy czytamy w latopisie, iż „sznur był za gruby, a «woronok» (czyli «złodziejaszek» -tak nazywano małego Iwana Dymitrowicza) zbyt lekki, toteż huśtał się ze trzy pacierze zanim szczył”. Decyzja o egzekucji dziecka nie była podyktowana jednak tylko czczym okrucieństwem. Chodziło o to, żeby zapadła w pamięć i uniemożliwiła pojawienie się kolejnych wcieleń. Nie Łżedymitrów, ale Łżeiwanów tym razem. Jakaż naiwność! W następnych latach „ocalonych” Iwanów i tak pojawiło się kilkunastu. Sieli zamęt i wzniecali lokalne bunty.

Skandale I polskie

Podobnie z Maryną Mniszech. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że została zabita zaraz po przybyciu do Kołomyj. Ale nawet historycy nie chcą się z tym pogodzić. Wielu z nich utrzymuje, iż „przypuszczalnie zmarła w więzieniu” - to „przypuszczalnie” pozwala snuć wszelkie fantazje. A warta jest ich kobieta, która z wojewodzianki sandomierskiej stała się dwukrotnie carową, potem nałożnicą oszalałego z ambicji wodza kozackiego, żeby wreszcie zniknąć w źródłowej próżni. Nic dziwnego, że stała się natchnieniem dla artystów. Zygmunt Krasiński poświęcił jej romans Agaj-Han (1834), Józef Szujski siedmio-aktowy dramat Maryna Mniszchówna (1876).

Pisze Andrzej Z. Makowiecki: „Szekspirowska kreacja Maryny ukazuje ją jako kobietę opętaną żądzą władzy, która dla utrzymania się na tronie nie waha się popełnić jawnego krzywoprzysięstwa przy rozpoznaniu Dymitra II jako swego męża. Niepohamowana ambicja nieznająca żadnych oporów moralnych prowadzi ją później do zamordowania drugiego Samozwańca”.

Na to, że była zamieszana w zamordowanie drugiego Łżedymitra nie ma żadnych dowodów. I zresztą opinia publiczna XVII wieku tego zarzutu jej akurat nie stawiała. Widziała w niej raczej osobę, która dla oddychania pełnią życia złamała wszelkie możliwe zasady i została za to ukarana. Widziała w niej skandal i fascynowała się nim.

Aleksander Koniecpolski, regimentarz w bitwie pod Piławcami w 1648 r. Portret wykonany przez nieznanego malarza z epoki

Władysław Dominik

Zasławski-Ostrogski,

regimentarz w bitwie

pod Piławcami w 1648 r.

Portret wykonany

przez Bartłomieja Strobla

ok. 1635 r.

Mikołaj Ostroróg, regimentarz w bitwie pod Piławcami w 1648 r. Portret wykonany przez nieznanego malarza z epoki

Skandale I'- polskie

tóż nie pamięta tej dramatycznej sceny z Ogniem i mieczem Henryka Sienkiewicza, kiedy to rudowłosy dowódca chorągwi tatarskiej księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, Krzysztof Wierszuł, odnajduje wracających z podjazdu Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego i Zagłobę: Wierszuł!

Jam... jest! - mówił przybyły nie mogąc oddechu złapać.

Od księcia? - Tak!... O tchu! Tchu!

Jakie wieści? Już po Chmielnickim?

Już... po... Rzeczypospolitej!

Na rany Chrystusa, co waść gadasz? Kłęska?

Kłęska, hańba, sromota!... Bez bitwy... Popłoch!... O! o!

Uszom nie chce się wierzyć. Mówże, mów, na Boga żywego!... Regimentarze?...

Uciekli.

Gdzie nasz księżę?

Uchodzi... bez wojska... Ja tu od księcia... rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami.

Kto? Wierszuł, Wierszuł! Opamiętaj się, człowieku! Kto?

Chmielnicki, Tatarzy.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! - zawołał Zagłoba - Ziemia się rozstępuje. (...)  
- Powiadaj, waćpan, dalej - rzeki Zagłoba - przyszlście tedy pod Piławce i co? (...)  
- Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, strażowałem z mymi ludźmi wedle rzeki, gdy naraz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat jak na wiwaty i słyszą krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bej z częścią. Pomyślałem więc: kiedy tam wiwatuja, to już musiał i chan osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilku ludźmi. - Co się stało? - krzykną mi: «Regimentarze uszli!». Ja do księcia Dominika - nie ma go! Do podczaszego - nie ma! Jezu Nazareński! Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, głowniami świecą: gdzie regimentarze? Gdzie regimentarze? A inni wołają: «Koni! Koni!». Ainni «Panowiebracia, ratujcie się! Zdrada! Zdrada!». Ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone, tłoczą się, depcą, duszą, siadają na koń, lecą na oslep bez koni. Dopieroż ciskać hełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie księżę na czele husarii w srebrnej zbroi: sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: «Mości panowie, jam został, kupa do mnie!». Gdzie tam! Nie słyszą go, nie widzą, lecą na husarię, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy samego księcia uratowali - potem po zdeptanych ogniskach, w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzikim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka... Nie masz już wojsk, nie masz wodzów, nie masz Rzeczypospolitej, jest tylko hańba niezmyta i noga kozacka na szyi... Tu pan Wierszuł jęczeć począł i konia targać, bo go szał rozpaczy ogarnął; ten szał udzielił się innym i jechali wśród dżdżu i nocy jak obłąkani.

Jechali tak długo. Pierwszy Zagłoba przemówił:

- Bez bitwy - o, szelmy! O, takie syny!..."

Sienkiewiczowski Wierszuł przesadził. W rzeczywistości wojska polskie doszły do brzegów rzeki Piławki (zwanej także Ikawą) 20 września 1648 roku. Stąd widać już było wojska nieprzyjacielskie rozlokowane na przeciwnych pagórkach. Postanowiono rozłożyć obóz, ale nie było odpowiedniego miejsca. W trakcie jego poszukiwania wojewoda kijowski Janusz Tyszkiewicz samowolnie uderzył na groblę wiodącą przez bagna do wojsk kozackich. Wywiązała się przedwczesna, chaotyczna bitwa. Wmieszała się w nią lekka jazda pod Samuelem Koreckim i osławionym strażnikiem polnym koronnym Samuelem Łaszczem (tym co to delię podbijał sobie skazującymi go wyrokami sądowymi i kon-demnatami). Grobla, wraz ze strzegącym jej szanćzykiem, przechodziła parokrotnie z rąk do rąk, aż ostatecznie pozostała przy Polakach i została obsadzona tysiąc dwustu żołnierzami piechoty. Ułatwiło to sforsowanie rzeczki, jednocześnie jednak te potyczki tak zaabsorbowały wojska królewskie, że obozu zgoła nie rozbito. Całą noc stały więc chorągwie polskie w pogotowiu praktycznie bez snu i wikt, toteż rano nastroje były fatalne. Samowole z poprzedniego dnia nie spotkały się nawet z reprimendą, więc o dyscyplinie nie było co mówić. Przykład zresztą szedł z góry, gdyż regimentarze (podczasz koronny Mikołaj Ostroróg, wojewoda sandomierski Dominik księżę Zasławski i chorąży wielki koronny Aleksander Koniecpolski) kłócili się, a przybywającym po rozkazy nakazywali czekać. Spora część pospolitego ruszenia udała się oczekiwać do taborów suto wyposażonych w trunki i pełnych, umilających znojne życie wojsaków,

panienek odpowiednich obyczajów (żeby nie rzucać się zbyt w oczy poprzebierane były w męskie stroje). Oto, jak podsumowane to zostało w Melodyi żalostnej polskiej (1648 r): „Pod Piławce stanęli wszyscy obozami, Bez szańców i okopów ani też wałami Nic się nie taborzywszy, i owszem, na czele Sto i kilka dział mając, przy których tak wiele Animuszu, za którym się i rozpościerali, Nie jak w obozie, lecz jak w giełdzie poczynali:

Skandale polskie

Hałas, krzyki, zaloty, zbyt pijatyki, Inwidie, rancory i różne praktyki, Do rady nie puszczali starego żołnierza, Który by nie wyłożył z soboli kołnierza".

Kontuzja panowała więc zupełna. Kiedy wreszcie regimen-tarze zaczęli radzić, jak by tu skłonić Kozaków i Tatarów do wyjścia przed ich umocnienia i stawienia pola, chorągwie wojewody brac-ławskiego Adama Kisiele z Brusilowa ruszyły naprzód, nie oglądając się na rozkazy. Ten kolejny samowolny atak okazał się wysoce nieszczęśliwy. Zepchnięta do tyłu jazda polska skłębiła się na grobli, uniemożliwiając tak odwrót, jak i dosłanie posiłków. Spośród tych, którzy usiłowali przeprować się przez bagna lub okoliczne stawy, wielu potonęło, przede wszystkim towarzysze spod cięższych znaków.

„Dopiero wówczas - pisze Władysław Andrzej Serczyk - zaczęto trąbić na trwozę, jednak z pomocą pośpieszyło tylko kilka chorągwi prowadzonych przez zaprawionych już w bojach z Chmielnickim żołnierzy Wiśniowieckiego. Nie zmieniło to obrazu bitwy, która - prawdę powiedziawszy - od samego początku stała się trudną do opanowania, krwawą szarpaniną, bezlitośnie obnażającą wszystkie niedostatki strony polskiej. Pisano potem w «Diariuszu errorów Ich MMPP Regimentarżów pod Piławcami», że się «jedne chorągwie i dwa i trzy razy potykały, jako księcia JMP wojewody ruskiego, a drugie potykać się nie chciały, trzecie się z obozu nie ruszyły, czwarte brzydtko i wszetecznie uciekały»"

„Krwawa szarpanina" trwała jeszcze, kiedy regimentarze znów zebrali się na naradę: co robić. Wypowiedziano wiele patetycznych frazesów, ale przeważało oczywiście zdanie, że należy się wycofać, żeby „kwiatu ojczyzny" nie wygubić. Przewidywano zorganizowany odwrót z taborami i działami. Wydano odpowiednie rozkazy. Tyle że nikt ich nie słucał. Odwrót dla zdemoralizowanej szlachty oznaczał tyle, co ucieczka - w myśl zasady ratuj się kto może. Porzucono tabory i armaty.

Piechotę, która nie mogła nadażyć, zostawiono na rzeź Kozakom. Jako pierwsi pierchnęli sami regimentarze.

Krzysztof Wierszuł przesadził. Jakaś bitwa się jednak odbyła. Popłoch zaczął się nie od razu, a dopiero trzeciego dnia. Jednakże - tu Henryk Sienkiewicz ma rację - relacje o bitwie, jakie obieży Rzeczpospolitą, odpowiadały całkowicie Wierszułowej opowieści. Zapanowało, silniejsze bodaj niż panika spowodowana szybkim marszem Chmielnickiego na Lwów, powszechne oburzenie. Im mniej się kto przedtem przyczynił do organizowania oporu przed kozacko-tatarską nawałą, tym więcej teraz gardłował. Sejm koronacyjny Jana Kazimierza odbywał się w momencie, w którym Chmielnicki miał właściwie otwartą drogę w głąb Rzeczypospolitej. Wzrastało też zagrożenie ze strony szwedzkiej, Rakoczy zaś nie krył się z chrapką na koronę polską. Sejm ów, który więc winien był być z największą pilnością poświęcony obronności kraju, zdominowany został niemal całkowicie przez rozliczenia piławieckie. Nie była to sprawa łatwa. Ostroróg, Zasławski i Koniecpolski byli przedstawicielami potężnych rodów, szeroko sko-ligaconych i mających swoje liczne klientele. Kiedy tylko wysunięto wniosek o pociągnięcie ich do odpowiedzialności, rozgorzały swary do potęgi.

1 lutego 1649 roku zmuszono Dominika Zasławskiego do przedstawienia raportu z wydarzeń 19-23 września i wytłumaczenia się z podej-mowanych decyzji. Trzydziestoletni wojewoda sandomierski zasłaniał się „słabnącą z wiekiem pamięcią". Z powodu „wątlności głosu" nie mógł też osobiście odczytać sprawozdania. Zrobiono to więc za niego. Tekst nie zadowolili

nikogo i jeszcze bardziej skłócił posłów i senatorów. „Ostatecznie 8 lutego - pisze Janusz Kaczmarczyk - udało się posłom uzgodnić tekst konstytucji piławieckiej. Stanowiła ona, że wszyscy odpowiedzialni za klęskę wojsk Rzeczypospolitej będą sądzeni na przyszłym sejmie. Ustalono również, że w składzie specjalnie powołanego w tym celu sądu sejmowego każde województwo reprezentowane będzie przez jednego posła". Konstytucja ta była jedyną (sic), którą udało się uchwalić. Do sprawy wracano potem wielokrotnie, ale do

Skandale

polskie

realnych sądów oczywiście nie doszło. Ani wodzów piławieckich, ani warchołów bojkotujących ich rozkazy, ani defetystów nawołujących do ucieczki, a nawet kapitulacji, nie spotkały przykrości. Jak to u nas często bywa. Jest wina, ale nie ma winnych. Skandal staje się deus ex machina. A najlepiej o sromocie nie wspominać.

\*\_

Casanovą rani polskiego magnata Franciszka Ksawerego Branickiego w pojedynku w Warszawie w 1765 r.  
Ilustracja z Pamiętników Casanovy wydanych w 1925 r.

}

kandale rII polskie

oguś, tyś mnie nieco rozczarował, Nie masz krewnych w Liverpool, Nie grasz nigdy głównych ról I nie taki z ciebie Casanovą..."

- mówi Bohdanowi Łazuce znajoma z kolejki po cytryny, w jego pamiętnym szlagierze Bohdan, trzymaj się (1964). Dwóch tylko bohaterów dostąpiło tego zaszczytu, by stać się symbolami uwodzi-cielstwa w potocznym rozumieniu: Andaluzyjczyk Don Juan Tenorio i Wenecjanin Giovanni Giacomo Casanovą. Tyle tylko, że Don Juana stworzył Tirso de Molina, a podtrzymali później legendę między innymi, Molier, Byron, Hoffmann, Puszkina; natomiast Casanovą istniał naprawdę.

Urodził się w Wenecji 2 kwietnia 1725 roku jako dziecko... No właśnie... Od razu mamy kłopot. Oficjalnie był synem wędrownego aktora Gaetana Casanovy i porwanej przez niego córki szewca Giovanni Farussi, która, zostawszy również aktorką, używała pseudonimu Zanetta. Według innej wersji Casanovą był owocem romansu tejże Zanetty z hrabią Giovannim Grimanim. Sam Giacomo w pierwszym rozdziale Pamiętników, co zresztą rozповідаł od młodości, kreuje się na syna sekretarza króla hiszpańskiego Alfonsa i nowicjuszeki zakonnej.

Skandale polskie

To ostatnie jest dosyć przejrzyste. Toż legendarny Don Juan miał być synem szambelana na dworze Alfonsa XI. Nie zdziwi nas więc, że okres panowania żadnego z hiszpańskich Alfonsów nie pasuje do daty urodzenia Casanovy. Wiedząc jednak, że wychowany w aktorskiej rodzinie musiał znać sztukę Tirsa de Moliny, możemy wnosić o jego ambicjach. O tyle usprawiedliwionych, że odliczając krótki pobyt w seminarium duchownym, lata płyną mu na teatralnych podróżach, w środowisku, w którym podówczas różnice między aktorką a kurtyzaną oraz aktorem a rajfurem były bardzo subtelne, jeśli w ogóle istniały. Później przychodzi okres dziwnych „dyplomatycznych” misji. Konstantynopol, Korfu, Paryż, Drezno, Praga, Wiedeń... Wszędzie błyskotliwy młodzieniec z mitycznej Wenecji, parający się do tego po trochu pisaniem zgrabnych pamfletów, po trochu szulerką i intrygą, nie tylko zyskuje



łaski kobiece, ale również nawiązuje liczne znajomości, w przeważającej części wysoce podejrzane, umożliwiające niekiedy wejście nawet na wysoko postawione salony, na których nie stroni się zresztą od libertynizmu, oszustwa, szpiegostwa nawet. Wszystko to ma jednak na razie pośledni wymiar. Jest Casanovą awanturnikiem pieczeniarem, jakich wielu. Odróżnia się od nich może większą łatwością podbijania serc kobiecych, ale i pod tym względem nie ma jeszcze wyrobionego nazwiska.

Zupełnie nieoczekiwaną sławę, i to przypadkowo poniekąd, ofiaruje mu dopiero rodzinna Wenecja. Gdy powraca tutaj 29 maja 1753 roku, towarzyszy mu jak najgorsza opinia człowieka z gruntu amoralnego, wydrwigrosza, przyjaciela dwuznacznych kreatur, wreszcie - co może najbardziej niepokoi władze - złośliwego prześmiewcy. Nic dziwnego, że poddany zostaje dyskretnej obserwacji. Wkrótce okazuje się, że agenci mają o czym donosić. Nie chodzi już tylko o permanentną rozpustę, hazard i czerpane z niego niedozwolone zyski, które nie przeszkadzają mu wyłudzać pieniędzy i na inne sposoby. Co gorsza pisuje satyry na najzacniejszych obywateli miasta, których żony uwodzi, a nawet na inkwizytorów. Jak długo można coś takiego tolerować?

W nocy z 25 na 26 lipca 1755 roku zostaje Giacomo Casanovą aresztowany i osadzony w więzieniu Piombi, cieszącym się złowrogą opinią: nikomu nigdy nie udało się z niego uciec. Po półtora roku, 1 listopada 1756 roku, Casanovie to się jednak udaje. Ta spektakularna i niebywała ucieczka fascynuje do dzisiaj reżyserów filmowych (między innymi: Aleksandra Volkoffa, Luigię Comenciniego, Federicę Felliniego), pisarzy, historyków. Można sobie wyobrazić, jaką sensację wywołała w swoich czasach. W jednej chwili staje się Casanovą obiektem powszechnego zainteresowania. Siłą rzeczy głośne być zaczyna i uznawane za nadzwyczajne wszystko, co z nim związane - jego podboje miłosne, jego podróże, próby pisarskie, nawet dość mętne, liberyńskie przemyślenia. Jednym słowem jest teraz człowiekiem, z którym każdy chce się spotkać, którego każdy chce poznać i podejmować. Dotyczy to zarówno filozofów oświecenia, jak i koronowanych głów. Każda znamienita audyencja pociąga za sobą następną. On zaś z owego statusu znajomego wielkich tego świata umie znakomicie korzystać. Tak jak jedna znajomość rodzi drugą, tak samo jedna konkieta erotyczna zapewnia kolejne. Jedne i drugie pośrednio lub bezpośrednio przynoszą też pieniądze (na przykład od króla Francji uzyskuje rangę „tajnego agenta dworu” i związane z tym apanaże). Pławi się w powodzeniu.

Po triumfach w Paryżu i Wersalu wyrusza do Holandii, potem do Anglii, Prus. Początek roku 1765 zastaje go na dworze petersburskim, gdzie caryca Katarzyna II udziela mu audyencji i zaopatruje w listy polecające. Gdzież zrobić mogą one większe wrażenie, jak nie w otoczeniu króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego? Dobrze tego świadom udaje się Giacomo we wrześniu 1765 roku do Rzeczypospolitej. 10 października przybywa do Warszawy. Książę Adam Czartoryski umożliwia mu spotkanie ze Stanisławem Augustem. „Król - wspomina Casanovą - był średniego wzrostu, ale bardzo pięknej budowy. Oblicze jego było pełne wdzięku, dowcipu i wyrazu. Był nieco krótkowidzący, a gdy zamilkł, na rysach jego osiadała melancholia; natomiast gdy mówił, ożywiał się i błyszczał wymową. Miał również dar zaprawiania wymowy wykwinnym dowcipem”. Poniatowskiemu również wenecki gość najwyraźniej przypadł do gustu. Pełny sukces? Nie jest to takie proste.

Skandale polskie

Czartoryski podejmował Casanovę, gdyż poleciłmugo ambasador angielski w Petersburgu, którego prośbie nie bardzo mógł odmówić. Inni magnaci szli z kolei za przykładem króla. Nie zmieniało to jednak faktu, że większość z nich, doceniając i podziwiając pozycję „znajomego władców”, jednocześnie uważała Casanovę za podejznanego karierowicza, a co gorsza, na co szlachta polska była niestęchaniem uczulona, za parweniusza, czyli chama - jak to określał nieoceniony Walerian Nekanda Trepka (autor książki demaskującej podających się fałszywie za szlachciców, a noszącej jakże wymowny tytuł *Liber chamorum*). Casanovą balansował

więc na cienkiej linii. O tym, co zwycięży - podziw i respekt czy pogarda i odtrącenie - decydować musiała jego umiejętność przypodobania się kamaryli dworskiej i najważniejszym przynajmniej spośród wpływowych magnatów. To jednak wcale nie było łatwe. I to bynajmniej nie z politycznych powodów.

Podczas karnawału 1766 roku warszawska socjeta podzielona była w uwielbieniu dla dwóch włoskich tancerek: Katarzyny Catai i Anny Binetti. Casanovą wierny swojej erotycznej legendzie, a może też stęskniony za możliwością powspominania o włoskiej młodości, zaprzyjaźniony był oczywiście z obiema. Rzecz bardzo ryzykowna, jak sam wspomina: „Zobowiązania moje wobec Binetti są znane; ale miałem też zobowiązania wobec Catai, za którą stała cała Familia Czartoryskich i jej stronnicy: między innymi strażnik koronny, książę Lubomirski (Stanisław Lubomirski 1719-1783 - LS), który przy wszelkiej okazji darzył mnie zaufaniem: to był najdostojniejszy z jej wielbicieli. (...) W orszaku wielbicieli Binetti wiódł prym Branicki (Franciszek Ksawery Branicki 1730-1819 - LS), podstoli koronny, kawaler Orderu Białego Orła (...) był jeszcze młody, urodziwej twarzy i żył w przyjaźni z królem”. Owe tajemnicze zobowiązania wobec Binetti, to romans, jaki przed laty miał z nią Casanovą w Wenecji. Ekskochanka uważała więc, nie bez racji, że Giacomo nie tylko winien być jej stronnikiem, ale i adoratorów jej przysparzać. Jego uniki rozzłościły ją na tyle, że poskarżyła się Branickiemu. Na domiar złego przybyła właśnie do Warszawy kolejna gwiazda: Teresa Casacci z Piemontu (najwybitniejszy biograf

Casanovy, Roberto Gervaso, myli Casacci z Catai, co dodatkowo komplikuje sprawę). Taniec nowo przybyłej tak przypadł królowi do gustu, że „Jego Królewska Mość klaskał w dłonie, co było oznaką osobliwej łaski”. Nie trzeba było Casanovie więcej, by natychmiast udać się do garderoby Casacci. Kolejny niebezpieczny krok. Garderobę Catai chroniła opieka Familii Lubomirskiego. Casacci dopiero co spodobała się Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu, ale na razie wiedział jeszcze o tym tylko Casanovą, nie miała więc liczących się protektorów, którzy zapewniliby jej przebieralni prawo azylu lub przynajmniej dyskrecji. Co teraz nastąpiło, tak opisuje Casanovą:

„W chwili gdy trzymałem Casacci w objęciu, wszedł Branicki. Jasne było, że szedł za mną. Ale po co? Oczywiście, by szukać ze mną zwady, bo nie mógł mnie znosić. Towarzyszył mu podpułkownik Bniński. Skoro się tylko zjawił, podniosłem się, trochę z grzeczności, a trochę dlatego, że i tak chciałem odejść; zatrzymał mnie wszakże, mówiąc:

- Jak widzę, wszedłem tu waszmości bardzo nie w porę; widzi mi się, że kochasz tę damę?
- Istotnie, czyliż Ekscelencja nie znajduje jej czarującą?
- Owszem, jest czarującą ponad wszelką miarę; więcej nawet: kocham ją, a nie zwykłym cierpieć rywali.
- Skórom się o tym dowiedział, panie hrabio, nie będę jej już kochał.
- Ustępujesz mi tedy, waszmość?
- Z miłą chęcią; tak dostojnemu panu każdy musi ustąpić.
- To pięknie; wszakże ten, co drugiemu ustępuje, zda mi się być tchórzem.
- Ta uwaga jest trochę za mocna!

To mówiąc, zmierzyłem go dumnym wzrokiem i położyłem dłoń na rękojeści szpady. Trzech czy czterech oficerów było świadkami owego zajścia.

Nie uszedłem jeszcze czterech kroków, gdy usłyszałem za sobą wołanie, że jestem weneckim tchórzem. Mimo że krew uderzyła mi

Skandale polskie

do głowy, opanowałem się i odwróciwszy się, rzekłem doń spokojnie i dobitnie, że poza obrębem teatru łatwo może wenecki tchórz położyć trupem walecznego Polaka. Nie czekając odpowiedzi, zszedłem na dół po szerokich schodach, wiodących do wyjścia z teatru”.

Zachowała się również relacja o wiele mniej wykwinna. Że oto podpity Branicki wtargnąwszy do garderoby Casacci, obrzucił Casanovę stekiem wyzwisk „z których

«nikczemnik» najłagodniejszym był bodaj...". Nie zmieniało to jednak w niczym istoty rzeczy. Znieważony Casanovą, podług wszelkich honorowych reguł, wyzwąć musiał Branickiego na pojedynek. To zaś wiązało się dla niego z ryzykiem, że wielki polski magnat wyzwanie odrzuci, co wytłumaczy pochodzeniem pozywającego, jego kryminalną przeszłością et cetera, czyli nie stawiając czoła, skompromituje go w środowisku. Napisał więc Casanovą do Branickiego list, będący swoistym szczytem dyplomacji:

„Monsieur,

Wczoraj wieczorem obraził mnie Pan lekkomyślnie w teatrze, oskarżając bezpodstawnie o nielojalność (sid - LS), nie mając podstaw ani prawa do takiego mnie potraktowania.

Suponuję z tego, że żywi Waszmość do mnie nienawiść, i nie chce mnie widzieć pomiędzy żywymi. Pragnę i mogę udzielić Panu satysfakcji. Niechże Pan Hrabia raczy przyjechać po mnie i zabrać mnie kareta w takie miejsce, gdzie by zwycięstwo nade mną nie pociągnęło dla Pana konsekwencji prawnych, a i gdzie ja mógłbym skorzystać z tego miejsca przywileju, gdyby Bóg pozwolił mi zabić Waszą Ekszelencję. Nie uczyniłbym nigdy Waszmość Panu tej propozycji, gdyby nie najgłębsze przekonanie, że jest Pan człowiekiem szlachetnym.

Kreślę się etc".

Tym razem to „człowiek szlachetny" nie bardzo miał wybór. Zgodził się na pojedynek, chociaż małodusznie zastrzegł sobie wybór czasu (teraz, natychmiast, podczas gdy Casanovą chciał się bić następ-

nego dnia, a wcześniej sporządzić testament) i broni (pistolety, podczas gdy Casanovą wołał szpady). Niebawem też kareta wywiozła przeciwników i paru znajomych Branickiego (Casanovą nie miał własnych sekundantów) do parku pałacowego około trzydziestu minut jazdy od rogatek Warszawy. Tam niezwłocznie przeciwnicy stanęli w szranki.

Pisze Casanovą:

„Zrzuciłem futro i na wezwanie Branickiego wzięłem pierwszy z pistoletów, który wpadł mi w rękę. Branicki wziął drugi i oświadczył, że ręczy swoim honorem za broń, którą wybrałem. Wypróbuję ją - powiedziałem - na głowie waszmości.

Zbladł, rzucił szpadę jednemu ze swoich sług i obnażył pierś. Z żalem zrobiłem to samo, szpada bowiem, po oddaniu strzału z pistoletu, była już jedyną moją bronią. Odśloniłem również pierś i cofnąłem się o pięć czy sześć kroków, on zaś uczynił to samo. Dalej nie mogliśmy się cofnąć.

Gdy ujrzałem, że się zatrzymał i tak jak ja zwrócił pistolet lufą ku ziemi, zdjąłem lewą ręką kapelusz z głowy i poprosiłem go, żeby uczynił mi ten zaszczyt i strzelił pierwszy. Zaczem nakryłem głowę.

Zamiast niezwłocznie zmierzyć się ku mnie i nacisnąć spust, stracił dwie lub trzy sekundy na celowanie i ukrycie głowy za pistoletem. Zważywszy okoliczności, nie byłem obowiązany czekać, aż wreszcie będzie gotowy, podniosłem nagle pistolet i wymierzywszy dokładnie, strzeliłem, dokładnie w tej samej chwili co i on. Nie może być co do tego żadnej wątpliwości, gdyż wszyscy usłyszeli tylko jeden strzał...".

W tym miejscu drobny komentarz. Formalnie wszystko odbyło się zgodnie z regułami. W tego typu pojedynkach nie wyznaczano kolejności strzałów. Obaj mogli strzelać, kiedy tylko stanęli na mecie. Skoro jednak Casanovą sam zwrócił się do Branickiego, by ten występował pierwszy, winien był odczekać owe „dwie, trzy sekundy", a nawet i dłużej. Nie ma więc znaczenia, że strzelili jednocześnie. Tak czy owak,

Hi

Skandale II p o l s k i e

postąpił Wenecjanin niezgodnie z własną propozycją, co rzucało cień na jego postawę w trakcie spotkania.

Wróćmy jednak do przebiegu wydarzeń w wersji Casanovy:

„Uczułem, że jestem ranny w lewą dłoń i włożyłem ją do kieszeni. Ujrawszy jednak, że przeciwnik mój pada, rzuciłem pistolet i podbiegiem do niego. Jakież było moje zdumienie, gdy nagle ujrzałem nad głową trzy nagie klingi. Trzech dobrze urodzonych morderców chciało mnie rozsiekać nad ciałem swego pana. Na szczęście Branicki nie stracił przytomności i krzyknął na nich piorunującym głosem: «Zostawcie, kanalie, tego kawalera w spokoju!»”.

Potem jeszcze, opatrywany w gospodzie, zwraca się Branicki, słabym już głosem, do Casanovy: „Zabiłeś mnie waćpan. Ratuj się teraz, bo grozi ci śmierć na szubienicy. Nie trać czasu, uciekaj, a nie masz dość pieniędzy, weź, proszę moją sakiewkę”.

Owe trzy szpady nad głową i teraz słowa Branickiego uprzytomniły dopiero Casanovie, w jaką się wplątał sytuację. Rana hrabiego była rzeczywiście bardzo poważna. Kula weszła w ciało na wysokości siódmego żebra z prawej strony i wyszła między trzecim, a czwartym żebrzem z lewej, rozszarpując przypuszczalnie jelita. W tym momencie wychodziła nieubłaganie na jaw cała ambiwalencja pozycji Giacoma w środowisku warszawskiej arystokracji. Kończyły się miraże „przyjaciela królów”, górę brał „wenecki przybłęda”. Zaś wenecki przybłęda, który mało co zabija (Branicki ostatecznie przeżył) wielkiego polskiego możnowładcę ze „starożytnego” rodu, to już był skandal niebywały. Tego nawet król, obojętne, ile by dla Casanovy odczuwał sympatii, nie mógł puścić płazem. Toteż nasz zwycięski pojedynekowicz, nie czekając, uciekł skorzystać z klasztornej azylu braci reformatów. Nie było to wcale takie proste, jak wspomina:

„U bramy klasztornej zadzwoniłem. Furtian, człowiek nieużyty, otworzył drzwi; ujrawszy mnie oblanego krwią, odgadł przyczynę niego przyjscia i chciał szybko zatrzaskać. Ja jednak byłem żwawszy od niego i nie dałem mu na to czasu. Kopnąłem go tak silnie, że się przewrócił, i wszedłem do środka”. Raz wewnątrz był już chwilowo bezpieczny. Tak oto słynny libertyn przesiedział ponad miesiąc wśród mnichów, czekając, aż sprawa ucichnie.

Ucichła rzeczywiście, na tyle, że mógł wyjść, nie obawiając się aresztowania. Wszelako wszyscy się od niego odwrócili. Salony go bojkotowały, król nie tylko nie przyjmował, ale także dał przez posłańca jasno do zrozumienia, że jest w Rzeczypospolitej persona non grata. I tylko wrogowie Branickiego ofiarowali mu znaczną sumę pieniędzy, której ambitnie nie przyjął, czego wkrótce miał gorzko żałować, gdyż z Wiednia, do którego dojechał przez Drezno, także go wydalono, jako bękarta, który przelewać się ośmiela błękitną krew.

Mł(foiŁcw, jL pi\$yj)\. ТЫКл.

m»i

-

■!-.

•!^

Cesarz Francuzów Napoleon I (1804-1814) i Maria Walewska. Grafika z 1860 r.

Skandale

polskie

miłości Napoleona i Marii Walewskiej pisali między innymi: Octave Aubry, baron de Bouille, Marian Brandys, Guy Breton, Hector Fleischmann, Wacław Gąsiorowski, Marian Kukieł, Frederic Masson, Philippe Antoine Comte d'Ornano, Jean Samant. Jej rolę w filmach kreowały między innymi: Maria Dulęba, Greta Garbo, Lana Marconi, Helia Moja, Catherine Schell, Joanna Szczepkowska, Beata Tyszkiewicz, Magali de Vendeuil, Danielle Volle... Malowali ją Francois Gerard, Robert Lefevre, Józef Peszka... Pomimo to wiele momentów tego słynnego romansu pozostaje do dzisiaj niejasnych, a może sztucznie zaciemnionych. Najwięcej światła rzuca tu niewątpliwie znakomita monografia Kazimierza Brandysa Kłopoty z panią Walewską (1969). Jednakiznim nie zawsze przyjdzie się nam zgodzić.

Kiedy i gdzie poznał cesarz polską szlachciankę? Brandys dowodzi przekonująco, że nie zdarzyło się to na ośnieżonym trakcie w Błoniach pod Warszawą, gdzie Napoleon przystanął, żeby zmienić konie w zajeździe pocztowym, chociaż piszą o tym bodaj wszyscy francuscy historycy, w tym tak poważni napoleoniści jak Louis Madelin z Akademii Francuskiej. Nie zgadza się po prostu chronologia. Z bólem serca zrezygnować więc trzeba z tej romantycznej i wielokrotnie filmowanej sceny, jak to sanie cesarskie zatrzymują się przed krytą strzechą chałupą (po drugiej stronie drogi stoi obowiązkowo kapliczka), a powóz mimo Skandale Q polskie

trzasającego mrozu otoczy natychmiast (gdzie była obstawa?) tłum okutaj w kozuchy miejscowej ludności. Pośród niej dwie szlachcianki. Urodą młodszej robi na cesarzu tak piorunujące wrażenie, że po przybyciu do Warszawy każe policji udać się natychmiast na poszukiwanie tego bielskiego zjawiska. Na iluż rycinach, iluż szkicach starano się odtworzyć ten wzruszający moment śnieżnego spotkania. No cóż, cała ikonografia na nic. Poznali się na balu. I rzeczywiście Napoleon od razu zwrócił uwagę na Walewską. Zresztą „zwrócił uwagę” to eufemizm. Pisze kamerdyner cesarski Louis Constant Wairy, do którego relacji można mieć zaufanie.

„Pani W. spodobała się cesarzowi od pierwszego wejrzenia. Blontynka, oczy miała niebieskie, cerę niezwyklej białości. Była niezbyt Wysoka, ale kształtna i o zachwycającej figurze. Cesarz podszedł do niej i zaczął rozmowę, którą ona z wdziękiem i zręcznością podtrzymała, z czego można wnosić, że odebrała nader staranne wychowanie- Cień melancholii widoczny w jej twarzy dodawał jej szczególnego uroku Cesarz widział w niej kobietę poświęcającą się i nieszczęśliwą w małżeństwie, co pociągało go jeszcze bardziej i sprawiło, że zakochał się w niej głębiej niż w jakiegokolwiek kobiecie przedtem. Nazajutrz po białym zdziwiony byłem niezwykle podnieceniem cesarza. Wstawał, chodził, siadał, znowu wstawał, zdawało mi się, że tego dnia nie skończy jego toalety. Zaraz po śniadaniu dał poufne zlecenie pewnemu wielkiemu dygnitarzowi, którego tu nie wymienię. Ów miał się udać z wizytą do pani W. i złożyć jej hołd oraz życzenia cesarza. Pani W. odrzuciła dumnie propozycje, może były zbyt nagłe, a może uczyniła to z właściwej kobiecie kokieterii. Dygnitarz wrócił zmieszany i zdziwiony, że misja się nie powiodła. Następnego ranka zastałem cesarza ciągle jeszcze pochłoniętego tą samą myślą. Nie wyrzekł do mnie ani słowa, choć zazwyczaj bywał wobec mnie dość rozmowny. Poprzedniego dnia kilka razy pisał do pani W, nie dostał jednak żadnej odpowiedzi. Podrażniło to bardzo jego miłość własną, nie był przyzwyczajony

do oporu. Jednakże napisał tyle listów czułych i wzruszających, że pani W. na końcu uległa. Zdecydowała się odwiedzić cesarza wieczorem między godziną dziesiątą a jedenastą. Dygnitarz, o którym wspomniałem, dostał polecenie udania się po nią powozem w oznaczone miejsce. Cesarz, czekając, chodził wielkimi krokami i zdradzał tyleż podniecenia, co niecierpliwości, pytając co chwila, która godzina. Pani W. wreszcie przybyła, ale w jakim stanie! Błada, bez słowa, z oczami pełnymi łez. Wprowadziłem ją do pokoju cesarza. Zaledwie mogła się utrzymać na nogach i drżąc wspierała się na moim ramieniu. Pani W. płakała i szlochała tak, że pomimo oddalenia słyszałem to i serce mi się krajało. Prawdopodobnie podczas tego spotkania cesarz nic od niej nie uzyskał. Około drugiej po północy cesarz zawołał mnie. Przybiegłem i zobaczyłem wychodzącą panią W, płaczącą jeszcze i zakrywającą oczy chusteczką. Odwiózł ją ten sam dygnitarz. Myślałem, że już nie wróci...”

Wróciła jednak po trzech dniach. Co się takiego przez te trzy dni zdarzyło, kto przekonał Marię do zmiany decyzji i rezygnacji z zasad? Kazimierz Brandys skłonny jest podejrzewać owego tajemniczego „wielkiego dygnitarza”. Chodzić tu może o trzy tylko osoby: księcia Benewentu, ministra spraw zagranicznych Charles'a Maurice'a Talleyranda; marszałka Joachima Murata i księcia Frioulu, generała Gerauda Christophe'a Michela Duroca. Myślę,

wbrew Brandysowi, że Talleyranda należałoby wykluczyć. Napoleon był zbyt subtelny, by nie rozumieć, że w oczach konserwatywnych Polaków ów był ksiądz, były biskup i były rewolucjonista uosabiał symbol wręcz zepsucia i libertynizmu. Jego wizyty u Walewskiej odebrane by więc były jako kompromitujące ją wulgarne stręczycielstwo. Chodziło tymczasem o oszczędzenie i tak roztrzęsionej wybrance dodatkowych stresów i żółci złych języków. Duroc z kolei pełnił już wielokrotnie, wspomina o tym między innymi Andre Castellet, funkcję wysłannika cesarskiego „do zleceń intymnych”. Rzecz w tym, że w grudniu 1806 roku, już w Polsce, został on ciężko ranny, kiedy konie od karety poniosły i uderzyły budą w drzewo (tak, tak, wypadki drogowe zdarzały się i wtedy) i w styczniu 1807 roku

Skandale |\* \* polskie  
podnosił się jeszcze z łoża tylko w celu wykonania najpilniejszych, oficjalnych obowiązków. Jest więc mocno wątpliwe, żeby cesarz wyrwał go ze snu o drugiej w nocy, narażając na skoki karety po warszawskich brukach i podwarszawskich koleinach. Pozostaje Murat. Przystojny, wygadany, otoczony bohaterską sławą, uwielbiany przez kobiety. Jedynym kontrargumentem jest tutaj fakt, iż Bonaparte nie znosił, kiedy wiadomości o jego miłostkach docierały do opinii publicznej, a tym bardziej do jego rodziny. Tymczasem Murat był mężem jego siostry Karoliny, a co więcej zawołanym plotkarzem. Pomimo wszystko jestem przekonany, że owym „dygnitarzem” ze wspomnień Louisa Constanta Wairy' ego był właśnie Murat. Czym jednak mógł on przekonać młodziutką, katolicką mężatkę? Opowieściami o wielkości Cezara? Te znała ona i bez niego. Poręczeniami, że wielki człowiek ją kocha i żyć bez niej nie może? Te wszystkie słodkie słówka Napoleon sam jej już napisał. Malowaniem uroków Francji i Paryża? Nie miały one dla szlachty polskiej żadnych tajemnic i bardziej budziły jej zastrzeżenia niż fas-cynacje. Sądzić więc można, że był Murat tylko wysłannikiem i przewoźnikiem. Nakłaniał Walewską do oddania się Napoleonowi kto inny. Kto? Historycy zachodni są tutaj jednomyślni. Louis Madelin: „Wszyscy polscy panowie przysięgli się, żeby rzucić ją w ramiona tego, który decydował o ich losach. Marzyło im się, że u jego boku będzie ona orędowniczką spraw narodowych, a może nawet wyzwolicielką ojczyzny”. Christopher Hibbert: „Kiedy więc kolejna delegacja patriotów przybyła do jego (hrabiego Walewskiego - LS) domu i zgromadziła się pod drzwiami sypialni Marii, jej mąż wpuścił ich i pozwolił, aby prawili jej kazania i próbowali przekonać, iż jej obowiązki wobec Polski wymagają takiego właśnie poświęcenia”. Guy Breton cytuje list, jaki miała dostać Walewska, sygnowany przez „najwybitniejsze osobistości kraju”:

„Pani, drobne przyczyny powodują często przeogromne skutki. Kobiety w każdej dobie miały przemożny wpływ na politykę świata. Historia przeszłości, jako też i współczesna, prawdę tą potwierdza. Dopóki namiętności władać będą ludźmi, wy, damy, najgroźniejszą będziecie potęgą. Gdybyś mężczyzną była, poświęciłabyś życie szlachetnej i słusznej sprawie Ojczyzny. Niewiastą będąc, nie możesz bronić jej własną pierśią, natura jest temu przeciwna. Lecz dla odmiany istnieją i inne poświęcenia, których może Pani dokonać i których winna pani się podjąć, chociażby przykre wam były. Czy sądzi Pani, że Estera oddała się Assureuszowi z miłości? Strach wielki, taki, że omal nie mdlała pod jego spojrzeniem, czyż nie jest dowodem, że uczucie nie wchodziło w grę w owym związku? Poświęciła się dla ratowania kraju i miała szczęście go uratować...”.

I dalej w tymże duchu. Co więcej, i mogłoby się to wydawać argumentem decydującym, o wywieranym na nią szantażu patriotycznym wspomina sama Walewska. Marian Brandys nie daje jej jednak wiary:

„A więc teza Walewskiej - pisze - ujmując rzecz krótko i brutalnie, brzmi tak: władze warszawskie, z księciem Józefem na czele, postawiły ją wobec alternatywy: albo położy się do łóżka z Napoleonem, zapewniając w ten sposób wolność i szczęśliwą przyszłość narodowi polskiemu, albo Napoleon zemści się na Polsce i wycofa z wojny z mocarstwami zaborczymi. Ale teza ta, powtarzana do dziś we wszystkich francuskich biografjach Walewskiej, wzbudza

poważne wątpliwości, zwłaszcza że pewne błędy rzeczowe w przekazie rodzinnego biografy (hrabiego d'Ornano - LS) wskazują na to, iż naszej Danae spod Łowicza musiało się coś we wspomnieniach pokręcić".

Zacznijmy od tego, że Brandys nierzetelnie sprowadza rzecz do absurdu. Ani Walewska, ani którykolwiek z jej francuskich biografów nie piszą o tym, by zgoda albo odmowa Walewskiej miała radykalnie zmienić polityczne plany cesarza. Przeznaczano jej rolę suigeneris ambasadora, który w niektórych momentach szepnąć może słodkie i sugestywne słówko. Liczono też na to, że sama obecność Walewskiej u boku Napoleona przypominać mu będzie o sprawach polskich. Więcej się po niej nie spodziewano. Tego jednak wymagano natarczywie i bez-

(L1

w?

Skandale i polskie

względnie. Dalej tytułuje Brandys Walewską „Danae spod Łowicza”, co jest dosyć pokrętne, gdyż mitologiczna Danae zapłodniona przez Zeusa pod postacią złotego deszczu urodziła Perseusza, a ów dopiero rozprawił się z tyranem Polidektem. Wynikałoby więc, co jest sprzeczne z „alternatywą”, iż liczono w Polsce na potomstwo Marii i Bonapartego. Mniejsza z tym. Dowodem, że coś się Walewskiej „pokręciło”, jest dla Brandysa fakt, iż wymienia ona Hugona Kołłątaja pośród tych, którzy wywierali na nią presję. Tymczasem - triumfuje Brandys:

„Kołłątaj nie należał nigdy do władz napoleońskiej Polski, a w owym czasie nie było go w ogóle w Warszawie. Po zwolnieniu z więzienia austriackiego rezydował stale na Wołyniu pod czujnym okiem policji carskiej, a w styczniu 1807 roku odbywał właśnie przymusową podróż do Moskwy. Na terenie Księstwa Warszawskiego pojawił się dopiero w roku 1810. Ten jaskrawy błąd (albo rozmyślny fałsz) w tak istotnym szczególnie podważa prawdziwość całej relacji...”.

Niestety, Brandys nie jest tutaj konsekwentny. W innych miejscach zaznacza przecież wielokrotnie, że d'Ornano, słabo zapoznany z historią Polski, wielokrotnie upraszcza i trywializuje zapiski swojej antenatki. Jeżeli więc przez nacisk Kołłątaja rozumiała Walewska bardzo prawdopodobne powoływanie się na jego rzekome zdanie, d'Ornano mógł bez trudu, co przydarza mu się parę razy, oblec go w szatę cielesną. W innych przypadkach bierze to Brandys pod uwagę, w tym jednym nie ma nagle wątpliwości: coś się Walewskiej pokręciło. Problem w tym, że historycy francuscy nie opierają się bynajmniej tylko na relacji d'Ornano, ale również, i często przede wszystkim, na listach ludzi z bliskiego otoczenia Napoleona, stacjonujących podówczas w Warszawie, i późniejszych ich wspomnieniach. Jawi się w nich wszystkich jeden i ten sam obraz: grona polskich patriotów starających się ze wszystkich sił wepchnąć Marię Walewską pod napoleońską pierzynę. I niestety, siła złego na Brandysa, w świetle źródeł nie da się dzisiaj temu zaprzeczyć. Z tym że rozumiemy oczywiście autora Kłopotów z panią Walewską.

Bo kłopot jest rzeczywiście poważny i na skandal zakrawa. Oto grono patriotów, pośród których znajdujemy i osoby duchowne, i jej własnego męża, robi wszystko, żeby skłonić Marię do grzechu cudzołóstwa. Zbiorowy wysiłek narodowego rajfurstwa. Opory moralne poświęcanej na ołtarzu ojczyzny nie obchodzą ich oczywiście w najmniejszej mierze. Tym mniej to, co się stanie, jeżeli Napoleon się znudzi i znajdzie sobie, jak to dotychczas wielokrotnie bywało, kolejną „wielką miłość”. Wtedy oczywiście odwrócą się z pogardą od jawnochrześcijaństwa. Jeśli nawet Walewska była za młoda, żeby w pełni rozumieć tę hipokryzję, będącą skądinąd immanentnym składnikiem polskiego katolicyzmu, to na pewno ją przeczuwała. Słyszała zresztą, jak francuscy żołnierze śpiewają na ulicach naprędce ułożoną piosenkę (korzystałem częściowo z przekładu Ryszarda Dulnicza, który zresztą przyjął za Bretonem zniekształcony tekst):

„Na zew Bonapartego Ruszyliśmy do boju, Do kraju paskudnego, Pełnego gnid i gnoju. Jak w trumnie tutaj zimno, Więc mknij do dziewczek pilno (...) Bo u tych Poleczek Biję żar z dupeczek.

To z nimi trzeba być,  
Jedyna w nich nadzieja,  
Jeżeli chce się żyć,  
Gdy wkoło wciąż zawieja  
A starczy im za płacę,  
Gdy ruszysz pogrzebaczem (...)  
Bo u tych Poleczek  
Bije żar z dupeczek.

Skandale I. polskie

Nasz cesarz, tak gadają, U cipki najładniejszej Mieszkanko wnet wynajął Od naszych nor cieplejsze. Tam nie czekając mają Ona mu zniesie jaja (...) Bo u tych Poleczek Biję żar z dupeczek".

Przed drugą i decydującą wizytą u Napoleona napisała jeszcze Walewska list do męża:

„Drogi Atanazy!

Zanim mnie potępisz, musisz zrozumieć, że i Ty także przyczyniłeś się do mojej decyzji. Wiele razy próbowałam otworzyć ci oczy ale Ty świadomie bądź wskutek zaślepienia fałszywą dumą, a może i patriotyzmem, nie chciałeś dostrzec niebezpieczeństwa. Teraz jest za późno. Wczoraj wieczorem z namowy szanownych członków naszego Rządu Tymczasowego odwiedziłam Cesarza. Ich namiętne argumenty złamały moją wolę (chyba cały świat sprzysiął się na moją zgubę). I tylko cud sprawił, że nocą powróciłam do domu jeszcze jako twoja żona. Dzisiaj wyrządzono mi największą zniewagę, jaka spotkać może kobietę, a w każdym razie kobietę o mojej pozycji. Czy cud się powtórzy dzisiaj wieczora, kiedy posłuszna prośbie Cesarza i rozkazowi Ojczyzny znowu pojedę na Zamek? Płakałam tak długo, że nie pozostało już łez ani dla Ciebie, ani dla Antosia, którego polecam Twojej opiece. Całuję Cię na pożegnanie. Uważaj mnie odtąd za zmarłą i niech Bóg zlituje się nad moją duszą.

Maria".

Jak wiemy, cud się nie powtórzył. Gdy zdecydowała się zostać kochanką żonatego Napoleona, wiedziała Walewska doskonale, że przeznaczone jej będzie życie w cieniu i oczekiwaniu na ewentualne wezwanie pana i władcę. Z biegiem czasu przywykła do tego i odgrywała swoją rolę z niezrównaną godnością i lojalnością, które przyniosły jej powszechny szacunek francuskiego otoczenia Napoleona. Nie polskiego wszakże. Tutaj oczekiwano ciągle, że w nocy szeptać będzie mu do ucha: „Najjaśniejszy Panie, a Polska?" Narodowi hipokryci nie rozumieli do końca, że byłoby to ostatnie, co ta zdradzona i poświęcona przez nich kobieta miałaby Napoleonowi do powiedzenia. Skandal nie zdał się na nic.

Maria Walewska do Polski nie wróciła już nigdy. Syna, którego powiła ze związku z cesarzem, wychowała na dzielnego Francuza. Odegrać miał później w dziejach swojej ojczyzny niemałą rolę, między innymi jako minister spraw zagranicznych Napoleona III. Ale to już oczywiście zupełnie inna historia.

Wielki Książę Konstanty Pawłowicz Romanow, następca tronu rosyjskiego w latach 1801-1823, naczelną wódz sił zbrojnych Królestwa Polskiego i faktyczny jego wielkorządca w latach 1815-1830.

Portret księcia wykonany przez Petera Ernsta Rokschta w 1809 r.

III

Skandale I. polskie



Тен!

ar Aleksander I nie miał potomstwa, cieszyć się mógł natomiast dziewięciorgiem rodzeństwa. Najstarszy pośród niego był, urodzony 8 maja 1779 roku, a więc zaledwie półtora roku młodszy od panującego, Konstanty Pawłowicz, w tej sytuacji naturalny następca tronu. W ramach przygotowywania do oczekujących go odpowiedzialności, w grudniu 1814 roku mianowany zostaje naczelnym wodzem wojsk polskich w Królestwie Polskim, czyli de facto omal samodzielny władca kraju nad Wisłą. Charakter ma trudny, temu nie da się zaprzeczyć. W tradycji polskiej zapamiętano mu jednak tylko wady: porywczosć, wybuchowość, która prowadziła nieraz do brutalności, brak dbałości o dobre maniery... Zapomniano o drugiej stronie medalu. Ten „azjatycki satrapa” - taki ostał się stereotyp - szanuje polskie tradycje. Przy awansach kieruje się tylko oceną kompetencji, a nie narodowościowymi i historycznymi uprzedzeniami. Promuje na przykład na komendanta Szkoły Aplikacyjnej w randze pułkownika i odznacza orderem św. Anny II klasy Józefa Longina Sowińskiego, napoleońskiego bohatera wojny z Rosją, który pod Borodino stracił nogę, a wkrótce stanie się legendą powstania listopadowego. W przyjaźniach i miłościach Konstanty wyznaje zasadę: wszystko albo nic, co, jak z samej definicji wynika, powoduje jednych nienawiść, innych uwielbienie. Tabezkom-promisowa postawa zresztą miała dla niego brzemienne konsekwencje,

Skandale

polskie

kiedy zakochał się w polskiej szlachcianeczce Joannie Grudzińskiej. Z wzajemnością. Pani jest modrooka, płowowłosa, drżąca i czuła. Konstanty zaś, jak wiemy, wszystko albo nic. Natychmiast wnosi o rozwód z dotychczasową żoną księżną sasko-koburską-Saalfeld Juliana. Dla ludzi z tak wysokich sfer o rozwód, a nawet unieważnienie małżeństwa, nie trudno. Co innego z planowanym nowym związkiem. Jakaś Polka, zgoła nie błękitnej krwi, zasiąść by miała ewentualnie na Kremlu? Nie do pomyślenia! Ale Konstanty, pamiętamy: wszystko albo nic, nie waha się ani chwilę. Skoro miłości nie da się pogodzić z koroną, tym gorzej dla korony. W oficjalnej deklaracji zrzeka się następstwa tronu, które siłą rzeczy przechodzi na jego młodszego brata Mikołaja. Węzeł gordyjski przecięty? Nie jest to wcale takie proste. 19 listopada 1825 roku umiera Aleksander I. Na tron powinien wstąpić najnaturalniej w świecie Mikołaj Pawłowicz. Tymczasem dzieje się rzecz dziwna. Kiedy tylko w Pałacu Zimowym otrzymano wiadomość o zgonie cara, wszyscy spieszą się składać przysięgę na wierność... Konstantemu. Widząc to, deklaruje mu służbę również sam Mikołaj. Cóż się stało? Mogą historycy wytykać Konstantemu wszelkie wady. Zimny egocentryk Mikołaj miał ich wszelako, co było sekretem poliszynela, nieporównanie więcej. Od megalomanii Konstantego z Grudzińską minęło już pięć lat, czas leczyć etykietę, nawet to dałoby się teraz zaakceptować. Byle nie Mikołaj. Wszyscy w najwyższym napięciu czekają więc na wieści z Warszawy. I oto kurier na spienionym koniu przywozi list: Konstanty ponawia rezygnację z wszelkich pretensji do kremlo-wskich honorów i życzy Mikołajowi szczęśliwego i owocnego panowania. W tym momencie stajemy przed nie lada zagadką, którą może historycy nazbyt nieopatrnie zlekceważyli. Co powoduje Konstantym? Już nie kwestie matrymonialne. Na nie spuszczonego w Petersburgu łaskawą zasłonę milczenia. Nie brak ambicji. Historycy polscy oskarżają go przecież o ich nadmiar. Więc co? I tutaj cisnąć się zaczyna na usta. Nie, nie odpowiedź. Raczej niestosowne przypuszczenie, złuda ewentualnej, nieprawdopodobnej odpowiedzi. A może ów Konstanty pokochał Polskę i Polaków, może lepiej mu było w Pałacu pod Blachą,

niż w petersburskich wspaniałościach? Ogromnie to ryzykowna, bo sprzeczna z nienawistną tradycją, hipoteza. Cóż, kiedy dalsze wydarzenia zdają się jakby ją potwierdzać.

Jest późny wieczór 29 listopada 1830 roku. Siąpi leniwy deszczyk. Pustymi ulicami garstka uczniów Szkoły Podchorążych Piechoty skrada się pod Belweder. Jeśli zabiją Konstantego,

przelana krew - tak myślą - uniemożliwi wszelki kompromis i zmusi rodaków do walki z Rosją. Bo na razie - pisze Jarosław Marek Rymkiewicz - „żaden z wyższych oficerów - żaden pułkownik, nawet major żaden nie miał zamiaru wziąć udziału w tej imprezie podporuczników i sierżantów". Ale plan zawodzi. Wielki Książę Konstanty zdążył uciec i dołączyć do swoich oddziałów. Oto już nadjeżdża od Ujazdowa na czele dwóch tysięcy huzarów. „Książę - twierdzi Wacław Tokarz - mógł stłumić powstanie niemal natychmiast po jego wybuchu. Już wówczas, kiedy zdołał skoncentrować w Alejach jazdę rosyjską. Nadałby mu wtedy «charakter drobnego epizodu bez poważniejszych następstw politycznych». Gdyby ta jazda od razu uderzyła, powstanie w północnej części miasta w ogóle by - zdaniem Tokarza - nie wybuchło. Co miało stać się powstaniem listopadowym, byłoby przez nas pewnie nazywane buntem Szkoły Podchorążych albo procesem belwederczyków...". Ale książę Konstanty rozkazu do ataku nie wydaje. W tym czasie ma miejsce dziwne, a może w jakiejś mierze symptomatyczne wydarzenie. W momencie kiedy Konstanty trwoni czas w Alejach, przechodzi tamtędy spóźniony spiskowiec nazwiskiem Wołoszyński. Zdumiony i przerażony widokiem Wielkiego Księcia, który podług planu miał już nie żyć, postanawia naprawić zaniedbanie kolegów. Wyrwa stojącemu najbliżej kira-sjerowi karabin i mierzy... Chwila szamotaniny, chwila sprawdzenia, czy broń naładowana. Konstanty mógłby dawno już uciec, schronić się za szeregami gwardii. Nic z tego, spina konia i woła: „Strzelaj, strzelaj!". Wołoszyński strzela, ale broń nie wypala. Strzela, podług świadków, jeszcze drugi i trzeci raz. Rymkiewicz pisze słusznie, że to musiało trwać. Trzeba było przeładować dwukrotnie. Wcisnąć nabój w lufę, odbić stępek.. Reakcja Wielkiego Księcia to jedno. Można ją złożyć na karb

Skandale i polskie  
ТЯШШШЯ

paniki, szoku, zaskoczenia. Ale zupełny brak przeciwdziałania obstawy to już zupełnie inna rzecz. Przecież za taką bierność groziły huzarom degradacja i najsurowsze kary. Czy zachowaliby się tak biernie bez uprzedniego rozkazu, żeby nie ingerować? Dlaczego miałby jednak Konstanty taki rozkaz wydać? Jest w tym wszystkim coś niewytłumaczalnego. Jakiś gest samobójczej rozpacz czy może też całkowite zagubienie, co w owej chwili zresztą niemal na jedno wychodzi. Czyżby poczuł się nie zaatakowany przez patriotów chcących walczyć z satrapą i wrogą okupacją, ale zdradzony i niesłusznie odtracony przez SWOICH poddanych i SWOICH żołnierzy? Wbrew logice wydaje się, że tak to właśnie musiało z jego punktu widzenia wyglądać.

Co było dalej, wiemy dość dokładnie. Książę, wbrew radom przybyłych wiernie do jego boku polskich oficerów, zaczyna wycofywać z Warszawy wojska rosyjskie i pozostałe przy nim jednostki polskie. Hrabiemu Andrzejowi Zamoyskiemu mówi:

„Les Polonais lont commencee, cest une affaire polonaise, qu'ils s'arrangent entre eux. Moi, je ne me mele de rien, que les Polonais s'arrangent, cest leur affaire" („Polacy rzecz zaczęli, to jest sprawa polska, niech to załatwią między sobą. Ja się do niczego nie mieszam, niech to Polacy załatwią, to ich sprawa").

„Te słowa Konstantego - pisze Rymkiewicz - stały się rychło sławne i powtórzyli je niemal wszyscy pamiętnikarze tamtej epoki, nieco tylko niekiedy tok książęcej tyrady zmieniając. «Ja się nie mieszam, to nie moja sprawa, sami to teraz między sobą załatwiającie.

Nawarzyliście piwa, to je teraz pijcie». Trafiły też te słowa do owej odezwy, którą Rada Administracyjna odpowiedziała na «równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy». Następnego dnia, kiedy odezwę rozlepiono, wszyscy warszawiacy wiedzieli więc już, że «Wielki Książę Carewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania wzbronił, gdyż rozdwojone umysły Polaków Polacy sami skojarzyć powinni».

Ulica zinterpretowała to natychmiast po swojemu. Oto Konstanty stchórzył, zachował się jak baba (zaraz dołączono opowiadanie, jak to rzekomo w kobiecym przebraniu uciekał z Belwederu). Gruchnęły okolicznościowe wierszyki i piosenki:

„Pohańbiony, pogněbiony, Bez przytułku i obrony, Spuścił na dół srogie brwi, Płacze, a lud z niego drwi”.

Niemal nikt nie chciał zauważyć, że owo: „Ja się nie mieszam, niech Polacy to załatwią między sobą...” znaczyło w gruncie rzeczy: „Nie chcę rozlewać polskiej krwi, żeby nie spłynęła ona rzeką, która na przyszłość oddzieliłaby mnie od moich Polaków”. Tymczasem tak to właśnie zinterpretowano na dworze carskim, gdzie Konstanty, co nie umacniało jego pozycji politycznej, wielokrotnie i demonstracyjnie obnosił się ze swoimi propolskimi sympatiami. Mógł Wielki Książę myśleć o przyszłości, gdyż na razie Rubikon nie został jeszcze przekroczony. Nic się definitywnie nie stało. Konstanty mógł się czuć skrzywdzony, obolały, na swój sposób obrażony, ale przecież jeszcze niezagrożony. Powstańcy nie znajdowali, poza plebsem, szerszego poparcia, tak że w rozpacz zaczęli mordować własnych, polskich dowódców. Również w Petersburgu pierwsze wiadomości o wydarzeniach w Warszawie spowodowały bardziej dezorientację niż mobilizację do stanowczych działań. Szybko się to jednak po obu stronach zmienia. Warszawa się radykalizuje, Mikołaj wyprawia do Królestwa wojska pod dowództwem feldmarszałka Iwana Dybicza. Wycofujący się Konstanty musi do nich dołączyć. Nie napawa go to radością. „Wszyscy Rosjanie (w oddziałach Konstantego - LS), od żołnierzy do generałów, są niezmiernie stroskani, strudzeni i zniechęceni. Upadek ducha między nimi widoczny. Cesarze-wicz wygląda bardzo zmieniony, nie widać w nim owej surowości, którą przed chwilą każde spojrzenie jego odznaczało...”. Wie o tym car Mikołaj, toteż wkrótce spotka jego brata niemałe upokorzenie.

Skandale polskie

Nie on dowodzić będzie całością wojsk rosyjskich, ale Dybicz. Pozostaje mu tylko rola biernego obserwatora wydarzeń.

Tymczasem historia przyśpiesza. Pod Stoczkim (14 lutego 1831), pod Wawrem (20 lutego) i Białoleką (24-25 lutego) stoczone zostają kolejne bitwy. 25 lutego armia rosyjska wychodzi na przedpolą Grochowa. Rozpoczyna się bój, który przejdzie do narodowej legendy. Pisał Konstanty Gaszyński:

„Witaj, gaju Grochowa, polskie Termopile! Twe olsze potrzaskane sterczą na mogile Jak kolumny pomniku”.

Centralnym i decydującym miejscem starcia był młody las, zwany Olszynką Grochowską.

„Bęben zagrział - krok większy - zbliżyć się zaczęto.

Sto bagnatów na czele sterczy spod ramienia,

Na ich ostrzu milionów leżą przeznaczenia,

I wrogów rośnie żołnierz w kolumnę ściśniętą.

Z stron obydwóch na wiatry chorągiew rozpięto.

Z pokoleniami dzisiaj całe pokolenia,

Walczyć mają o palmę zwycięstwa, zniszczenia.

Dzisiaj triumf albo drugie męczenników święto.

Więc naprzód! Tysiąc głosów z strony naszej wrzało!

Proch z panewki - zsypali - już bieżą - skry broni,

Widać w kurzu - wróg strzelił - dym zaćmił - gdzie oni.

Wszystko jak w kotle jakim zawrzało i zgasło...”.

Stefan Garczyński myli się w swoim opisie dwa razy. Po pierwsze, pułki piechoty polskiej nie miały jeszcze w lutym 1831 roku sztandarów; po drugie, nie było w podmokłej Olszynie kurzu. Wręcz odwrotnie: podmarznęte błoto, pękający lód kałuż i połacie śniegu. Niewiele też było widać. Dowódcy obu stron tylko po liczbie wycy-

fujących się z lasku wnosić mogli o tym, co się tam naprawdę dzieje, i prawie w ciemno wysyłali posiłki. Co innego ze starcami kawalerii na skrzydłach. Te podziwiać można było nawet z mizernych, okolicznych wzgórków w całej okazałości dramatycznego i malowniczego spektaklu. Z jednego z tych piaszczystych pagórków sztab rosyjski przyglądał się szarzy polskiej jazdy. Ułani ruszyli jak na manewrach. Szeroką ławą, galopem. Gdy byli już blisko linii białych jeźdźców rosyjskich, podnieśli szable i przeszli w cwał. I wtedy właśnie stojący obok Dybicza Wielki Książę Konstanty nie wytrzymał...

Świadkowie podają cztery wersje wydarzenia. Według pierwszej zaczął bić brawo i krzyżeć: „Dobrze, dobrze, dzieci!” Według drugiej klaskał i gwizdał Mazurka Dąbrowskiego. Według trzeciej najpierw krzyżał, a potem klaskał i gwizdał. Według czwartej wreszcie: krzyżał, klaskał, gwizdał, po czym oświadczył Dybiczowi i jego oficerom, iż „Żołnierze polscy są najwaleczniejsi na świecie”. Oczywiście nie ma między tymi wersjami merytorycznej różnicy. Skandal był niesłychany. Oto syn i brat carów, członek rodziny panującej, książę i wojskowy, zachwyca się publicznie, w trakcie bitwy, buntownikami atakującymi jego własne wojska. Czegoś takiego nie odnotowano dotychczas w annałach polskich, ani rosyjskich dziejów. Przerażony i bez mała zszokowany Dybicz wystosował bezzwłocznie odpowiedni raport do Petersburga. Reakcja była szybka. Skandaliście nakazywano opuścić natychmiast armię i udać się na czas nieokreślony do prowincjonalnego Witebska. Przyjęty tam został z najwyższym chłodem i właściwie internowany. Nie na długo jednak. Zmarł bowiem w mieście nad Dźwiną już w cztery miesiące później, 27 czerwca 1831 roku. Panowało powszechne przekonanie, historycy spierają się o to do dzisiaj, że został otruty. Właściwie jeden tylko Dymitr Siergiejewicz Mereżkowski od początku sprzeciwiał się tej tezie, twierdząc, że zabiły go „rozpacz i spleen”. Śmierć Konstantego, podobnie zresztą, jak jego demonstracja pod Grochowem, nie poruszyły polskiej opinii publicznej, nieumiejącej nigdy zrezygnować z uświęconych uprzedzeń, a tym bardziej przyznać się do ferowania niesprawiedliwych wyroków. Dla dobra podręczników

III

Skandale                      polskie

ЯННННН

miął Konstanty pozostać azjatyckim satrapą i gnębicielem Polaków. Tłumaczono, że był niezrównoważony i dlatego lubił szokować dwór petersburski swoim rzekomym (owa rzekomość była zawsze podkreślana i podawana jako pewnik) polonofilstwem. To, co mogłoby, jak się wydaje, przyczynić się do sympatii dla Wielkiego Księcia, a przynajmniej zapewnić mu dobre słowo w późniejszej tradycji, obracało się przeciwko niemu. Nie dość, że tyran, to jeszcze prowokator i właściwie szaleniec. Istny Neron. Inni sugerowali, że popisywał się „polonolub-stwem” z wyrachowania, bo służyło mu ono w imperialnych intrygach. W takim przypadku rację miałby Rymkiewicz, który stwierdza: „Jeśli ta miłość, którą żywił do nas Konstanty, była interesowna, to trzeba powiedzieć, że nie był to najlepszy interes”. Problem w tym, że jeśli była bezinteresowna, to interes okazał się jeszcze gorszy.

Stefan Bobrowski, członek władz w powstaniu styczniowym w 1863 r. Zdjęcie z nieznanego okresu

Skandale    w    polskie

- ... -- /кЛ.ч .=#:'>■ ww

5 \*4M4.'                      I O? SA\*H0

Stefan Bobrowski mógł przejść do historii jako wuj Conrada Korzeniowskiego. Niestety, stało się inaczej.

Urodzony 22 kwietnia 1841 roku w Terechowej, na Ukrainie, pojawia się Bobrowski w historii już w wieku piętnastu lat (siei) jako zawodowy rewolucjonista. Studiuje wtedy prawo (do zapisania się na studia nie wymagano dyplomów szkół niższych) na Uniwersytecie

Petersburskim, gdzie wprowadza go w świat i promuje towarzysko starszy o czternaście lat, mający już za sobą i szlify oficerskie i zsyłkę na Syberię, uwielbiany przez kobiety, czerwony radykał Zygmunt Sierakowski. Czyż można się dziwić, że wpatrzony w niego jak w tęczę nastolatek przejmuje wszystkie jego poglądy i staje się entuzjastycznym wykonawcą jego poleceń? Furda studia, ważny jest płomień walki, który rozpaść trzeba w całej Europie, poczynając oczywiście od ziem polskich. W 1860 roku wysłał Sierakowski Bobrowskiego do Kijowa, żeby nawiązał kontakt ze spiskującymi studentami zrzeszonymi w tajnym, niepodległościowym i proklamującym maksymalistyczne hasła społeczne Związku Trojnickim. Są to przeważnie jego rówieśnicy, nie-mający jednak porównywalnej petersburskiej ogłady i części nawet znajomości w rewolucyjnych sferach. W sposób niemal naturalny staje się więc ich ambasadorem. Otwiera się w jego życiu nowy rozdział: komiwojażera rewolucji. Jedzie pozyskiwać zwolenników idei buntu

Skandale V> polskie

do Paryża, Mediolanu, Londynu. Niemal wszędzie spotyka się z dużą dla swoich idei powściągliwością. Nie entuzjasmują się nimi ani Giuseppe Mazzini, ani Aleksander Hercen, ani nawet działacze Komitetu Emigracji Polskiej w Paryżu. Dla Bobrowskiego ma to jednak w gruncie rzeczy drugorzędne znaczenie. Najważniejsze, że on teraz ich wszystkich zna. Wraca do kraju opromieniony blaskiem wielkiego świata. Nie jest już jakimś tam protegowanym Sierakowskiego, ale gwiazdą, która dawnego protektora przyćmiewa, politykiem i autorytetem pełną gębą. Natychmiast włączony zostaje w skład Komitetu Centralnego Czerwonych, w którym właśnie odbywają się gorączkowe spory, czy chwycić za broń i stawać do beznadziejnej walki, czy poczekać na wyniki reform Aleksandra Wielopolskiego. Decydujące jest posiedzenie w dniu 16 stycznia 1863 roku. Biorą w nim udział, oprócz Bobrowskiego: Józef Jaworski, Jan Majkowski, Karol Mikoszowski i Zygmunt Padlewski (najbardziej zrównoważony i umiarkowany Agaton Giller zrezygnował z udziału parę dni wcześniej). Ale nawet w tym zredukowanym gronie większość (Jaworski, Majkowski i Mikoszowski) ma wątpliwości. Do powstania prą ze wszystkich sił tylko Bobrowski i Padlewski. Nie ma rzeczowej dyskusji. Nikt nie myśli o realiach, uzbrojeniu, amunicji, zaopatrzeniu, uwarunkowaniach politycznych, wojskowej strategii czy choćby taktyce. Ważne okazują się tylko płomienne słowa. A tych Bobrowski i Padlewski mają pod dostatkiem. Determinacja i kra-somówstwo zwyciężają. Za chwilę, uwierzywszy w patos manifestów, ruszy patriotyczna młodzież w spowite śniegiem lasy, na straceńczy bój, z myśliwskimi dwururkami, ubrana jak na polowanie albo romantyczny spacer po ścietym zimą parku dworskim.

W ten sposób dwudziestodwuletni „niedokończony student” i dwudziestoosmioletni podoficer podjęli decyzje determinujące losy narodu. Wzięli na swoje barki odpowiedzialność ogromną. Pięć miesięcy później, w maju 1863 roku, Padlewski, który pozostawał po wybuchu powstania w województwie płockim, nosząc tam dumny tytuł wojewody Rządu Narodowego, udał się dorożką w kierunku

Warszawy, czyli przez tereny opanowane całkowicie przez Rosjan, żeby odebrać defiladę (siei) powstańczego oddziału. Cóż z tego, że podróż była w najwyższym stopniu niebezpieczna? Wojewoda nie mógł się przecież, tak uważał Padlewski, pojawić na uroczystości bez wszelkich insygniów swojej wysokiej godności. Wsadził więc pod koziół pełny mundur narodowy, szablę ceremonialną, konfederatkę i wykonane przez zaprzysiężonego grawera orderzy do nadania zasłużonym w walce z Moskalami. Gdzieś koło Białobrzegów następuje dramatyczna scena. Powozik zatrzymuje znudzony, rutynowy patrol rosyjski. Każą pasażerom wysiąść, żeby zrewidować bagaże. W gruncie rzeczy chodzi o łapówkę. Kozacy pobierają w ten sposób swoiste myto za przejazd. Trzeba im dać, każde dziecko to wie, jednego, dwa ruble dla świętego spokoju. Padlewski jest jednak mężem stanu, jednym z przywódców powstania, i godność swoją odpowiednio nosi. Tak niska suma byłaby

dlań wręcz upokarzająca. Wyjmuje z gestem sto rubli i podaje skośnookiemu esaulowi. Gdyby dał tyle co wszyscy (stwierdza to w Pamiętnikach Mikołaj Wasyliwicz Berg, który dobrze znał stosunki panujące w carskim wojsku), pewnie by go puszczono. Ale sto rubli - takiej sumy pewnie Kozak na oczy jeszcze nie widział... To musi budzić podejrzenia. Natychmiast otaczają Kozacy dorożkę ciasnym kołem. Nie muszą się specjalnie trudzić. Wszystkie kompromitujące dowody są pod ręką. Insygnia, mundur, broń, konfederatka... Parę dni później, 15 maja, zostaje Padlewski rozstrzelany w Płocku. Odchodzi jeden z dwóch wielkich instygatorów powstania. Heroiczna, spiszowa śmierć. Tyle że próżna i bezużyteczna, osierocająca przy tym rozproszonych po lasach straceńców.

W dniu, w którym Padlewski stał przed plutonem egzekucyjnym, Bobrowskiego od przeszło miesiąca nie było już na tym świecie. Jego losy potoczyły się inaczej, chociaż w istocie w sposób boleśnie podobny. Po wybuchu powstania organizuje Tymczasowy Rząd Narodowy, którego jest przywódcą i duszą. Powstanie trwa właściwie dzięki niemu. Organizuje zaopatrzenie oddziałów w broń, żywność, odzież. Próbuje zcentralizować dowodzenie, szuka porozumienia

Skandale % polskie

z Białymi, stara się zażegnawać nieustające kłótnie między członkami powstańczych władz. To ostatnie, niestety, udaje mu się nie zawsze. Niekiedy sam się musi w spory angażować. Tak jest właśnie w sprawie powierzenia dyktatury popieranemu przez Białych Marianowi Langiewiczowi, czemu Bobrowski jest stanowczo przeciwny. Trwają zajadłe dyskusje, toczą się skomplikowane intrygi, które doprowadzają wreszcie do dziwnej i nie do końca przez historyków wyjaśnionej sytuacji. W każdym razie Langiewicz dostaje nominację, którą ze strony Rządu Tymczasowego zatwierdza jego rzekomy członek, niejaki Adam Grabowski. Czy dysponował on sfalszowanym pełnomocnictwem, czy może (Bobrowski używał pseudonimu Grabowski właśnie) mistyfikacja była bardziej jeszcze groteskowa - nie wiadomo. W każdym razie podczas spotkania Grabowskiego z Bobrowskim dochodzi do burzliwej wymiany zdań, podczas której, łatwo to możemy sobie wyobrazić, padają zapewne mało parlamentarne słowa. Na zakończenie Bobrowski odmawia podania Grabowskiemu ręki. Skandal! Grabowski wyzywa go oczywiście na pojedynek...

Kto zacytował Adam Grabowski? Stefan Kieniewicz pisze oględnie, iż: „Był to zrujnowany arystokrata, nie cieszący się dobrą opinią w swoim środowisku”. Błąd. Żadni z Grabowskich (a było ich wielu, pieczętujących się co najmniej czternastoma herbami od Jastrzębca po Wieniawę) nigdy arystokratami nie byli. Adam wżenił się w Lubomirskich, stąd zapewne przesadna atencja Kieniewicza, ale posag żony natychmiast roztrwonił, w pełnej zresztą zgodzie z opinią sobie współczesnych, którzy uważali go za bibosza, hazardzistę i utracjusza. Tutaj jednak zagadka. Otóż ów ścigany przez wierzycieli bankrut wpłaca nagle poważny fundusz na rzecz Rządu Tymczasowego. Jest zupełnie pewne, że nie były to, bo ich nie miał, jego własne pieniądze. Czyje więc? Komu zależało, żeby wkraść się w łaski powstańców? Wiemy tylko jedno, co nasuwa jeszcze bardziej niepokojące pytania, jak tak podejrzana figura miała możliwość obracania się w kręgu samej elity zakonspirowanych skądinąd przywódców powstania i prowokowania i sprowokowania człowieka dla toczącej się walki niezbędnego. Niestety, cała rzecz w tym, że Bobrowski sprowokować się dał. Urażoną ambicję stawiał ponad elementarną odpowiedzialność za losy tych wszystkich, których przecież sam do walki wysłał. Nie obeszło go nic poza najprymitywniej pojętym, korporacyjnym poczuciem honoru. Przyjął wyzwanie, którego przyjąć nie miał moralnego ani historycznego prawa.

Pisze Jędrzej Giertych:

„Przejmujący jest tragizm historyczny tej sceny. Bobrowski własną, indywidualną decyzją przedłużył powstanie. Sam jeden kładąc podpis i pieczęć Rządu Narodowego, stał się nową władzą. Podstawił siebie na miejsce Langiewicza, wziął ster w swoje ręce. I w tej sytuacji przyjmuje pojedynek z awanturnikiem, opojem. Chodziło o sprawę Rządu Narodowego, ale

przecież nawet w ramach tych głupich kodeksów honorowych możliwe było odroczenie pojedynku do końca powstania. (...) Pojedynek był prawie samobójstwem, bo Bobrowski był krótkowidzem, bez żadnej wprawy w strzelaniu, natomiast przeciwnik jego był znakomitym strzelcem, otrzaskanym z pojedynkami".

Ponieważ zaś to Grabowski był obrażony - jemu Bobrowski nie podał ręki przysługuje mu nie tylko wybór broni, ale również miejsca śmiertelnego spotkania. Wybiera Grabowski Izbicę koło Rawicza, w swoich rodzinnych stronach. Przywódca powstania jedzie więc najpierw, co jest eskapadą najwyższego ryzyka, przez tereny kontrolowane przez Moskali, potem przekracza granicę zaboru pruskiego, po to tylko, żeby strzelać się z typem spod ciemnej gwiazdy. Jesteśmy tutaj w obszarach nieodpowiedzialności bliskiej obłudowi, której nawet niespełna dwadzieścia dwa lata Bobrowskiego nie są w stanie rozgrzeszyć.

Wreszcie, 12 kwietnia 1863 roku, staje naprzeciw siebie. Pierwszy strzał przysługuje oczywiście „obrażonemu” Grabowskiemu. I ten pierwszy strzał wystarcza. Bobrowski ginie na miejscu. Cóż z tego, że opinia publiczna uzna to za skandal i morderstwo (w dosyć abs-  
Skandale

polskie

trakcyjnym zresztą sensie, gdyż Grabowskiego żadne odium, nawet towarzyskie, nie dotknęło)? Tak zginął człowiek niewątpliwie prawy i zdolny. Udowodnił tylko, że honor i ojczyzna to niezupełnie to samo, Boga nawet do tego nie mieszając.

иБлИглл- Libryi -

Barbara Ubryk, Karmelitanka Bosa z 2. poł. XIX w. Grafika z epoki

Skandale i polskie

Л.І Л, ЩяТiЕ -

nia 20 lipca 1869 roku przyszedł na adres Sądu Krajowego w Krakowie anonim informujący, że w klasztorze Karmelitanek Bosych przy ulicy Kopernika 44 jedna z siostr, nazwiskiem Ubryk, więziona jest w nieludzkich warunkach. Antykościelnego donosu (ciekawe, jak by to wyglądało w IV Rzeczypospolitej!?) nie zlekceważono. Ustalono dość szybko, że istotnie jedna z karmelitanek nazywa się Barbara Ubryk. Ktoś, kto zna nazwisko zakonnicy, a występują one tylko pod imieniem, i to po ślubach wieczystych zmienionym, musi być rzeczywiście wprowadzony w wewnętrzne sprawy zakonu. Sprawa stała się poważna. Poważna, ale jednocześnie w najwyższym stopniu kłopotliwa. Mniszki Bose Zakonu Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel (OCD) mają bowiem niezwykle surową regułę, w której klauzura ma charakter charyzmatyczny. Wtargnięcie do niej bez zgody władz kościelnych oznaczać by mogło konflikt o nieobliczalnych konsekwencjach. Z kolei wystąpienie o taką zgodę równoznaczne było z poinformowaniem czynników eklezjastycznych o podejrzeniach i daniem im czasu na ewentualne zatarcie śladów.

Wyznaczony do prowadzenia śledztwa młody i energiczny Władysław Gebhardt postanowi działać legalistycz-nie, ale szybko. Kiedy udawał się po pozwolenie do biskupa, skompletowana ekipa śledcza czekała już pod klasztorem gotowa do natychmiastowego działania. Dodatkowo ściągnięto na miejsce pluton austriackiej

Skandale i polskie

żandarmerii. Gebhardt miał dużo szczęścia. Biskup Antoni Junosza Gałęcki, do którego się zwrócił, był wprawdzie lojalistą politycznym, zaciekłym przeciwnikiem powstania styczniowego, jednak słynął z rygoryzmu w kwestiach obyczajności duchowieństwa (do tego stopnia, że w 1879 roku swoisty bunt księży zmusił go do rezygnacji z funkcji biskupich w diecezji krakowskiej). Natychmiast wydał żądany glejt i delegował do komisji, jako komisarza duchownego i subdelegata apostolskiego, księdza prałata Romana Spithala. W tej sytuacji opór karmelitanek, który rzeczywiście próbowały stawiać, nie zdał się na nic. Co przybyli znaleźli w najdalszej celi klauzuru korytarza, opisuje Juliusz Stanisław Harbut:

„Po otwarciu drzwi zaskoczyły członków komisji sędziowskiej w progu ciemności, a pośród nich uderzył nozdrza przybyłych straszny wyziew kloaczny i woń silnej wilgoci oraz zgnilizny, zapierający oddech. Dopiero po chwili, gdy oczy członków komisji przyzwyczaiły się do otaczającej ich ciemności, a słaba smuga światła dziennego, dzięki otwarciu drzwi, wtargnęła do środka celi, uderzy ich wśród mroków celi straszniejszy niż wszystko, bo wstrząsający i mrozący krew w żyłach widok.

«Widok», o ile można użyć tego słowa, bo w izbie tej nie było wcale okna, a jedynie przez szczelinę w przeciwległej ścianie sączyło się nieco światła dziennego do celi.

Wchodzący stanęli w progu z zapartym oddechem, jak wryci, wstrzymując się, by nie wydać okrzyku przerażenia i zarazem oburzenia na widok przedstawiający się ich oczom.

Oto opodał w kącie dwóch ścian, dostrzeżono z trudem na podłodze, na najnędzniejszym, niczem nieprzykrytym barłogu ze słomy jakby widmo, jakąś śmiertelnie, trupio bladą, jednak żywą postać, istotę zupełnie naga, bez najmniejszego okrycia, nawet bez strzępa koszuli i pościeli (...).

Straszna ta postać, szkielet ludzki o wychudłych kościstych piszczelach rąk i nóg, siedziała na gołej ziemi skulona w kuczki, wpatrzona

przed siebie w jeden punkt matowemi, mgłą przesłoniętymi oczyma. Punktem niemego wpatrzenia się byli wchodzący, z których wejściem myszy znajdujące się w celi, z piskiem uciekały do szczelin w dziurawej podłodze i do swych nor pod ścianami.

Zapanowała grobowa cisza i ta cisza udzieliła się przerażonym przybyłym. Dopiero po chwili na widok przybyłych nieruchoma ta istota podniosła się nieco ze swego legowiska z jękiem...".

Harbut powtarza niemal dokładnie relację, jaka ukazała się w galicyjskim „Kraju” 24 lipca 1869 roku.

Wezwany na miejsce biskup Gałęcki doznał szoku. Krzyczał na zakonnice, groził im najsurowszymi karami kościelnymi, nie pozwolił się tłumaczyć. Od razu też, bez przeszkód wydał zezwolenie na przetransportowanie nieszczęśnicy następnego dnia do świeckiego szpitala. Badający ją lekarze stwierdzili stan ogólnego, skrajnego wycieńczenia, niezagrażającego jednak życiu. Nie było też wątpliwości, że Barbara Ubryk jest obłąkana.

Czy stało się to na skutek około dwudziestoletniego, przerażającego uwięzienia, czy, i w jakim stopniu, była chora już przedtem, miało dopiero wykazać śledztwo. Na razie wszyscy wtajemniczeni w sprawę policjanci, urzędnicy sądowi, lekarze i duchowni zobowiązani zostali do pełnej dyskrecji. Groch o ścianę. Komisja weszła do klasztoru 21 lipca.

Odnotaliśmy już, że Harbut posłużył się relacją „Kraju” z 24 lipca. Społeczeństwo polskie, nie jest to nowość, zawsze lubowało się w przeciekach. Tego samego 24 lipca sprawa Barbary Ubryk zapełniła również łamy „Czasu”. Następnego dnia pisała już o niej, pod wielkimi, wytłuszczonymi nagłówkami, cała prasa galicyjska.

Oburzenie mieszkańców Krakowa przerodziło się szybko w rozruchy. Ludzie spontanicznie zbierali się przed klasztorem Karmelitanek Bosych. Pod wieczór tłum zebrany przy ulicy Kopernika liczył już około sześciu tysięcy osób. Większość stanowili studenci i młodzież robotnicza, ale nie ma było też przedstawicieli liberalnej inteligencji krakowskiej, a wśród niej postaci cieszących się w mieście znacznym

Skandale III ■■■ polskie

autorytetem. Ich obecność dodawała zgromadzonym pewności i przyciągała kolejnych manifestantów, czasem nawet najpocziwszych mieszczuchów, którym szybko udzielała się atmosfera żądzy linczu. Píše Stanisław Salmonowicz:

„Podniecony wystąpieniami przygodnych mówców, ruszył groźny tłum, napierając na zamkniętą bramę klasztoru. Została ona wyłamana i napastnicy mieli do sforsowania jedynie furtę prowadzącą do wnętrza objętego klauzurą. Mieszkanki klasztoru znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie. Ciekawa była postawa austriackich władz bezpieczeństwa,



które początkowo nie interweniowały energicznie. Słabe posterunki policyjne rozstawione na Wesołej nie były w stanie powstrzymać wielotysięcznego tłumu. Według ówczesnych, bliżej zresztą nie sprawdzonych plotek, niektórzy oficerowie austriaccy zachęcali nawet do wystąpień antyklerykalnych, a w każdym razie aprobowali agresywne zamierzenia tumu. Przybyły pod klasztor szwadron huzarów austriackich w ostatniej dosłownie chwili zdołał rozproszyć napastników, wdzierających się już do wnętrza klasztoru. Zajścia zmusiły władzę do energicznej interwencji. Na miejsce zaburzeń przybyła rezerwa policji krakowskiej (...). Na wieść o zaburzeniach, które wybuchły i w innych częściach miasta (m.in. pod siedzibą Jezuitów koło kościoła św Barbary oraz pod klasztorem Jezuitów na Wesołej), dokonano alarmu całej załogi twierdzy Kraków (miasto było ówczesnie traktowane przez Austriaków jako obóz warowny). Oddziały wojskowe, kierowane przez generała Gabriela Rodicha, zajęły stanowiska wokół miejsc zagrożonych atakami tłumu. Wojsko, mimo że wielokrotnie atakowane przez tłumy, obrzucane gradem kamieni itp., nie użyło broni palnej. Świadczyło to, że władze podzielały powszechne oburzenie mieszkańców. Po burzliwej nocy, w ciągu której zaatakowano m.in. także i klasztor Norbertanek na Zwierzyńcu, dokonując tam licznych zniszczeń, ukazały się na drugi dzień, odezwy delegata Namiestnictwa, Bobowskiego, i prezydenta miasta Dietla...".

Przytoczmy tylko tę pierwszą:

„Odezwa!

Karygodny wypadek w klasztorze Zakonu Karmelitanek Bosych na Wesołej odkryty nieludzkości lub ciemnocie średniowiecznej tylko właściwy, wobec jawnie i rzetelnie tak przez c.k. sąd jak przez Najprze-wielebniejszego ks. Biskupa ordynariusza z gorliwością wszelkiego uznania godną i już zarządzanego śledztwa i wprowadzonych środków, jakich ku temu potrzeba, ogólnem, niezwykłym oburzeniem ludność przejął.

Publiczność, przeważnie tylko współczuciem dla nieszczęśliwej ofiary kierowana, posunęła się przy zapoznaniu obywatelskich obowiązków tak dalece, że w nocy 24 bm. napady gwałtowne na własność i bezbronne pod opieką Władz zostające osoby, siłą zbrojną musiały być odpierane. To występowanie przez tych, a z pewnością krajowi i miastu niezyczliwych doradców wywołane, czynowi Sądów i Władz nie tylko uprzedza, ale nadto ludność nie liczącą się z wypadkami dla środków jakimi Władze wobec takiego położenia posługiwać się muszą, na nieszczęścia nieprzewidziane naraża.

Odzywam się przeto do zdrowego zmysłu mieszkańcówpoważ-nego naszego grodu, przejętych zawsze poszanowaniem porządku i sprawiedliwości, ażeby bronią oburzenia nadal nie walczone, osób pod opieką prawa pozostających nie niepokojono i własność ich na szkodę nie narażano. Albowiem z obowiązku utrzymania porządku i poszanowania praw powołanym będąc do uchylania zaburzeń i opłakanych skutków stąd wyniknąć mogących, z całą surowością poskramiać bym musiał burzycieli.

Krakowianie! Posłuchajcie głosu uczciwej przestrogi, a bądźcie mi w służbie Waszego własnego interesu szczerze pomocni.

Kraków, 25 lipca 1869 r.

Delegat Namiestnictwa Bobowski mp".

Skandale polskie

Trudno zaiste o bardziej konsyliacyjny apel niż ten Juliusza Bobowskiego. A przecież prezydent Józef Dietl, którego odezwa zaczyna się od słów: „Okropne zdarzenie, na które wzdraga się uczucie ludzkości zaniepokoiło miasto nasze. Oburzenie jest ogólne, ale i słuszne..." uderzył w tony jeszcze bardziej polubowne. Niewiele to jednak dało. Rozruchy trwały 25 i 26. Co było wysoce niepokojące dla władz, pojawiać się też zaczęły hasła natury politycznej. Przed pałacem Pod Baranami tłum prowadzony przez sławnego komediopisarza Michała Bałuckiego (Grube ryby, Ciężkie czasy, Klub kawalerów) zaczął skandować: „Precz ze stańczykami, wszystkimi hrabiami i hrabiankami, baranami i barankami! Be, beee!".

Bałucki tłumaczył sobie, że było to wymierzone w przeoryszkę klasztoru, hrabiankę Marię Wężykównę (córkę kasztelana Franciszka Wężyka, 1785-1862, znanego poety, tego od: „Wierzym, że z kości naszych powstaną mściciele...”). Wszyscy jednak wiedzieli swoje. W tej sytuacji władze miasta, w porozumieniu z biskupem Gałęckim, postanowiły dać krakowianom dowód, że sprawiedliwość działa i mogą mieć do niej zaufanie. Ogłoszono, że aresztowani zostali: przeorysza Wężykówna i jej poprzedniczka Maurycja Ksawera Josaph, a także przeor karmelitów z Czernej Julian Kozubski, ich spowiednik i wizytator klasztoru przy Kopernika. Rzeczywiście, uspokoiło to znacznie opinię publiczną, rozruchy powoli ustały. Śledztwo prowadzono bardzo energicznie, tak że już w listopadzie 1869 roku (tu nasze sądy powinny ze wstydu oblać się rumieńcem) proces mógł się rozpocząć. Materiał, którym dysponował sąd, był w największym skrócie taki: urodzona w 1817 roku Barbara Ubryk wstąpiła do nowicjatu w roku 1838, u wizytek w Warszawie. Musiała stamtąd odejść na skutek choroby, którym to eufemizmem określały wizytki ogólną nieprzydatność do życia monastycznego. Zdecydowana zostać mniszką Barbara Ubryk kieruje się więc z kolei do krakowskich karmelitanek. Tutaj uroczyście obłóczona zostaje w roku 1840. Szybko zaczynają się jednak problemy. Oddajmy jeszcze raz głos Salmonowiczowi:

„Długoletni ogrodnik i zakrystian karmelitanek, Kazimierz Grzegorzczak, zeznał, że już gdzieś w 1842 roku zauważono pierwsze oznaki rozstroju umysłowego u Barbary Ubryk.

Zachowanie się jej było często dziwne. Śmiała się w kościele na głos, miewała okresowe napady egzaltowanej pobożności, w czasie których godzinami się spowiadała itp. W końcu kiedyś zamknęła się w swej celi i nie reagowała na wezwanie siostr. Wezwany na polecenie przełożonej Grzegorzczak wyważył drzwi i ujrzał Barbarę Ubryk «tańczącą po celi całkiem naga i śpiewającą». Tego samego dnia została zamknięta do karceru, tj. do celi, w której ją znaleziono w lipcu 1869 roku. (...) Barbara Ubryk cierpiała na ostrą formę nimfomanii. Biegli orzekli, że naruszenie równowagi umysłowej Barbary Ubryk nastąpiło na tle niezaspokojenia popędu płciowego, przy czym zbraku podstaw do przyjęcia podkładu dziedziczności i predyspozycji wrodzonych uznali, że rozwój choroby nastąpił w warunkach życia zakonnego i osiągnął na ich tle ostry przebieg...”

Im dłużej przebywała Barbara w klasztorze, tym na przykład jej skłonności ekshibicjonistyczne przejawiały się gwałtowniej i częściej. W konsekwencji częściej przebywała w karcerze. Wreszcie, około 1848 roku, spanikowane zakonnice zamknęły ją w nim definitywnie... Radziły się zresztą, co robić, u znacznej liczby księży, żadnej zadawalającej odpowiedzi jednak nie dostały...

Po długich deliberacjach sąd krakowski postanowił sprawę umorzyć. Uzasadnił to szerokim kazuistycznym wywodem prawnym, którego sedno tkwiło jednak w prostym pytaniu: „Jeżeli ówczesny (tj. około 1840-1850) sposób leczenia i traktowania umysłowo cierpiących nie podoba się nowoczesnym lekarzom, może dlatego, że ordynacja była mylna, a może mniej postępowo lekarsko, czyż za to ma przełożenstwo zakonnice odpowiadać?”. Innymi słowy, wyraził sąd przekonanie, iż gdyby około 1840 roku dostała się nawet Barbara w ręce świeckich, najuczestniejszych psychiatrów, czekałby ją podobny jak w klasztorze, a w każdym razie zapewne nie lepszy i trudno się z tym nie zgodzić. Kiedy czytamy o praktykach leczniczych w paryskich przytułkach dla

•Jl

Skandale polskie

obłąkanych jeszcze w latach trzydziestych XIX wieku, włos jeży się na głowie. „Kuracja” polegała na przykład na straszaniu, wrzucaniu do lodowatej wody i przetrzymywaniu w niej tak długo, aż ujdzie „gorączka szaleństwa”, wobec „opornych” stosowano drakońskie kary fizyczne... Piekło na ziemi. Rzeczywiście, trudno wymagać, żeby karmelitanki były mądrzejsze od nauki medycznej swoich czasów. Potem u tych odciętych od świata kobiet działał już mechanizm: kiedy przy-szłyśmy do klasztoru, już tak było, tak było od zawsze,

więc taki jest porządek rzeczy. Skąd miały wiedzieć, że w tym czasie nastąpił ogromny rozwój psychiatrii. One nie musiały i do umorzenia postępowania wobec nich skłonni byśmy się byli przychylić. Co innego z wtajemniczonymi księżmi żyjącymi w otwartym świecie i świat uznającymi lub co najmniej mogącymi znać. No tak, ale tu już w grę wchodziłaby kwestia całej korporacyjnej solidarności kleru. Za wysokie progi dla krakowskiego, choćby i c.k. sądu.

Sprawa Barbary Ubryk śledzona była i komentowana na całym świecie. We Włoszech grano sztukę na jej temat, opisywano jej dzieje, z nieodłącznym wątkiem miłosnym (uwięziono ją, żeby nie uciekła do ukochanego) w dziesiątkach książek (w samej Francji co najmniej pięć tytułów). I tylko realna Barbara Ubryk nie obchodziła już nikogo. Ona zaś żyła jeszcze długo i nieszczęśliwie w zakładzie dla umysłowo chorych. Zmarła w 1898 roku, w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Kościół bardzo nie lubi, gdy się wspomina jej imię.

■ frcuuuszek Jozef a, ТЪ/Jbc -brzeirA. uipic wJLejscawkź

Franciszek Józef I, cesarz austriacki (1848-1916) i król węgierski (1867-1916).

Zdjęcie z 1901 r.

др

Skandale

polskie

Je ten starszy pan naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Weź pan na przykład taką rzecz: syna Rudolfa stracił w młodocianym wieku, w pełnej sile męskiej. Małżonkę Elżbietę przebili mu pilnikiem, potem zginął Jan Orth, brata jego cesarza meksykańskiego zastrzelili w jakiejś twierdzy przy jakimś murze, a teraz na stare lata zastrzelili mu stryjaszka. I raptem schła się jakiś pijanica i zacznie na niego wygadywać..." - tak gawędził dobry wojak Szwejk w gospodzie Pod Kielichem.

Bo też dzieje Habsburgów austriackich XIX wieku były wyjątkowo burzliwe, skandaliczne i tragiczne. Miał Franciszek Józef (1830-1916) trzech braci: pierwszy z nich - Maksymilian (1832-1867), w wyniku skomplikowanych intryg europejskich, w których był bezwolną marionetką, został cesarzem meksykańskim, gdzie - nie rozumiejąc nic z miejscowych stosunków - doprowadził do rewolucji i padł jej ofiarą - nie tylko on, ale również jego żona, piękna Charlotte, która po śmierci męża popadła w chorobę psychiczną i przeżyła jeszcze sześćdziesiąt lat (siei) nieświadoma swojej tożsamości, jedyne spełnienie znajdując, zimą czy lato, w okrażaniu godzinami bryczką zamku Boucoust. Drugi - Ludwik Wiktor (1849-1919), był klinicznym idiotą, uważał się za słonia i kiedy siadał do obiadu, szukał wszędzie na stole swojej trąby. Trzeciemu: Karolowi Ludwikowi (1833-1896), pierwsza żona - Małgorzata, córka

Skandale

polskie

króla Saksonii, zmarła w osiemnastym roku życia na skutek „wrodzonej skłonności do umierania”, jak udokumentowali dworscy lekarze; druga - Maria Annoncjata - spłonęła żywcem podczas pożaru na dobroczynnym kiermaszu w Paryżu. Zdążyła jednak przedtem wydać na świat trzech chłopców, którzy po dramatyczno-romantycznej, samobójczej śmierci w Mayerlingu Rudolfa (1858-1889), jedyne go syna Franciszka Józefa, stali się następcami austro-węgierskiego tronu.

Trzeci z synów Karola Ludwika, Ferdynand Karol (1868-1915), wydaje mi się bardzo sympatyczny. Zakochawszy się w dziewczynie bez tytułów, wziął z nią ślub wbrew wszelkim naciskom wiedeńskiego dworu, za co został oddalony i zdegradowany do pozycji hrabiego Burgu. Na jego wizytówkach widniało potem, złośliwości sobie nie oszczędził: „Ferdynand - syn”. Drugi: może jeszcze bardziej sympatyczny: Otto (1865-1906) udał się w Wiedniu do ekskluzywnej restauracji Sachera zupełnie nagi, tylko z rzemieniem, do którego przypasana była szpada. Za ten wyczyn skazany został przez stryja cesarza na trzymiesięczną pokutę w klasztorze. Aliści, jak pisze kamerdyner Franciszka Józefa, Eugen Ketterl: „Przymusowy

pobyt arcyksięcia za murami nie wyglądał bynajmniej tragicznie, tylko klasztorne piwnice ucierpiały znaczne straty". Niestety „piękny Otto” - tak o nim mówiono - zmarł na skutek zakażenia po skaleczeniu, które zlekceważył. Pierwszy zaś syn Karola Ludwika: Ferdynand-Franciszek (1863-1914) był skończonym kretynem, zapalonym myśliwym (to tylko go interesowało), który z karabinu maszynowego zaliczał w trakcie safari po tysiąc antylop dziennie. Jest strasznie trudne do przełknięcia, że z powodu tego kretyna rozpoczęła się mordercza wojna światowa. Niebotyczny, przerażający absurd dziejowy. Z taką to rodziną musiał dawać sobie radę Franciszek Józef, poczciwy pedant, niczego nieznoszący bardziej niż nieprzewidzianych, tym bardziej skandalicznych wydarzeń. A przecież nie wspomnieliśmy jeszcze o dostojnej małżonce.

Elżbieta (1837-1898), zwana Sissi, siostra Ludwika II, obłąkanego króla Bawarii, była na pewno kobietą nietuzinkową. Stanisław Grodziski pisze okrutnie, iż: „była osobą psychicznie bardzo nieźrówno-

ważoną”, ale już John T. Salvendy uważa, że „wyprzedziła swój wiek”. W latach 1954-1957 austriacki reżyser Ernst Marischka nakręcił o niej cykl filmów, z Romy Schneider w roli głównej, które skutecznie wyciskały łzy z oczu całemu pokoleniu, a i dzisiaj powtarzane są regularnie przez wszystkie bodaj europejskie telewizje. Cóż było w niej tak fascynującego? To może, tu przyznalibyśmy rację Sah/endy' emu, że odpowiadała właściwie wszelkim dzisiejszym standardom żony prezydenta. Dbiała niestety o swoją prezencję (jeśli chodzi o linię, popadała wręcz w dietetyczną obsesję), wolała uwypuklać swoją urodę, niż dostosowywać się do odzieżowej etykiety. Uważała, że uosabiać musi „ludzkie oblicze” monarchii, a więc zajmować się chorymi dziećmi, mniejszościami narodowymi, tworzyć fundacje wspomagające i tym podobne. Dzisiaj to oczywiście norma i banał, ale nie na dziewiętnastowiecznym dworze wiedeńskim...

Kiedy cesarzowa zajęła się biedotą cygańską, tak oto komentował to kamerdyner Franciszka Józefa:

„Charakterystycznym dla romantycznego usposobienia cesarzowej było jej szczególne zamiłowanie do Cyganów. Po Godolló (pałacu Grassalkowiczów, 30 kilometrów od Budapesztu - ulubionej rezydencji Sissi - LS) szwendały się różne obskurne indywidua - brudni, poowijani w szmaty mężczyźni, kobiety i dzieci. Cesarzowa często kazała całe to towarzystwo wpuszczać do zamku, gościć i szczerze obdarowywać żywnością. Z wdzięczności zabierali sobie jeszcze to i owo na pamiątkę. Dla nas był to zawsze ciężki dzień, gdyśmy byli uszczęśliwiani taką wizytą. Ci ludzie kradli oczyma. Nic dziwnego, że cesarz nie miał wobec nich szczególnych względów i przykazywał nie puszczać ich w pobliże zamku. Elżbieta jednak nie ustępowała, skutkiem czego wokół zamku w Godolló koczowały całe watahy tych brudnych hord”.

Podobnych nieporozumień było między małżonkami bez liku. Nie sposób właściwie znaleźć czegoś, co by ich, poza sakramentem, łączyło. Trudno się więc dziwić, że urodziwszy Franciszkowi Józefowi

Skandale polskie

troje dzieci (Gisellę w 1856, Rudolfa w 1858 i Marię Walerię w 1868), uznała Sissi, że wywiązała się z matrymonialnych obowiązków i nie musi już przyjmować cesarskich awansów. Wspomina Eugen Ketterl:

„W Gódolló cesarz widywał się ze swoją małżonką bardzo rzadko. Jeśli chciał zobaczyć cesarzową i przyszedł bez zapowiedzi, fagasy Jej Cesarskiej Mości oznajmiały mu, że cesarzowa jeszcze śpi. Zdarzało się niekiedy, że przez dziesięć dni odwiedzał cesarzową bez powodzenia. Działo się to na oczach personelu; każdy więc może sobie wystawić, coż to była za nieprzyjemna sytuacja. Często było mi mego wysokiego pana z całej duszy żal”.

Żal cesarza było także Sissi. Rozumiejąc doskonale, że jest jeszcze w pełni sił i pożądań męskich, podsunęła mu, w swoim zastępstwie, aktorkę Katarzynę Schratt (na dworze mawiano oczywiście: von Schratt).

„Tej interesującej postaci - pisze Stanisław Grodziski - należy się bliższa uwaga. (...) Katarzyna Schratt nie miała nic wspólnego z paniami de Montespan, Maintenon, Pompadour czy Dubarry (zachowuję pisownię oryginału - LS). Było to zupełnie inne środowisko, inny styl bycia i też ich wzajemny stosunek nie miał w sobie niczego skandalicznego. Stałego, samotnego pana wiązała z tą miłą i szczerą kobietą przede wszystkim przyjaźń. (...) Mieszkała w swojej willi w Hietzing, dość blisko ogrodu pałacowego. Odwiedzał ją cesarz w godzinach porannych, wypijał u niej kawę ze świeżymi rogalikami, wysłuchiwał garści nowinek wiedeńskich i powracał przez park do swojego gabinetu - bocznymi schodami - o godzinę później”.

Wydaje się, że Grodziski, nie zauważywszy „niczego skandalicznego”, nie docenia roli Katarzyny Schratt, tudzież emocji jakie wzbudzała wśród współczesnych sobie. W jednym ma jednak, choć tego akurat nie dopowiada, rację. Była być może pani Schratt „miła i szczerą”, ale na pewno niezwykle nudna. Za nudna nawet dla Franciszka Józefa, który czasami (nie często, broń Boże, ale jednak...) po zjedzeniu świeżych rogalików nabierał ochoty na coś jeszcze.

I w tym właśnie momencie wkracza na scenę nasza rodaczka. Relacjonuje Leszek Mazan: „Cesarz Franciszek Józef nie pozwalał sobie na żadne miłostki (...) wystarczyła mu zupełnie jedna kochanka. Polka. Anna Nahowska, małżonka dostojnika kolei żelaznych, który w licznych przebywał rozjazdach. Dzięki łasce cesarskiej rozjazdy dostojnika kolei żelaznych stawały się wciąż częstsze dłuższe, on zaś sam szybko awansował. Najjaśniejszy Pan głośno chwalił mądrość, która kazała pani Annie poślubić kiedyś kolejarza: ilekroć bowiem dyskretnie jechała do Cesarza na urlop kolejną - mogła korzystać z ulgowych biletów”. Dowcip jest dobry i do Franciszka Józefa pasuje jak ulał, tyle że dla celnej pointy trochę Mazan fakty pomieszał. Wbrew bowiem naturalnemu, chciałoby się powiedzieć, porządkowi rzeczy to nie Anna Nahowska jeździła do cesarza, ale on do niej. A było to tak. Franciszek Józef znany był ze swojej awersji do wszelkich nowinek technicznych. Automobilów nie znosi, telefon pozwolił sobie założyć dopiero po wielotygodniowych, kornych prośbach całego dworu. Jedynym wyjątkiem od tej fobii nowoczesności były koleje żelazne, które Habsburg po prostu uwielbiał. Kiedy czytamy relacje z jego podróży inspekcyjnych, mamy wrażenie, że omal nie wychodził z pociągu. Nocuje w salonce, wprost do wagonu przyjmuje adresy i podania oczekujących go wzdłuż torów poddanych. Przybywając do znacznych nawet miast, ograniczał często swój pobyt wyłącznie do dworców. Dlatego też, jak relacjonuje Mazan:

„Kilka kilometrów przed miastem dostojnemu gościowi towarzyszyła mknąca wzdłuż torów, wśród oczekujących na możliwość złożenia hołdu tłumów, chłopska banderia konna. Na peronie zajmowały miejsca odświętnie ubrane (stroje narodowe) deputacje, rada powiatowa

Skandale polskie

i miejska (zawsze obok poczekalni I klasy), urzędnicy i uczniowie. Dla pań z towarzystwa i dla uczennic zakładów żeńskich wznoszono trybuny z boku peronów. Po orkiestrze, entuzjastycznych okrzykach i przemówieniach powitalnych, stojącemu zazwyczaj na schodkach salonki cesarzowi (w wypadkach szczególnej łaski monarcha wychodził na peron) miejscowych dostojników przedstawiał namiestnik Galicji; z każdym przedstawionym Najjaśniejszy Pan starał się zamieniać kilka słów; z ich tonu obecni wyciągali natychmiast wnioski, zazwyczaj personalne. Po pożegnaniu, któremu towarzyszyła orkiestra i ponowny ogromny entuzjazm tłumu, salonka cesarska ruszała w dalszą podróż”.

Do następnego dworca. Anna Nahowska, która dzięki mężowi znała i rozkład jazdy i wszelkie kolejne dworce, była w tej sytuacji towarzyszką nieocenioną. Nie musiała jeździć do cesarza,

bo jeździła z nim. Była jego kolejową muzą. Dla szerokiej publiczności powstawał w tym momencie poważny problem. Tryb życia cesarzowej Sissi czy Katarzyny Schratt podlegał jakiejś takiej kontroli społecznej. Plotkowali dworzanie, zapraszani goście, intendenci, zwykli gapie... Co jednak działo się za zamkniętymi drzwiczkami salonki, o tym wiedziało już tylko paru najbliższych zaufanych cesarza. Mogło więc dziać się wszystko. Wieść gminna roznosiła więc po całej monarchii najdziwniejsze fantazje. Anna Nahowska urastała w nich do mitycznych wymiarów. Mawiano nawet, że dzięki niej wskrzeszona będzie wolna Rzeczpospolita. I tylko koła konserwatywno-klerykalne nie dawały się złapać na lep legendy. Dla nich było to tylko cudzołóstwo i skandal.

Elżbieta „Sissi” została przebita pilnikiem 10 września 1898 roku w Genewie przez włoskiego anarchistę Luigię Luccheniego. Katarzyna Schratt, dożywszy lat najsędziwszych, zmarła w Wiedniu, w 1940 roku. I tylko po Annie Nahowskiej wszelki ślad zagaął. W Polsce nie mieszka dzisiaj nikt noszący takie nazwisko.

Maria Wisnowska, polska aktorka z 2. poł XIX w. Fotografia z ok. 1890 r.

!,-'

Skandale

polskie

ZaJ jo

: wszyscy pamiętamy, w Śnie nocy letniej Szekspira Oberonowi - królowi elfów z lasu ateńskiego - służy skrzat Puk, który na rozkaz władcy oddaje się magii i czarom, a już dla własnej satysfakcji płata figle wieśniakom. Jego czary mają niekiedy skomplikowane i nieoczekiwane konsekwencje, w gruncie rzeczy jest jednak duszkiem bardziej swawolnym niż złośliwym, a już na pewno nieodparcie sympatycznym. W 1884 roku podczas warszawskiej prapremiery Śnu nocy letniej rolę Puka zagrała dwudziestosześcioletnia Maria Wisnowska. Sukces był niesłychany. W jednej chwili stała się ulubienicą i gwiazdą Warszawy. Pisze Andrzej Żurowski: „Jej Puk zadziwił i zachwycił Warszawę. Należał do ról, którymi w tym właśnie czasie Wisnowska budowała swą krótką, acz oszałamiającą popularność...”. W jednomyślnie panegirycznych recenzjach czytamy między innymi: „wesołego Puka panna Wisnowska gra wybornie: inteligentna artystka umiała opromienić tę uroczą postać napowietrznego wierzyciopy uśmiechem prawdziwej, kipiącej wesołości. Puk panny W. bawi się sam serdecznie swoimi psotami; rzuca się w migotliwy zamęt z szaloną ochotą, z łakomstwem wrażeń cechujących szczerą młodość...”. Wisnowska i przedtem nie narzekała na brak powodzenia (w 1881 sześć ról, w 1882 - dziesięć, w tym Doryny w Świętoszku Moliere, w 1883 - siedem, w tym Klary w Zemście Fredry). Teraz jednak, wobec swoistej wisnomanii, propozycje posypały się jak z rękawa.

III.

Skandale polskie

Może nawet zbyt obficie. Dość, że do triumfu Puka już się nie zbliżyła. W roli Ofelii (1888), po której bardzo wiele sobie obiecywała, pomimo nastawionej a priori entuzjastycznie widowni, wypadła wręcz słabo. Pisze Żurowski:

„Wierni wspomnieniu kreacji Modrzejewskiej recenzenci nie zostawili na Wisnowskiej suchej nitki. Pod eleganckim piórem Rajchmana «raziła atmosferą salonowego dialogu». Żeromski był bardziej dosadny: «Nie mówię o Ofelii Wisnowskiej, bo mnie febra trzęsie. Ta sroka głupia w scenie obłąkania kokietowała oczami oficerów z pierwszego rzędu krzesel, grała wszystko naiwnie, głupio, naiwnie tak, że najobskurant-niejszy widz nie zdołałby pojąć, dlaczego by właściwie ta pensjonarka miała dostać obłądu». Biorąc nawet poprawkę na właściwą Żeromskiemu żółciowość sądów, ale i pod uwagę zdanie Rajchmana, irytacja młodego pisarza nie wydaje się pozbawiona racji. «Filuterne», «kokietliwe» i «pieszczotliwe» aktorstwo Wisnowskiej liczyć mogło na poklask głównie rozanielonych panów «z pierwszych

rzędów krzesel». Tych wszakże zawsze na widowni wielu i aktorstwo zwane dzisiaj «komercyjnym» ma u nich szanse niezachwiane".

Tyle że nie tylko o „komercyjność” tu chodziło. Żeromski nie bez kozery pisze nie ogólnie o „panach”, ale bardzo konkretnie, w czym zawarta jest nieprzyjemna sugestia, o „oficerach z pierwszego rzędu krzesel”. Nie zapominajmy zaś, że jesteśmy w końcu dziewiętnastego wieku, pod rozbiorem rosyjskim, a ci oficerowie to właśnie oficerowie rosyjscy. Stosunki między ludnością polską Warszawy a urzędnikami, tym bardziej zaś wojskowymi rosyjskimi, były wtedy regulowane przez bardzo skomplikowany, często pełen hipokryzji kod postępowania, którego Polacy przede wszystkim starali się starannie przestrzegać, poczytując to sobie za narodowy obowiązek.

Pisze Agata Tuszyńska:

„Owa Warszawa Prusa i Gierymskiego w relacjach i wspomnieniach jest niemal sielska. Myśli wypełnione zdrową ideą pracy u podstaw, czas spędzany na partyjkach szachów, na przejażdżkach w Aleje albo wizytach w salonie wiekowej Deotymy. Dlaczego Wokulski nigdy nie zirytował się na konieczność wymalowania nowego rosyjskiego szyldu w witrynie sklepowej, nie pokłócił się o dorożkę z rosyjskim oficerem, nie był na oficjalnym raucie w ratuszu, nie oburzył wyczynami wojska stacjonującego w Łazienkach? (...) Bojkot Rosjan był niepisany prawem, jedyną formą buntu po klęsce. Swoistym rozbrojeniem przeciwnika poprzez paradoksalne może kwestionowanie jego obecności i praw, utrwalanych siłą na wszystkich płaszczyznach życia. - Nie ma Rosjan - mówiono sobie, patrząc z konieczności na tysięczne oznaki ich panowania. Unieobecniani w świadomości Polaków, bardzo rzadko pojawiali się na kartach ich książek i gazet, na rysunkach, obrazach i fotografiach...”. Rzeczywiście w Lalce Bolesława Prusa odnajdujemy sympatycznego Suzina, który jednak mieszka w Moskwie, a z Wokulskim spotyka się w... Paryżu, i dwukrotnie zaznaczone mamy, że w sądach urzędnicy mówią z... rosyjskim akcentem. Nie ma Rosjan w Warszawie Prusa! Mógłby on na to znaleźć jedną wymówkę. Oto Wokulski obraca się w wysokich sferach, tymczasem Rosjanie służący w Warszawie nie mieli dobrej opinii nawet wśród swoich. Wiadomo było, że jest „Priwislinje” prowincją wielkiej Rosji i jadą tam tylko nieudacznicy, którym bliżej Petersburga nie udało się zrobić kariery, albo spekulanci chcący się obłowić. Takie tłumaczenie obciążało jednak tych, którzy z Rosjanami utrzymywali stosunki, a tym bardziej wazyli się zaprzyjaźniać. W tym kontekście kokieteria Wisnowskiej wobec „pierwszych rzędów” stawała się jeszcze bardziej dwuznaczna.

Owszem, ludziom ze środowisk artystycznych wybaczano więcej niż niebujającym w obłokach zjadaczom chleba. Polski schyłek

Skandale polskie

XIX wieku nie odbiegał od standardów la belle epoquowej zamięłowaniu do alkoholu i narkotyków (Przybyszewski, Witkacy), rozwiązłości seksualnej, fascynacji śmiercią i makabrą, perwersyjną radością łamania obyczajowych tabu.

Pisze Agata Tuszyńska, iż:

„Aktorska wyobraźnia Wisnowskiej lubowała się w truciznach, sztyletach, rewolwerach. Opowiadała, że pierścionek, który stale nosiła na palcu, wypełniony jest kurarą, silną, paraliżującą trucizną, jakiej południowoamerykańscy Indianie używają do zatruwania ostrzy strzał. Wiedziała, że jej wyciąg otrzymywany jest z różnych gatunków drzewa «strychnos». Interesowała się Kleopatrami, egipską królową i jej samobójczą śmiercią od jadu węża, Katarzyną de Medici - słynną truci-cielką czasów średniowiecza i później królującą Toffaną. Swój buduar ozdobiła dwoma szkieletami z kości słoniowej. (...) Ustawicznie mówiła o śmierci, choć w rzeczywistości bardzo się jej bała. Kolekcjonowała rekwizyty grozy, tak jakby śmierć była jeszcze jednym zmysłowym przeżyciem, którego nie można ominąć. Już wkrótce zacznie ją prowokować. A i teraz wysyła czasami listy z żalobną obwódką. Korci ją myśl o tym, jak inni zareagują na jej śmierć”.

Nie ma w tym właściwie niczego oryginalnego. Warszawska Sara Bernhardt. Ale, ale... Francuska la belle époque poczytywała się za wyzwoloną pod każdym względem: rozpustna, szalona, kosmopolityczna. W Warszawie miała ona o jeden przymiotnik mniej. Wszystko by zapewne wybaczone ślicznej Wisnowskiej. Nawet te „pierwsze rzędy”. Ona jednak postanowiła postawić krok jeszcze dalej. Czy wiedziała, że przekracza Rubikon? Zapewne nie, zapewne nawet się nad tym nie zastanawiała.

On nazywał się Aleksander Bartieniew. Zachowało się, a w każdym razie znane jest, tylko jedno jego zdjęcie. Nic szczególnego. Na pierwszy rzut oka kupiec bławatny z ostrym wąsikiem podstrzyżonym na końcach, wysokim czołem i wąskimi brwiami. Urodzony w 1867 roku

(a więc młodszy od Wisnowskiej o dziewięć lat) w guberni tambowskiej, potomek bogatej rodziny szlacheckiej (jego antenat był nawet w początkach XVII wieku skarbnikiem u Aleksandra Romanowa). Był kornetem, czyli chorążym huzarów.

Oddajmy jeszcze raz głos Agacie Tuszyńskiej:

„Dużo pił. Często, ale bezskutecznie powstrzymywany przez kolegów. Jakby szczyił się tym, że potrafi wypić więcej niż inni. Wkrótce zdobył sobie «reputację nielichą», jak sam mówił «pierwsza pijanica chyba w całej Warszawie!». Podobno wcale nie lubił alkoholu. Jak to się stało, że tyle pił, sam nie wiedział. Pijąc, pokazywał swoją tężyznę i wytrzymałość, wyróżniał się od innych. Był próżny. Uważał się za mężczyznę, któremu żadna kobieta się nie oprze. Zaprzeczenie traktował jak obelgę”.

W teatrze, który uwielbiał, siadywał zawsze w pierwszych rzędach...

Czy rzeczywiście spodobał się Wisnowskiej, czy była to z jej strony jeszcze jedna prowokacja, czy nie potrafiła się oprzeć jego stanowczości i natarczywości...? W każdym razie z pierwszych rzędów w teatrze przesiadł się w pewnym momencie na skórzaną kanapę w jej prywatnym mieszkaniu. Chmury zaczęły się gromadzić nad głową Wisnowskiej. Bo jeżeli ona nawet grała, to on na pewno nie. Istnieje w legendzie polskiej, i rosyjskiej zresztą również, stereotyp uczuciowości rosyjskiej, którą Włodzimierz Wysocki podsumowywał formułą: „poszli na dno jak podwodnaja łódka”. Stereotypy są z reguły kłamliwe. Ale zdarzają się przypadki, które im odpowiadają. Aleksander Michaiłowicz Bartieniew był właśnie jednym z nich. Mówił o małżeństwie choć w chwilach trzeźwości zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że półbojarska rodzina nie zgodzi się nigdy na ślub swojej latorośli z prowincjonalną panienczką wątpliwego pochodzenia i, co dla ludzi tych czasów z samej profesji wynikało, wątpliwej konduity. Zamiast związków matrymonialnych zaczął więc obiecywać samobójstwo.

Skandale polskie

A to już było dla Wisnowskiej daleko bardziej interesujące, łączyło się z jej eschatologicznymi fascynacjami, mieściło się w duchu epoki, działało na jej wyobraźnię. Jeździ więc z Bartieniewem nocą po warszawskich cmentarzach, czasem pod wpływem opium, czasem morfiny, czasem tylko alkoholowych mieszanek. Kłóć się i całują, nienawidzą i kochają. Jedno przychodzi zaraz po drugim, ale i jedno i drugie tylko w najwyższych, ekstremalnych uniesieniach. A jeszcze, przypomnijmy, do tej przybyszewszczyzny dochodzi fakt, że on jest kornetem rosyjskich huzarów, że więc wisi nad nimi społeczne i patriotyczne potępienie. Czy można znaleźć wyjście z takiej ślepej uliczki, z tych chwil, kiedy miłość, historia i mitologia zapętłają się w duszący węzeł? Oni w każdym razie nie znaleźli. Wszystko więc musiało się dokonać.

Bartieniew wynajmuje jej w Warszawie, przy ulicy Nowogrodzkiej 14, miejsce schadzek, dyskretne, jak mu się wydaje. Tam spotykają się parokrotnie. Wreszcie przychodzi ów tragiczny wieczór. Czy mają jeszcze poczucie jakiegokolwiek rzeczywistości? Znów piją, pieszczą się i przekomarzają. Później na małych karteczkach wypisują i drą gorączkowo listy - do siebie? Do niespodziewanych adresatów? Do przyszłości? Policja z niemałym trudem



będzie składać, lepić i odczytywać te teksty, niemające w gruncie rzeczy większego dowodowego znaczenia. Ona pisze: „Ostatnia moja godzina wybiła, człowiek ten nie wypuści mnie żywą. Boże! Nie opuszczaj mnie!... (zadbała o wielokropek w tym straceniowym apelu - LS). Ostatnią myślą moją - matka i sztuka. Śmierć następuje wbrew mojej woli". A zaraz potem (policja ustalała kolejność zapisków po słabnących śladach wyczerpującego się atramentu w wiecznym piórze): „Człowiek ten postąpił sprawiedliwie, zabijając mnie". Z kolei do generała Dymitra Policyna (starego zarządcy teatrów warszawskich, też przypuszczalnie w Wisnowskiej zakochanego): „Przyjacielu mój! Dzięki ci za przyjaźń kilkuletnią... Przesyłam oto ostatnie pozdrowienie i proszę wypłacić wszystkie pieniądze, które należą mi się jeszcze z teatru za «Posag» 200 rubli, wkładu do kasy, Feu i Pensye - proszę błagam". On też wypisuje karteczki: „Żegnaj, Ruda, kłaniaj się wszystkim!"; „Kochana Mamo, wybac mi, nie jesteśmy winni, ani ja, ani ona". Czyjeszcze, do generała Ostrogradzkiego, swojego przełożonego w Warszawie: „Pochowaj mnie Pan. Bądź Pan tak dobry pochować mnie nie jako zabójcę i samobójcę". Gdzieś w parę momentów po skończeniu tych liścików, po wypiciu kolejnych kieliszków szampana, pada strzał z pistoletu przyłożonego (nie ma żadnych śladów walki, czy oporu) do piersi kochanki. Potem jeszcze dwie godziny „podwodnej łódki". Bartieniew pije, układa na łonie zabitej czereśnie, rozrzuca dookoła swoje wizytówki. Wreszcie wychodzi, zapominając o szabli. Jedzie prosto do koszar, gdzie melduje się u rotmistrza Lichaczewa, szefa nocnej warty. Najpierw teatralnym, mającym oznaczać samodegradację gestem ciska płaszcz z epoletami na podłogę. Potem już zupełnie spokojnie (sąd mu tego spokoju nie przebaczy) oświadcza: „Zabiłem Manię". Rotmistrz nic nie rozumie: - „Jaką Manię?" - „Manię Wisnowską, aktorkę teatru «Rozmaitości», wyjaśnia Bartieniew i idzie spać. Sęk w tym, że Lichaczew nie jest bywalcem warszawskich teatrów. Nazwisko Wisnowską nic mu nie mówi. Chciałby się dowiedzieć czegoś więcej, ale pijany Bartieniew śpi już jak kamień. Budzi więc tych jego kolegów, o których wiadomo, że są miłośnikami sztuki dramatycznej. - „Wisnowską, kto to jest Wisnowską?". Zasnani huzarzy jadą pod znany im adres aktorki. Nie ma nikogo, ale sprowadzona z oficyny służąca mówi im o gniazdku na Nowogrodzkiej. Tam... drzwi otwarte, trup, szabla, wizytówki... Natychmiast zawiadamiają władze cywilne i wojskowe.

Następnego dnia dowiaduje się Warszawa o tragedii. Zamiast ją jednak opłakiwać, przede wszystkim gorszy się niesłychanym skandalem. Bo przecież fakt, że rosyjski oficer wynajmował Wisnowskiej lokal na schadzki, że trup był w negliżu, a godziny późne, nie pozostawiały wątpliwości co do typu relacji, jakie łączyły ulubienicę publiczności z zaborcą... Na pogrzebie Marii Wisnowskiej pojawiła się tylko garstka najbliższych przyjaciół, a i oni bez wieńców. Katolickie duchowieństwo odmówiło udziału w ceremonii, a popa nie sprowadzono, żeby nie zadrażniać dodatkowo sytuacji. Skandaliczne szczegóły ujawniane przez prasę odstraszyły tak zwanych porządnymi ludźmi, gapiów, a również „abonentów pierwszych rzędów", którzy zresztą (żeby nie zadrażniać...) dostali formalny zakaz uczestnictwa od dowódcy garnizonu. Nawet natura sama odwróciła się od zdrajczynie, gdyż, jak podaje Stanisław Szenic, ciało jej tak szybko zaczęło ulegać rozkładowi, że umieszczono je w pace z lodem...

Gdy czytamy dokumenty z procesu, odnosimy dziwne wrażenie, że zarówno prokuratorowi, jak i adwokatowi chodziło przede wszystkim o podanie w wątpliwość miłości (tym bardziej fizycznej) Polki i Rosjanina. Tyle że nikt im nie uwierzył. Oskarżony Aleksander Bartieniew uznany został 22 lutego 1891 roku za winnego i skazany na utratę szlachectwa i wszystkich związanych z nim praw, osiem lat ciężkich robót, a po nich zesłanie na Syberię do końca życia. Sąd Apelacyjny 16 maja 1891 roku wyrok w całej rozciągłości zatwierdził. Nie znaczy to, że skazany karę w tym wymiarze rzeczywiście odcierpiał. Car Aleksander III, w wyniku

licznych interwencji przyjaciół rodziny, skorzystał bowiem z prawa łaski. Ciężkie roboty zamieniono Bartieniewowi na służbę żołnierską w Czechenii, która już wtedy była beczką prochu rosyjskiego imperium i łatwiej w niej było znaleźć śmierć, niż awanse. Pozostawiono mu szlachectwo i prawo dziedziczenia. Od chwili przybycia na Kaukaz słuch po nim zaginął i tylko w wykazie oficerów białogwardyjskich armii generała Antona Denikina, z 1919 roku, odnaleźć można rotmistrza A. Bartieniewa, zasłużonego w walkach na Kubaniu i w, skończonej skądinąd kłęską Białych, bitwie pod Orłem. Czy jednak chodzi o tę samą osobę? A potem? Oddajmy jeszcze raz głos Stanisławowi Szenicowi:

„Mijały lata, zatarło się w pamięci warszawiaków przykre tło sprawy, wspomniano już tylko wielką artystkę, której czar i świetna gra co wieczór gromadziły w teatrze tłumy wielbicieli. Na grobie Wisnowskiej, przy północnej stronie katakumb (filar 18, na Powązkach - LS) matka wystawiła piękny nagrobek z popiersiem znakomitej artystki. W okresie dwudziestolecia przy grobie widywano często jakiegoś starszego, nędznie ubranego mężczyznę, sprawiającego wrażenie włóczęgi. Gdyby ktoś chciał śledzić jego kroki, stwierdziłby, że mężczyzna zazwyczaj znajdował przytułek w pobliskim schronisku przy ulicy Dzikiej, utrzymywanym dla nędzarzy przez braci albertynów, znanym powszechnie pod nazwą «Cyrku». Gdzieś w 1932 roku, gdy włóczęgę przestano widywać, rozeszła się wieści, że przy zmarłym w «Cyrku» obdartusie znaleziono papiery na nazwisko Aleksander Bartieniew. Był to uchodźca z Rosji, opuścił ją po Rewolucji Październikowej (ściślej: po kłęsce kontrewolucji - LS)».

—.

U)oz "ЭГ^ККЛА

Michała Drzymała i jego wóz. Kartka pocztowa z 1918 r.

Skandale polskie

i \ ' "4. t

odług złośliwej anegdoty, kiedy w listopadzie 1918 roku Wilhelm II wsiadał do pociągu, żeby uciec z podminowanego rewolucją Berlina, grupa uzbrojonych po zęby buntowników wtargnęła na dworzec, by go aresztować. Niestety, przy przejściu do pociągu zastąpił im drogę kolejarz służbista:

- Czy macie panowie peronówki (bilety uprawniające do wejścia na perony)?

Nie mieli, poszli więc do kasy, żeby kupić; że jednak była kolejka, zmitrężyli sporo minut. W tym czasie pociąg z cesarzem odjechał i... dzieje zmieniły swój bieg.

Opowieść ta jest oczywiście nieprawdziwa, oddaje jednak w jakiejś mierze ducha państwa pruskiego. Działo się w nim wiele nieprawości, ale zawsze zgodnych z literą prawa. Wesołym przykładem mogą tu być dzieje paczki wysłanej około 1910 roku do wielkopolskiego ziemianina hrabiego Zygmunta Szembeka (ojca sanacyjnego wiceministra spraw zagranicznych). Paczka doszła do adresata, który miał już pokwitować jej odbiór, kiedy doręczyciel zorientował się, że widniejące w adresie „hrabia” nie odpowiada pruskiej nomenklaturze. Winno być „graf”, gdyż takich stworów jak „hrabiowie” oficjalnie nie odnotowano. Odesłał więc przesyłkę do naddyrekcji poczty, która ją otworzyła i po szczegółowym śledztwie ustaliła prawidłowy adres odbiorcy.

Skandale polskie

Trwało to łącznie parę tygodni, że zaś w paczce znajdowały się produkty żywnościowe, łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądała, dobrnąwszy szczęśliwie do adresata. Powiedzieliśmy „wesoły przykład”, bo jakże się inaczej ustosunkować do bezmiaru tępoty służbistości pruskiej administracji. Z drugiej strony nie będzie w tym nic śmiesznego, jeśli zważymy, że owo nieuznawanie tytułów w polskojęzycznej wersji było tylko drobnym elementem szeroko zakrojonego, antypolskiego programu dyskryminacyjnego. Realizowało go na ziemiach, gdzie żywił polski był większością, lub procentowo pokaźny, powołane 3 listopada 1894 roku specjalne towarzystwo „Deutscher Ostmarkenverein” (nazwa przyjęta w 1899). Polacy

nazywali je Hakatą od pierwszych liter nazwisk założycieli organizacji: Hannemanna, Kennemanna i Tiedemanna. Teoretycznie towarzystwo zajmowało się wspieraniem rzemieślników i chłopów niemieckich na wschodnich terenach II Rzeszy. W rzeczywistości propagowało „Der wirtsch aflische Kampf der Deutschen mit Polen um die Provinz Posen” - walkę ekonomiczną Niemców z Polakami o prowincję poznańską. Wspierano więc tych rzemieślników niemieckich, którzy wypierali swoich konkurentów polskich, i chłopów, którzy osadzali się na ziemiach odkupionych od Polaków. To ostatnie stało się wkrótce podstawowym zadaniem Hakaty. Ponieważ wykup ziemi od Polaków szedł opornie, Berlin postanowił wesprzeć Hakatę legislacyjnie. Uchwalono z pozoru niewinną ustawę, iż na budowę, a nawet gruntowne odnowienie domu potrzebuje chłop specjalnego zezwolenia. Uzasadniano ją oczywiście względami sanitarnymi, społecznymi, a nawet (ekologia avant la date) troską o zachowanie walorów krajobrazowych Wielkopolski. W poufnych instrukcjach nie bawiono się już jednak w piękne słowa. Budowania i odnawiania domów miały władze lokalne zabraniać Polakom. Dzięki temu polski gospodarz, którego dom ulegałby z czasem degradacji i warunki zamieszkania stawałyby się nie do zniesienia, nie miałby innego wyjścia niż sprzedaż ojcowizny. Już wkrótce rezultaty ustawy osiedleńczej (tak skrótowo określano ją w środowiskach polskich) okazały się dramatyczne. W 1906 roku „inwalida górniczy Chrószcz - przytaczam za Janem

Tetterem (Jestem chłop historyczny 1986) - zakupił parcelę z dawniejszych dóbr hrabiego Węgierskiego, parcelowarię Obecnie przez Ba<sup>k</sup> Parcelacyjny z Poznania. Na tej parceli chciał sobie Chrószcz zbudować domostwo, ale ze strony władzy nie udzielono mu pozwolenia na mocy nowej ustawy osadniczej. Wtedy ChróSZcz zbudował sobie stodołę i pod nią urządził piwnicę, w której postawił piec. W tej piwnicy mieszkał. Na zbudowanie pieca nie wniósł Chrószcz o pozwolenie policji. Gdy o tym wszystkim dowiedziała się władza, nakazała Chrószczowi żeby piec usunął, bo rzekomo nie odpowiada przepisom budowlany. Chrószcz nie zastosował się do tego nakazu. Ostatecznie żandarm Rothe otrzymał polecenie ze strony policji, aby piec z mieszkania Chrószcza usunął. Żandarm zabrał ze sobą murarza Murawca i poszedł do Chrószcza, aby otrzymane zlecenie wypełnić. Gdy się zjawił u Chrószcza, ten zawezwał żandarma, żeby się z jego gruntu oddali. Żandarm nie dostosował się do tego zawezwania i polecił murarzowi piec rozbierać. Murarz zajął się robotą, a Chrószcz tymczasem poszedł do stodoły, z której niebawem wrócił ze strzelbą nabita, i nic nie mówiąc strzelił do żandarma, który właśnie był schylony i patrzył do piwnicy czy murarz piec rozbiera. Nabój śrutowy ugodził żandarma w głowę. Żandarm upadł, lecz dawał jeszcze znaki życia; wtedy Chrószcz jeszcze raz strzelił w piersi żandarma, co spowodowało niezwłoczną śmierć. Murarz tymczasem uciekł. Ujrzawszy nadciągające posiłki policyjne, popełnił Chrószcz samobójstwo. Trzydziestopięcioletni żandarm Rotbe w okolicy cieszący się powszechnie jak najlepszą opinią, pozostawił żonę (skądinąd po kądzieli Polkę) i dwoje małych dzieci. Rzecz wywołała ogólną konsternację i nie zapisała się w panteonie polskiego antygermanizmu. Zupełnie inny wariant konfrontacji z pruską władzą wybrał Michał Drzymała. Ale zanim o tym opowiemy, zacznijmy - jak rad zawsze profesor Aleksander Gieysztor - Od początku (nie jest to sylwizacja, gdyż w codziennej praktyce spotykamy bez przerwy oratofory zaczynających od końca, a o początkach niemających nawet bladego pojęcia, w związku z czym wszystko traci wrzenie i staje się błazeństwem zawieszonym w próżni).

Skandale polskie

Michał Drzymała urodził się 13 września 1857 roku w Zdroju koło Grodziska Wielkopolskiego. Trzy siostry zmarły w dzieciństwie, pozostało pięciu braci na trzydziestotrzemorgowym gospodarstwie (czyli przypadało mniej więcej półtora hektara na brata). Wyżyć się z tego nie dało. Ślub Michała Drzymały z Józefą Vetter (pół-Niemką - jak samo nazwisko wskazuje) dzięki posagowi poprawia jego sytuację na tyle, że może myśleć o

kupnie własnego gruntu. Sprzedaje mu go po niezwykle atrakcyjnej cenie, rzecz warta szczególnego podkreślenia, gdyż działa przeciw wszelkim naciskom Hakaty, stuprocentowy Niemiec i Prusak, Richard Naldner. Jest to dwuhektarowa działka w pobliżu linii kolejowej Wolsztyn-Grodzisk. Obejmuje mały sad z kilkoma gruszami i jabłonią, czysty staw, podatny na zarybienie, i stare zabudowania gospodarskie: chlew i podpiwniczoną stodołę. Transakcja odbywa się na jesieni, więc od razu Drzymała staje przed problemem ogrzewania domu. Składa podanie o budowę pieca i spotyka się oczywiście z odmową.

Oddajmy teraz głos samemu Drzymale:

„Okupiłem się w roku 1905 w Podgradowicach pod Rakoniewicami. Miałem dwa konie i wożąc cegłę aż hen za Nowy Tomyśl, zarabiałem furmanieniem nieźle, lecz skarcenie boskie z tymi Szwabami, którzy nie chcieli mi dać pozwolenia na budowę pieca. Rozrzucali ogniska, nakładali kary pieniężne i nie dali spokoju we dnie ani w nocy. Aż tu raz jednego, jadąc przez Grodzisk, dowiedziałem się, od szynkarza Kiedemanna, który miał zajazd przy «Świńskim targu», że u niego na podwórzu stoi wóz od «cyrkusu», który magistrat zafantował. Kiedmann mi poradził, abym ten wóz kupił. No i miałem go już za tydzień, kosztował 350 marek. Mój przyjaciel Urban z Ruchocic pomógł mi wyciągnąć wóz swoimi końmi, z podwórza podwiózł na rynek, ale dalej jechać nie chciał, a sam byłem w jednego konia, bo drugi woził cegłę. No i nowa bieda. W jednego konia policjant nie pozwoli jechać, bo wóz był o jednym dyszlu. Wyratowali mnie chłopcy z browaru «Hinza» (firma zatrudniała wtedy jedynie Niemców - LS).

/

Jeden chwycił za dyszel, inni pchali i tak dojechałem później w jednego konia do Rakoniewic (...).

I tak koń mój wspólnie z krowami zaciągnęły wóz cyrkowy na moją rolę. Na drugi dzień doniosłem komisarzowi, że już ogniska w chlewie nie ma. I miałem spokój przez kilka tygodni.

Aż tu pewnego dnia przyjeżdża hrabia Czarnecki i dwóch Francuzów, którzy przybyli obejrzeć, jak to polska bieda musi mieszkać w cygańskim wozie. Wnet ukazały się w gazetach krajowych i zagranicznych fotografie i opisy mojego «cyrkusu».

Odtej chwili nie było już tygodniabez wizyty w Rakoniewicach kolejnych dziennikarzy. Polacy (nie tylko z zaboru pruskiego) organizowali wycieczki, żeby obejrzeć legendarny wóz i uściskać rękę dzielnemu chłopu. Przychodziły listy i przesyłki. Rosyjski inżynier S. Szarapow ofiarował na przykład Drzymale pług własnej konstrukcji z kompletem części zamiennych i dedykacją: „Niech ruski pług w bohaterskich rękach chłopca orze polską ziemię!”.

Nie zapomnieli też o Drzymale poeci. Pisał M. Noskowicz (cytuję za Janem Tetterem):

„Jak nam kochać trza Ojczyznę,  
I jak cenić ojcowiznę,  
Choćby i źle sprawa stała,  
Dał nam przykład chłop Drzymała.  
Nie skusiły go talary,  
On w prawidłach ojców wiary  
Żadną siłą nie ugięty  
Chociaż spod praw dziś wyjęty.  
Choć przeciwność wszelka gniece,  
Nie sprzeda on za nic w świecie  
Roli, bo to częśćka matki  
Łona! Kiedy nawet chatki,  
Skandale ■ polskie

Nie wolno mu na swej ziemi Stawiać, zmuszon trudy temi, Cygański wóz zamieszkuje, Ojcowizny swej pilnuje. Oby więcej nasza miała Takich synów jak Drzymała!"

Sekunduje mu K. Laskowski (cyt. jw.):

„Myśli, myśli nasz Drzymała W głowę się wraz skrobie. Ciężka to jest sprawa cała! Spluwa w garści obie.

«Czekaj, czekaj, tyś tu panem, Lecz niedoczekanie! Chciałeś zrobić mnie Cyganem, Niech się więc tak stanie».

Na wóz babę wsadza, graty, Dzieci też gromadę, Dom wędrowny zamiast chaty! I dajcie mu radę!

Przystał śmiać się tryumfalnie Hakatysta wraży Chłop uśmiecha się jowialnie, stoi wóz na straży!"

W Poznaniu utworzono Komitet Drzymałowski, który zaczął zbierać pieniądze na nowy, wygodniejszy wóz dla Drzymały. Jak podaje Tetter, przetarg na jego budowę, za dwa tysiące marek, wygrała firma Antoniego Dzieciuchowicza. Przy tym, jest to rzecz istotna, znaczną część tej sumy wpłacili ofiarodawcy niemieccy.

Sprawa staje się coraz bardziej kłopotliwa dla władz pruskich. Ma ona bowiem dwa aspekty. Dla Polaków sprawa jest jednoznaczna. Chodzi o walkę z wynarodowieniem, utratą polskiego stanu posiadania w Wielkopolsce, konfrontację z Hakatą. Z punktu widzenia szeroko popierającej Drzymałę ludności niemieckiej (to Niemiec sprzedał mu ziemię, Niemcy pomogli przetransportować wóz na miejsce) wygląda to inaczej. Oni mają święcie dość biurokratyzowanej do szpiku kości administracji, wtrącającej się w najmniejsze szczegóły codziennego życia. Jednocześnie ta sama administracja szczyli się swoją praworządnością. Więc proszę, mamy do czynienia ze swoistym papierkiem lakmusowym. Chłop przechytrył urzędników. I co teraz? A władza naprawdę nie wie... co teraz. W jej działaniach widać nieustające wahanie. Najpierw aresztują Drzymałę. Nie, nie za wóz - o wozie przepisy nic nie mówią. Za wywoływanie zbiegowisk (to owi dziennikarze i wycieczki Polonusów). Po ośmiu dniach wypuszczają i proponują przyznanie lokum w Rakoniewicach, o powierzchni mieszkalnej parokrotnie większej, niż zapewniał nowy wóz. Potem usiłują go nękać najrozmaitszymi mandatami. Ale, jak pisze Tetter: „Michał Drzymała uważał, że jego patriotycznym obowiązkiem jest niepłacenie nakładanych na niego kar pieniężnych, lecz odsiadanie ich w areszcie. Po upływie terminu uiszczenia grzywny do Podgradowic przychodził żandarm i prowadził Michała do «kozy». Odległość od jego zagrody do Rakoniewic wynosiła jakieś dwa kilometry, szło się dobrym krokiem dwadzieścia minut. Drzymała maszerował i wyśpiewywał «Jeszcze Polska nie umarła...»". Dodajmy, że za Drzymałą maszerowali z reguły świadkowie zdarzenia nieszczęśliwi żandarmowi mało pochlebnych uwag nie dotyczących oczywiście samej wykonywanej przez niego legalnej czynności służbowej, ale na przykład... nieprawidłowo dopiętego umundurowania. Doszło do tego, że nieszczęśliwi żandarmi szli na interwencję do Drzymały wypucowani jak na przegląd przed cesarskim obliczem. Denerwowało ich to oczywiście coraz bardziej. Złość nie jest dobrym doradcą. Owszem, pracownicy biurokracji pruscy znaleźli kolejne „antydrzymałowe” przepisy, zmusili go, w lipcu 1909 roku, do opuszczenia

Skandale polskie

nia wozu i zamieszkania w ziemiance, wreszcie (nie popuścili do końca, najlepszy dowód, jak im załazł za skórę), do sprzedania działki i wyprowadzenia się do Cegielska pod Rostarzewem, gdzie wegetował na niecałym hektarze. Propagandowo sprawa była już jednak z kretesem przegrana. W 1910 roku ekspozycja wozu Drzymały jest w Krakowie centralnym momentem obchodów pięćsetnej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Przy okazji wystawiona zostaje sztuka opowiadająca o jego losach. Widowisko jest oczywiście, jak na podniosłą rocznicę przystało, na tyle patetyczne, że z rzeczywistością nie ma nic wspólnego. Siłą rzeczy

sam Drzymała nie jest nikomu do niczego potrzebny. Jeszcze by pobrudził symbole swoimi niedostosowanymi do wielkości chwil gaciami.

Potem przyszła krwawa wojna, potem Rzeczpospolita odzyskała niepodległość, potem... Wiele wody upłynęło w Wiśle i Warcie. Dopiero w 1927 roku odnalazł Drzymałę pisarz Józef Weysenhoff, opracowujący patriotyczne czytanki do szkolnych podręczników. Ze zdumieniem stwierdził, że „historyczny chłop” żyje w nędzy i zapomnieniu. Ostatni raz odwraca się karta. Po interwencyjnych artykułach Weysenhoffa przyznane zostaje Drzymale godziwe, piętnastohektarowe gospodarstwo w Grabownie, w powiecie wyrzyskim. Podejmuje go też prezydent Ignacy Mościcki.

Oddajmy ostatni raz głos Tetterowi:

„Prezydent Mościcki, witając się z Drzymałą, pocałował go w rękę. Niektórzy twierdzą, że w ramię, mniejsza o to. Fakt, że prezydent wita chłopą jak ważną osobistość, nie wszystkim przypadł do gustu. A całowanie w rękę niektórzy uznali za niesmaczną demonstrację. Czy był to gest odruchowy - jaki chyba mógł się zdarzyć każdemu witającemu się z wieloma osobami, a Mościckiego witał cały tłum żon dygnitarzy i każdą prezydent musiał całować w rękę - czy też demonstracja? Do dzisiaj nie wiadomo.

Gest ten w świecie prezydenckiej wywołał niebywałą konsternację, zapachniało niebywałym skandalem, podobno nawet dały się zauważyć oznaki wzburzenia. Ale w tłumie wybuchł niesłychany wprost entuzjazm, czyn prezydenta został przez widzów jak najlepiej przyjęty. Trzeba było więc dyskutować rzecz tak, jakby była z góry przewidziana.

Mościcki zaprosił Drzymałę do galowego powozu i obydwaj przejechali przez wypełnione odświętynymi tłumami ulice, udekorowane flagami i emblematami narodowymi”.

Sądzić można, że Drzymała nie przejął się protokołarnymi zgorszeniami. Był już bohaterem skandalu nieskończenie większego, skandalu, który wstrząsnął państwem pruskim, acz po prawdzie, Prusacy nie wyrzucili go z ziemi. Sprzedał ją w końcu dobrowolnie. Nie zmusili go do zamieszkania w wozie, tylko nie pozwalali wybudować chaty. Zmarł 25 kwietnia 1937 roku w Grabownie. Powtórnie zapomniany.

Z jego (drugiego) wozu pozostała jedna deska, ze znakiem firmowym „Dzieciuchowicz i Laube” pozostająca w Muzeum Narodowym w Krakowie, pod sygnaturą IV-V-505.

\*r3

....

Gen. Franciszek Latinik, pułkownik piechoty cesarsko-królewskiej armii i generał dywizji Wojska Polskiego w II Rzeczypospolitej.

Fotografia z nieznanego okresu

r.

Skandale j polskie

."

Franciszek Latinik urodził się 17 lipca 1864 roku w Tarnowie. W wieku osiemnastu lat rozpoczął służbę w armii austriackiej, w której, po ukończeniu Szkoły Kadetów w Krakowie Łobzowie, już w 1885 roku uzyskał stopień podporucznika piechoty. Wyróżniającego się wojaka skierowano do wiedeńskiej Akademii Sztabu Generalnego. Po jej ukończeniu pełni służbę w linii, licznych sztabach, jest wykładowcą taktyki w Oficerskiej Szkole Piechoty. W pierwszej wojnie światowej (pułkownik od 1915) dowodzi brygadą piechoty na froncie rumuńskim, a od 1916 roku na włoskim, gdzie zostaje ciężko ranny w bitwie pod Caporetto. W 1918 roku wstępuje natychmiast do wojska polskiego i zostaje mianowany dowódcą Okręgu Wojskowego Cieszyn. Tutaj 23 stycznia 1919 roku stawia czoło uderzeniu wojsk czeskich. Wobec przeważających sił przeciwnika zostaje zmuszony do wycofania się. Ściągnąwszy jednak oddziały z Wadowic, Krakowa, nawet Częstochowy i Kielc, pod

Skoczowem (29-31 stycznia) wydaje Czechom bitwę i zatrzymuje postęp ich sił zbrojnych. W nocy z 23 na 24 lutego odpiera też ich atak na Cieszyn. 1 czerwca 1919 roku awansuje do rangi generała dywizji. W lipcu 1920 roku, w chwili kryzysu w wojnie z bolszewikami, zostaje mianowany wojskowym gubernatorem Warszawy, dowódcą 1. Armii, odpowiedzialnym za organizację przedmościa stolicy. Jak wywiązał się z powierzonego zadania, opinie są podzielone. W pierwszej chwili oce-

I i" ΦI

Skandale ^^J polskie

niano jego działania wysoko. Również i później na przykład. Władysław Pobóg-Malinowski czy Mieczysław Pruszyński wyrażają się o nim pozytywnie, przypominając między innymi o brawurowym odbiciu Radzymina 14 sierpnia. Już jednak Andrzej Suchcitz nie szczędzi mu złośliwości, spośród których stwierdzenie, że „był powolny i niepotrzebnie ryzykowny” należy do najłagodniejszych. Trudno nam rzecz rozstrzygnąć, skoro nawet wyspecjalizowani historycy wojskowości nie mogą w tym Względnie dojść ze sobą do zgody. W każdym razie zaraz po zwycięstwie warszawskim dochodzi do jakiegoś niejasnego konfliktu między Latinikiem a Piłsudskim. Na pewno nie było tak, jak pisze Norman Davies, że: „generał Latinik zignorował rozkazy Piłsudskiego i (zamiast ścigać cofającą się armię Tuchaczewskiego - LS) poszedł na pomoc Znajdującemu się w opałach Sikorskiemu”. Że nie mogło być mowy o takiej niesubordynacji, dowodzi fakt, że bierze Latinik udział w dalszych operacjach pościgowych, a za swój udział w wojnie odznaczony zostaje, jako jeden z pierwszych jedenastu oficerów, orderem Virtuti Militari V klasy i dwukrotnie Krzyżem Walecznych. W 1921 roku mianowany też zostaje, co trudno uznać za niełaskę, dowódcą Okręgu Korpusu X Przemysł. Dopiero tutaj, nad Sanem, a nie nad Wisłą, kończy się poniekąd historia militarna, a zaczyna poli-tyczno-obyczajowa.

Jest rzeczą bezsporną, że Franciszek Latinik legionistów nigdy specjalnie nie cenił.

Oświadczył wprawdzie publicznie, że „uważa ich za oficerów ideowych”, ale jednocześnie - i trudno tu się dziwić wysoko dyplomowanemu oficerowi austriackiemu - uważał ich za amatorów i powątpiewał w ich umiejętności wojskowe. W zdominowanej przez legionistów armii musiało to prowadzić do konfliktów. Pierwszy z nich wybuchł jeszcze w 1921 roku. Oto legioniście majorowi Marianowi Prosołowiczowi oświadczył Latinik (tak przynajmniej cytował go Prosołowicz): „Wy wszystko zawsze prywatnie załatwiacie, wolę służyć z pomywaczami, niż z takim wojskiem”. Major uzna to za obrazę legionistów i powiadomił o niej Ministerstwo Spraw Wojskowych. Latinik tłumaczył się oczywiście, że „wy” odnosiło się tylk

do Prosołowicza, podobnie jak używane w slangu żołnierskim adper-sonam „takie wojsko” (na przykład: „Co z was za wojsko, Kowalski”). Minister, którym był wówczas (lipiec 1921) Kazimierz Sosnkowski, tłumaczenie Latinika przyjął, Prosołowicza nakazał mu jednak przeprosić za słowo „pomywacz”, co zresztą merytorycznie było słuszne. Sprawa przyschła, ale co podejrzliwi legioniści zaczęli zwracać baczną uwagę na wystąpienia generała, doszukując się w nich antypiłsudczy-kowskich podtekstów. Co tam znajdowali, nie bardzo dzisiaj wiadomo. W każdym razie przyłgnęła do Latinika etykieta legionożercy i człowieka o niewyparzonej gębie. Uehonorował ją w pełni w lipcu 1924 roku, gdy zgłosili się do niego organizatorzy dziesiątej rocznicy wymarszu Pierwszej Kadrowej z Krakowa (6 sierpnia 1914) z prośbą o pomoc wojska w przygotowaniach do święta. Latinik wysłuchał ich jednym uchem, a potem chlapanął bez namysłu: „Dzisiaj przychodzie do mnie państwo z uroczystościami Legionów, jutro przyjdą Żydzi ze zdobyciem Jerycha, a pojutrze Ukraińcy z Petlurą...”. I jakby tego nie było dosyć, dorzucił, co tym razem na pewno ogółu legionistów dotyczyło: „Ci, którzy byli coś warci, zginęli, ci, którzy żyją, są nic nie warci”. Delegacja oniemiała. Następnego dnia w „Nowym Głosie Przemyskim” przedrukowano in extenso wypowiedź dowódcy okręgu z odpowiednim, nieunikającym mocnych słów, potępiającym

komentarzem. I tutaj Latinik popełnił poważny błąd: spowodował konfiskatę numeru. Redakcja odwołała się oczywiście od tej decyzji, a to już oznaczało sprawę sądową (wyznaczono ją na 22 października), czyli zgoła Latinikowi niepotrzebny rozgłos, wykraczający poza prowincjonalny Przemysł.

Już w połowie września odezwał się „Kurier Lwowski” (cytuje za Jerzym Rawiczem): „Nie będziemy tu oceniać wartości generała Latinika, jako generała, człowieka i od pięciu lat już Polaka...”. Była to insynuacja parszywa, bo przecież przed pięcioma laty wszyscy mieli obywatelstwo rosyjskie, pruskie, albo austriackie; zawierała więc sugestię, że wcześniej Latinik do polskości się nie poczuwał, co było pomówieniem kłamliwym. Inni jednak uderzyli w te same, znieślawiające tony. „Naprzód” z 20 września 1924 roku: „...Mimo że pan generał

jest już od pięciu lat przynajmniej w służbie polskiej armii, zdaje mu się ciągle, że jest austriackim pułkownikiem i że Polacy są wciąż jedną spośród czternastu narodowości monarchii austro-węgierskiej...”. Nie prasa jednak była najgroźniejsza. 30 października, zaraz po uchynieniu przez Sąd Okręgowy konfiskaty numeru „Nowego Głosu Przemyskiego” z 24 lipca, poseł z ramienia PSL „Wyzwolenie”, legionista, pułkownik Bogusław Miedziński, złożył w sejmie żarliwą interpelację domagającą się przykładowego ukarania niesforne go generała. Ministrem spraw wojskowych był teraz generał Władysław Sikorski, sam wywodzący się z armii austriackiej i również przez legionistów zwalczany. Nic dziwnego, że nie spieszył się z potępieniem Latinika. Jak to się mówi: wziął na wstrzymanie i zwlekając czekał, aż sprawa przyschnie. Przeliczył się jednak. Do ministerstwa napływać zaczęły masowo listy „obrażonych” oficerów. Jerzy Rawicz w Do pierwszej krwi cytuje fragmenty paru z nich.

Pułkownik Mariusz Zaruski, adiutant generalny prezydenta Rzeczypospolitej, napisał: „Proszę pana ministra o wydanie zarządzeń, które by mnie, oficerowi formacji legionowych, obrażonemu głęboko w swych uczuciach jako człowiek i oficer, dały pełną moralną satysfakcję...”

Generał dywizji Leon Berbecki, były dowódca 5. Pułku Piechoty Legionów: „Osobiście byłem świadkiem obraźliwego odezwania się gen. Latinika o żołnierzach legionowych przed ogółem oficerów (kursy dla wyższych dowódców)... Wielu wyższych oficerów legionowych prosi mnie o przedstawienie do raportu panu ministrowi, celem przedstawienia prośby o obronę ich honoru...”.

Szef Wydziału Żandarmerii w Ministerstwie Spraw Wojskowych (czyli bezpośredni podwładny Sikorskiego) pułkownik Władysław Rozeń: „Stwierdzam, iż czuję się osobiście dotknięty na honorze, oraz tym, że honor munduru Wojska Polskiego został również naruszony. Proszę Pana Generała o wystąpienie z urzędu w sposób taki, by honor mój i wojska na szwank nie był narażony...”.

Sikorski jednak konsekwentnie i uparcie milczał. Oficerowie legionowi poczekali więc na moment jego nieobecności (bardzo prawdopodobne, że celowej) i z większą jeszcze determinacją uderzyli do zastępującego go wiceministra, generała Stefana Majewskiego. Tym razem reprezentował ich sam generał Edward Rydz-Śmigły. Wybieg okazał się jednak chybiony. Majewski również wywodził się z armii austriackiej i był rozłoszczony wypominaniem tego Latinikowi. Poza tym nie miał najmniejszego zamiaru podejmować drażliwych decyzji zamiast przełożonego. Nie zrobił nic. W tej sytuacji, na znak protestu, demonstracyjnie podali się do dymisji między innymi: Edward Rydz-Śmigły - generał dywizji, inspektor armii, Roman Górecki - generał brygady, szef Korpusu Kontrolerów i zastępca szefa Wojskowej Kontroli Generalnej, Jakub Marian Krzemieński - generał brygady, sędzia Najwyższego Sądu Wojskowego, Aleksander Litwinowicz - generał brygady, szef Departamentu Przemysłu Wojennego w Ministerstwie Spraw Wojskowych, Gustaw Orlicz-Dreszer - generał brygady, dowódca 2. Dywizji



Kawalerii, Felicjan Sławoj-Składkowski - pułkownik, szef Departamentu Sanitarnego Ministerstwa Spraw Wojskowych, Stefan Bądkowski - pułkownik, szef Departamentu Inżynierii Ministerstwa Spraw Wojskowych...

Skandal był niesłychany, ale osłupienie opinii publicznej bodaj jeszcze większe. Bo jakże to - z powodu obrazy rezygnują z funkcji, co przejściowo może wręcz sparaliżować działanie Ministerstwa Spraw Wojskowych, oficerowie odpowiedzialni za obronność kraju? Endecka „Dwugroszówka” pisała: „Dowiadujemy się, że w związku ze sprawą generała Latinika generał Rydz-Śmigły podał się do dymisji. Sądzymy, że minister spraw wojskowych przychylił się do sprawy gen. Rydza-Śmigłego i dymisji mu udzieli. W wojsku polskim nie powinno być miejsca dla generałów, którzy posiadają tak słabe poczucie obowiązku iż z byle jakiego powodu gotowi są zdjąć swe szlify...”. Kpiła jednak niestety nie tylko prasa polska. Francuska „Illustration” donosiła o wydarzeniach w Polsce pod znamienne ironicznym tytułem: „Strajk generałów”. Termin ten przewędrował natychmiast nad Wisłę i stał się potocznym określeniem całej afery.

Skandale - polskie

Trzeba było jak najszybciej skończyć z tym bałaganem. Sikorski jednak nadal zwał sprawę na Majewskiego, który wił się jak piskorz, aż w końcu wymyślili salomonowe wyjście. Skoro kwestia jest honorowa, niech ją i sąd honorowy rozstrzyga, i tak jak Sikorski na niego, zwał formalne załatwienie sprawy na generała Eugeniusza Bronisława Pogorzelskiego, bohatera bitwy pod Kaniowem. Pogorzelski, po rozmowach przeprowadzonych z obydwoma stronami, zgodził się, iż rzeczywiście merytoryczny wyrok wydać musi sąd honorowy, na razie jednak, aby uspokoić wzburzone umysły, Latinik powinien odejść „na własną prośbę”. Tym razem krewki generał nie miał już wyjścia, tym bardziej że odpowiednie komisje (skąd my to znamy) zaczęły się dopatrywać popełnionych przezeń ponoć w Przemyślu nadużyć. Podał się do dymisji, w zamian za co raport o „siedmiopokojowym mieszkaniu, które wyremontował na koszt wojska”, powędrował do kosza, a sąd honorowy odłożono na „odpowiedni czas”. Zebrał się on ostatecznie w prawie cztery lata później, 25 kwietnia 1928 roku, pod przewodnictwem generała broni Kazimierza Sosnkowskiego, i zadowolił karą surowej nagany, bez konsekwencji dyscyplinarnych. To ostatnie było czczym frazesem, gdyż sześćdziesięcioletni Franciszek Latinik był już i tak emerytem piszącym wspomnienia i z czynną służbą niemającym nic wspólnego. Zamieszkał ostatecznie w Krakowie i tamże zmarł 29 sierpnia 1949 roku. W pogrzebie na cmentarzu Rakowickim wzięła udział garstka osób. Od dawna już nie wzbudzał emocji.

Skandale  
polskie

.L'  
&CJIII

9 stycznia 1932 roku przybyła z Nicei do Krakowa, via Paryż i Warszawa, Maria Ciunkiewiczowa i zamieszkała tu w Grand Hotelu, w pokoju pod numerem 29. 22 stycznia zgłosiła na policji, że została okradziona. Złodzieje, którzy dostali się do hotelu i wycięli zawiasy w jej walizkach, mieli pozbawić ją sześciu tysięcy pięciuset funtów szterlingów, dziesięciu tysięcy franków francuskich, biżuterii, futer... wszystkiego razem wartości około miliona dwustu tysięcy złotych. Jeżeli przypomnimy, że batowskie buty kosztowały wtedy mniej niż złotych dziesięć, a trzystuzłotowa pensja uchodziła za bardziej niż godziwą, zrozumiemy, że chodziło o sumę ogromną, wręcz niewyobrażalną dla większości obywateli Rzeczypospolitej. Nic dziwnego, że sprawa stała się z miejsca sensacją na skalę ogólnokrajową, a także, że doniesienie spotkało się z najdalej posuniętą nieufnością władz porządkowych. Od początku toteż prowadzono działania wyjaśniające w dwóch kierunkach:

jak miałyby dojść do włamania, ale przede wszystkim: skąd jakaś tam Ciunkiewiczowa mogłaby być posiadaczką tak wielkiego bogactwa. Przyznać trzeba, że to ta druga kwestia zaprzętała detektywów niemal wyłącznie ze szkodą dla rutynowych działań śledczych, które prowadzono pospiesznie i niedbale, w głębokim przekonaniu, że domniemaną krezuskę zdemaskuje sama jej biografia. W tym czasie zamieszkiwało bowiem w Polsce Ciunkiewiczów piętnaścioro (dzisiaj ostała się już

Skandale polskie

tylko dziesiątka - siedmioro na Ziemiach Zachodnich i trójka w okolicach Ostrołęki) i żadne z nich nie zaliczało się do potentatów finansowych. Oszustwo wydawało się więc oczywiste. Tymczasem... Nagle niespodzianka gonić zaczęła niespodziankę. Życiorys pani Marii z każdym faktem wychodzącym na jaw okazywał się coraz bardziej skandaliczny, barwny, ale i... pieniądzem podniecająco pachnący.

Urodziła się 22 sierpnia 1886 roku w Warszawie jako trzecia córka Adolfiny z Fuchsów i Klemensa Jakuckiego, właścicieli ziemskich spod Ciechanowa. Pierwsza siostra, Wanda, była tancerką, druga, Kasylda (zmarła młodo), aktorką teatralną. Wszystkie trzy słynęły z urody. W szesnastoletniej Marii zakochał się dwanaście lat od niej starszy, majątny handlowiec Władysław Dramiński. Wyszła za niego w 1905 roku, gdy miała niespełna dziewiętnaście lat. Dramiński zmarł na gruźlicę ledwie w parę miesięcy po ślubie, pozostawiwszy żonie majątek wystarczający na całkowite uniezależnienie się od rodziny. Zamieszkała teraz w Warszawie, gdzie wkrótce stała się kochanką barona von Engelgarda, dowódcy batalionu petersburskiego pułku gwardii. Baron nie szczędził jej prezentów. Po jego odwołaniu do Moskwy, w 1913 roku, wyszła za kupca Witolda Charłupskiego, któremu wniosła w posagu niebagatelną sumę dziesięciu tysięcy rubli. Razem z powodzeniem handlowali końmi i powozami. O ile wspólny interes funkcjonował znakomicie, o tyle pożycie małżeńskie fatalnie, gdyż Charłupski bił i ustawicznie upokarzał młodą żonę. W czasie rozwodu zachował się jednak przyzwoicie, po połowie dzieląc z żoną pomnożony majątek.

Bogata już rozwódka stała się z kolei egerią przemysłowca Abrahama Neumana, a następnie jednego z największych bankierów warszawskich, którego prasa „ze względu na honor rodziny” określała jako „obywatela G”. Obaj nie okazali się skąpcami w stosunku do pięknej Marii.

W 1914 roku na horyzoncie pojawia się Tadeusz Ciunkiewicz, ziemianin z Kujaw, z którym bierze ślub (to już trzeci) i niedługo potem wyjeżdża do Moskwy, gdzie otwiera doskonale prosperujący antykwariat.

Kiedy w 1915 roku Ciunkiewicz zostaje powołany do wojska, Marię odnajdujemy w ramionach niejakiego Wadiejewa, superbogatego spekulanta, który miał ofiarować Ciunkiewiczowej wiele nieruchomości (w tym pałac na Kaukazie) i wspaniałą biżuterię. Jak łatwo się domyślić, kres tej sielance przynosi rewolucja październikowa. Wadiejew znika definitywnie w odmętach dziejów. Ciunkiewiczowej natomiast nie dzieje się krzywda. Znajduje oto nowego protektora w osobie Leonida Borysowicza Krassina (vel Krasina). Jest to nie byle kto. Przed rewolucją zarządzaniem bolszewickimi finansami zajmowało się trzysobowe „centrum”, w skład którego wchodził Lenin, Aleksander Bogdanów i Krassin właśnie. Z biegiem czasu, przede wszystkim dzięki doskonałym kontaktom w Niemczech, staje się on jednym z czołowych bolszewickich specjalistów od spraw zagranicznych, prawą ręką Joffego. W 1918 roku przewodniczy kluczowej, w obliczu wojny domowej, komisji produkcji artykułów wyposażenia wojennego. Z takim kochankiem zaiste nie ma się czego Ciunkiewiczowa obawiać. Co więcej, w 1920 roku zostaje Krassin mianowany szefem misji handlowej w Wielkiej Brytanii. Może więc bez trudu w walizkach dyplomatycznych przewieźć do Londynu kosztowności wybranki, a jej samej załatwić paszport.

W Anglii gra Ciunkiewiczowa szczęśliwie na giełdzie i wiedzie życie magnatki. Kupuje sobie rolls-royce'a, wydaje rozrzutne przyjęcia, zawiera znajomości w najwyższych sferach. W

jakiej mierze pomaga jej ambasada radziecka - trudno ustalić. W każdym razie, kiedy w 1924 roku Krassin zostaje mianowany ambasadorem we Francji, podąża za nim do Paryża.

Tutaj, pomimo że podejrzewana przez władze francuskie o szpiegostwo, żyje podobnie, jak w Anglii. Kupuje sobie kolejno: pałacyk przy ulicy Monceau, w którym w 1918 roku rezydował prezydent Stanów Zjednoczonych Thomasa Woodrow Wilson; kamienicę w naj -droższej, szesnastej dzielnicy Paryża; wreszcie pałac w Ezy-sur-Eure (dzisiaj przyłączonego do Anet) w stylu Ludwika XIV. Po wyjeździe Krassina w 1925 roku (umrze w listopadzie 1926 śmiercią naturalną)

Skandale

polskie

jej sytuacja - choć nie wiadomo, czy ma to bezpośredni związek z jego wyjazdem - zaczyna się pogarszać. Wpływają na to nowe, skandaliczne miłostki: a to ze Stellanem Olteano, włoskim awanturnikiem, którego Francuzi wysiedlają z kraju pod zarzutem szpiegostwa i malwersacji, a to z młodym rumuńskim inżynierem Maksem Kraysslem, który odtrącony popełnia samobójstwo w dość podejrzanych okolicznościach. Z kolei wdowa po Krassinie Luba Miłowidowa pozywa ją do sądu o zwrot pożyczki udzielonej rzekomo Ciunkiewiczowej przez jej męża w wysokości trzech tysięcy funtów szterlingów. Są też jakieś nieporozumienia z jubilerami z rue de la Paix w Paryżu, których nasza bohaterka posądza o podmienienie jej rubinów w kolczykach. Wszystko to podrywa nieco jej reputację. Jest jednak nadal Ciunkiewiczowa osobą niesłychanie majątną i, trzeba to dodać, wielkodusznie rozrzutną, o czym świadczą prezenty, których nie szczędzi nawet przygodnym znajomym.

Wiele czasu spędza na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie zamieszkuje zawsze w najbardziej luksusowych hotelach, grywa w kasynie i nigdy nie ma kłopotów z wypłacalnością. Do Polski nie jeździ od czasu, kiedy w 1924 roku spotkały ją tu przykrości (wieczne podejrzenia o szpiegostwo). Decyduje się na przyjazd dopiero na skutek kolejnego romansu z Wacławem Głowińskim. Jest to czymś na kształt podróży poślubnej. Kończy się jednak nieszczęśliwie. Chory Głowiński zostaje na leczeniu w Polsce. Ciunkiewiczowa samotnie wraca do Nicei. Po paru miesiącach dowiaduje się, że Głowiński jest umierający. Pociągiem do Warszawy wyrusza więc do kraju ponownie. Na granicy w Zbąszyniu do wagonu wchodzi celnicy. Jednak zajmujący miejsce w tym samym przedziale co Ciunkiewiczowa i zafascynowany współ-pasażerką, młody polski dyplomata Władysław Baranowski wyciąga paszport konsularny i prosi kontrolerów, żeby nie fatygowali damy. W ten sposób zawartość jej waliz pozostaje tajemnicą. Może rzeczywiście zawierały skarby?

Z Warszawy do Krakowa. W Krakowie, w Grand Hotelu wynaj -muje pokój numer 29...

Konsternacja. Wydawało się, że bez trudu będzie można udowodnić jakiejś tam Ciunkiewiczowej próbę dokonania oszustwa ubezpieczeniowego. Teraz wszystko się komplikuje. Proces, który nastąpi, nie będzie formalnością, ale skomplikowaną sprawą poszlakową, która podzieli opinię publiczną na dwa obozy. Owszem, Polacy nie lubią ludzi nazbyt bogatych, ale z drugiej strony imponują im rodacy kupujący pałace i zadający szyku zarozumiałym Anglikom i Francuzom. Owszem, Polacy brzydzą się (podobno) rozwiązłością, ale kiedy dotyczy to sąsiadki, a nie kurtyzany na wielką skalę. Grono sympatyzujących z Ciunkiewiczowa rośnie gwałtownie w trakcie procesu, o czym decyduje ujawniony przez prasę nacisk wywierany przez towarzystwa ubezpieczeniowe na śledczych, jak również znaczna nieporadność oskarżenia. Prokurator sugeruje, że Ciunkiewiczowa sama spaliła część rzeczy w hotelowym kominku. Analiza popiołu tego nie potwierdza. Jednakże, upiera się prokurator, przybyli na miejsce mniemanej kradzieży policjanci odnieśli wrażenie, że w pokoju jest dziwnie gorąco. Cóż w tym dziwnego, skoro byli w mundurowych, zimowych płaszczach, a do tego w numerze tłoczyła się już, pocąc z wrażenia, służba hotelowa? Walizy rozcięte zostały niefachowo? A może właśnie celowo, żeby skierować śledztwo na fałszywy trop? Czy można było tyle futer upchać w jedną walizę? Wprawdzie można, orzeka biegły,

ale byłyby wówczas pomięte. Jeżeli jednak mamy do czynienia z damą tak wielką i pewną siebie, że stać ją na abnegację... I tak dalej, i tak dalej. Pogubił się w tym i sąd, wydając wyrok kompromisowy poniekąd: piętnaście miesięcy, z zaliczeniem aresztu śledczego na poczet kary, w zawieszeniu na pięć lat, oraz pozbawienie praw obywatelskich i publicznych praw honorowych na tychże lat pięć. Janusz Szwaja pisze, że krążyła wtedy po Krakowie anegdota o zasłyszanej ponoć w sądzie rozmowie opartej (co wyjaśniamy, bo gra słów mogła się już dzisiaj zatrzeć) na zasadach kodeksu Boziewicza, podług których osoba uznana za „niehonorową” nie mogła żądać ani dawać „satisfakcji”, czyli pojedynkować się: „Proszę pana, co to znaczy pozbawienie praw honorowych na pięć lat? - To proszę pani, że przez pięć lat Ciunkiewiczowa

Skandale polskie

nie będzie mogła dać satisfakcji żadnemu mężczyźnie. - Ależ to przecież straszna kara! - Właśnie dlatego, moja pani, ona będzie na pewno apelować”.

I rzeczywiście, apelowała. Sąd Apelacyjny zatwierdził jednak w całej rozciągłości Wyrok sądu okręgowego. Nasuwa się oczywista refleksja. Jeżeli Ciunkiewiczowa istotnie została okradziona z dóbr, jakich listy przedstawiła, to wyrok zadał jej poważny cios finansowy, o ubezpieczeniu nie mogło bowiem być już mowy. Jeżeli natomiast próbowała wielkiego oszustwa, to de facto wymigała się dwoma tygodniami aresztu, bo tyle w nim spędziła, czyli niczym. Innymi słowy, jeżeli była niewinna, to została ukarana, a jeżeli winna, to obeszła się bez kary.

Jest już zupełnie inną sprawą, że wkrótce znowu weszła w konflikt z prawem i ostatecznie wyładowała w więzieniu na dziesięć miesięcy. Władysław Żeleński, skądinąd jeden z najsurowszych prokuratorów sanacyjnej Rzeczypospolitej, po wojnie emigrant w Paryżu, powiedział mi, śmiejąc się, że w sumie odegrała Maria Ciunkiewiczowa pozytywną rolę. Oto w czasach kryzysu ekonomicznego, gwałtownego wzrostu bezrobocia i ogólnego zubożenia pozwoliła ludziom pomarzyć o pałacach, wspaniałych limuzynach i światowym życiu. Donosząc o niebywałych meandrach jej życia, wchodziła nieświadomie prasa polska w tę rolę, którą pełnią dzisiaj luksusowe periodyki przynoszące plotki z życia rodzin królewskich i wielkich gwiazd. A ona sama - dodał - też skorzystała. We Francji takie skandale zapominają się po paru miesiącach. W Polsce przeszła do historii i wspominają ją nawet nie tylko pitavale. Powinna być zadowolona.

Tego ostatniego nie jestem do końca pewny. Perypetie prawne Ciunkiewiczowej w Polsce spowodowały, że różnorakie hieny rzuciły się na jej dobra we Francji, ogołacając ją zupełnie. Żyła potem skromnie w Grodzisku Mazowieckim, na utrzymaniu u swojej siostry Wandy, która dawno już porzuciła balet i wyszła za mąż za bogatego przemysłowca. Tamże też umarła 1 sierpnia 1943 roku.

i m£»4v Saft V\ule,

Józef Piłsudski - Naczelnika Państwa Polskiego (1918-1922), dwukrotnie premier (1926-1928 i 1930), pierwszy Marszałek Polski (od 1920 r.), s^uzator zamachu majowego w 1926 r. i twórca rządów sanacyjnych w II Rzeczypospolitej. Fotografia z dwudziestolecia międzywojennego

prZ£j№0\A)\£

i

Skandale polskie

a początek obszerny zestaw smakowitych cytatów z pism i wypowiedzi Józefa Piłsudskiego o sejmie:

„Każdy z posłów ma prawo wrzeszczeć, krzyczeć, ma prawo rzucać obelgi, ma prawo oszczercze pisać interpelacje, dotyczące honoru innych, ma prawo i przywilej zachowywać się jak świnia i łajdak (...).

Wszystkim panom posłom wolno mówić od rzeczy, nie przystępując ani jednym słowem do sprawy, która jest na porządku, i mówić to często tak nudno, tak piekielnie nużącym językiem i formą, że można dostać boleści żołądkowych.

Ładnie by wyglądała ta sala, gdybym, słuchając zaleceń doktorów, nie zechciał walczyć ze sobą!

Stwierdzam stanowczo, że tych piekielnych nudów, które z sali sejmowej wieją, nie mógłbym wytrzymać nawet pół godziny. (...)

Nawet lotne muchy nie wytrzymują waszego, panowie posłowie, gadania, do tego stopnia, iż żadna na inną muchę już nie skacze, a gdy która leniwie to uczyni, to tamta nawet skrzydełek nie podnosi, na pół już zdechła z nudów" (z wywiadu dla „Głosu Prawdy” 1 lipca 1928 roku).  
Skandale

polskie

„W tych zwyczajach i obyczajach leży wychowanie posła w sposób najbardziej nieprzyzwoity, najbardziej hultajski, jaki sobie wyobrazić można, gdyż główna myśl i główne staranie tych panów jest zawsze o utrzymanie zupełnej bezkarności posła za wszystkie jego czynności, chociażby najbardziej nieprzyzwoite i najbardziej sprzeczne z najelementarniejszym poczuciem honoru. (...)

W tej amoralnej atmosferze, w tej atmosferze «morał insanity» (zgnilizny moralnej - LS), słabe głowy tak przesiąkają swoją niczym nie usprawiedliwioną wielkością, że staje się dość niemożliwym obcowanie z takimi ludźmi, tak, powiedzmy, jak dość trudnym jest obcowanie, nawet dla lubiących bardzo dzieci, z dziećmi z zakładów poprawczych. Ci panowie, (...) dochodzą w swoim postępowaniu - powtarzam, przy bardzo słabych często głowach - do mniemania, że jeżeli brzuch go zaboli i jest z tego powodu w złym humorze, to jest to najważniejszy wypadek dla całego państwa. A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiać musi jego zatajdaną bieliznę, a jeśli przy tym zdarzy mu się wypadek, że zabzdzi, to to jest już prawo dla innych ludzi. (...) I trzeba nie mieć wstydu, zatracić go zupełnie, żeby w tym fajdanitisie poślinim widzieć główny «prestige» sejmu." (z „Dno oka, czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie” 5 kwietnia 1929).

„Proszę panów, miałem wielu przyjaciół serdecznych i bardzo kochanych, którzy zasiadali na ulicy Wiejskiej, i byłem zdumiony, jak szybko następuje u nich zaciemnienie umysłu, jak szybko stają się oni czymś w rodzaju ludzi mających aberrację, błędne widzenie, daltonizm specjalny. Stawali się oni ludźmi, uważającymi, że rozmowa bez kłótni dwóch panów z sejmu przy stoliku w kawiarni jest wypadkiem większej wagi niż trzęsienie ziemi w Tokio, że to jest główna praca myślowa, którą ludzie mają się zajmować." (Oświadczenie na rozprawie Trybunału Stanu 23 czerwca 1929 roku).

„Każdy z ministrów, przychodzących na nowo, chciał myśleć, że jemu właśnie uda się przekonać kogokolwiek z panów posłów; i zawsze

1 J I O

kończyło się to abominacją tak głęboką do jakiegokolwiek rozmowy z panami posłami, że bałem się wciąż, iż panowie ministrowie pojedą do Rygi, że rzygać będą po każdej rozmowie z posłami. A jest tych posłów aż 444. Toż, proszę pana, zawartości żołądka nie starczy na takie obcowanie. (...) Pan poseł, to nikczemne zjawisko w Polsce, pozwala sobie bowiem na czynności tak upokarzające - zarówno sejm, jako instytucję, jak i samych siebie, jako posłów - że powtarzam, cała praca w sejmie śmierdzi i zaraża powietrze wszędzie." (Pierwszy wywiad udzielony Bogusławowi Miedzińskiemu dla „Gazety Polskiej” 27 sierpnia 1930 roku).

„Banda byłych posłów, zdeklasowanych jakichś klaczy, czy marnych wałachów, którzy krzyczą: pieniądze, pieniądze, pieniądze. (...) Obliczenie zaś, że to wszystko, co się należy za fotel, za hotel, za burdel i za serdel, ma opłacić rząd z pieniędzy skarbowych - to musi zawieść. (...) Ja sądzę, że będzie najłatwiej dążyć z ratunkiem dla poszarpanego zdrowia tych

panów z sikawką pożarną, aby ich nieco przyprowadzić do przytomności. Dawna to, proszę pana metoda - oblewać wariatów zimną wodą. I pomyśleć, że to wszystko walczy pod sztandarem darmowego serdelku." (Drugi wywiad udzielony Bogusławowi Miedzińskiemu dla „Gazety Polskiej” 6 września 1930 roku).

„Przy dzisiejszych wyborach doradzałem ministrowi Carowi i ministrowi Składkowskiemu, żeby dali się wybrać i na wszelkie krzyki panów posłów, grożąc im kułakiem, odpowiadali językiem parlamentarnym: «Ty durniu, ja jestem poseł, nieodpowiedzialny, jak i ty, bałwanie - a zatem milcz i schowaj pysk do swego wychodka!»" (Szósty wywiad udzielony Bogusławowi Miedzińskiemu dla „Gazety Polskiej” 19 października 1930 roku).

„Gdy zaś weźmiemy, jako punkt wyjścia, to, co mówiłem o par-tyjnictwie, znajdziemy łatwo tak daleko posuniętą niechęć do odpowiadania za swoje czynności, że bodaj najbardziej charakterystyczną i rzucającą się w oczy cechą naszych sejmów było właśnie unikanie Skandale

polskie

za wszelką cenę jakiegokolwiek odpowiedzialności za każdy brud czyniony przez posłów. Demoralizacja, siana w ten sposób w naród, szła nie-ledwie z każdym tygodniem dalej i dalej, czyniąc życie ohydny i przebrzydłym; «cloaca maxima», zebrana na ulicy Wiejskiej, sięgała swym zapachem do wszystkich zakątków życia, czyniąc ten zapach charakterystycznym dla państwa." (Siódmy wywiad udzielony Bogusławowi Miedzińskiemu dla „Gazety Polskiej” 24 października 1930 roku).

„Sejm ladacznic" (w wywiadzie dla „Głosu Prawdy” 1 lipca 1928 roku).

„To jednak zależy od tego, czy wyborcy przestaną wybierać oczaj -duszów, płatnych łajdaków i ludzi, którzy mają jechać do Warszawy po to, żeby być nadszoferem i nadprezydentem, nadkonduktorem i nad-finansistą. (...) Demoralizacja ta od czasu istnienia Polski tak się powiększyła, a panowie posłowie tak się rozbestwili, że ja, gdy przyszedłem do władzy, postawiłem sobie za zadanie rozbić tę aberrację myślową panów posłów, jakoby mieli prawo kpić z praw, z przyzwoitości i ze wszelkich norm, cenionych przez ludzi." (Czwarty wywiad udzielony Bogusławowi Miedzińskiemu dla „Gazety Polskiej” 27 września 1930 roku).

Podobnych cytatów starczyłoby na wiele jeszcze stron. Marszałek Piłsudski nie ograniczał się jednak do słów. Na najsłynniejszą ze swoich antyparlamentarnych demonstracji wybrał moment otwarcia sesji budżetowej sejmu 31 października 1929 roku. Przed zapowiedzianym przybyciem marszałka do izby do hallu sejmowego, gdzie wstęp był wolny dla publiczności, zaczęli nadciągać grupkami oficerowie wojska. Wkrótce znalazło się ich tam około pięćdziesięciu. Czy byli uzbrojeni, „przy szablach", to stało się później przedmiotem kontrowersji. W każdym razie zachowywali się spokojnie. Kiedy nadjechał Piłsudski utworzyli dwuszereg i oddali mu wojskowy salut. Co do tego, co nastąpiło potem, relacje zaczynają się różnić. Wersję piłsudczykowską przedstawia Julian K. Malicki:

„Marszałek przechodzi przez środek nierównego dwuszeregu, odsalutowuje oficerów, niewiele zresztą na nich zwracając uwagi i znika w drzwiach.

Za Nim idzie, jak zwykle wesoło uśmiechnięty gen. Sławoj--Składkowski. Przeszli. Gwar ponownie się wzmacnia.

Niektórzy spośród oficerów wracają na pocztę, inni wychodzą na dziedziniec, a jeszcze inni pozostają w hallu.

Przezorny strażnik Obojski staje w drzwiach pod zegarem, ażeby ewentualnie zabezpieczyć wejście na teren eksterytorialny. W tej chwili z korytarza wybiega chudy jak tyka dyrektor Biura Sejmu p. Pomorski, który, stanąwszy w środku hallu, klaszcze w dłonie, pragnąc uciszyć gwar wśród wychodzących oficerów.

Proszę panów, w imieniu marszałka Sejmu, proszę abyście panowie byli łaskawi opuścić Sejm - woła wyzywająco p. dyrektor Pomorski.

Ta niesłychana w stosunku do oficerów impertynencja wprawiła ich w stan kompletnego osłupienia. Po chwili rozlega się złowrogi szmer, a po nim okrzyki, znamionujące rozdrażnienie i gniew.

Co to jest? Kto to jest? Dlaczego on nas wyrzuca? Panowie, stójcie! Myśmy do niego przecież nie przyszli.

To nie poseł - zawołał ktoś z obecnych - to dyrektor Sejmu.

Co nas dyrektor obchodzi? Myśmy nie do niego przyszli.

Przestraszony p. Pomorski w tej chwili cofnął się w głąb korytarza i pobiegł w stronę gabinetu p. marszałka Daszyńskiego".

Tam zaś miał właśnie miejsce ów sławetny dialog. Pan marszałek Daszyński, wskazując na generała Składkowskiego i podpułkownika Becka:

„Może pan generał i pułkownik zostaną (wskazuje na salonik).

Marszałek Piłsudski: Nie, pan przekreśla wszystko i dlatego wziąłem dwóch świadków.

Słyszałem, że miał pan jechać do Pana Prezydenta, więc nie przychodziłem do pana. Teraz widzę, że pan jest tu, więc przychodzę i chcę pana spytać, po co robi pan tę hecę?

Skandale polskie

Czyja mam długo czekać na otwarcie Sejmu? Czemu pan nie otwiera Sejmu. Co znaczą te hece?

Marszałek Daszyński: Czy to, że tu są panowie oficerowie, w Sejmie?

Marszałek Piłsudski: Nie, nie to, ale to, że pan nie otwiera posiedzenia Sejmu. Czegóż go pan nie otwiera?

Marszałek Daszyński: Pod bagnietami, karabinami i szablami izby ustawodawczej nie otworzę. W hallu są uzbrojeni oficerowie.

Marszałek Piłsudski: A jak pan tego dowiedzie?

Marszałek Daszyński: Mówili mi to moi urzędnicy.

Marszałek Piłsudski: Oh, pańscy urzędnicy! Jeżeli pan tego nie chce, to trzeba to było ogłosić zawczasu. Nikt tak nie robi, a przed wąskim wejściem, gdzie ogłoszenia nie ma, zawsze tłum zebrać się musi. A później jacyś fagasi albo któryś z posłów każą oficerom wychodzić. Po co te głupstwa?

Marszałek Daszyński: Jest pan moim gościem, więc nie chcę z tego, co pan mówi, robić użytku.

Marszałek Piłsudski: Z czego?

Marszałek Daszyński: Pan mówi, że robię głupstwa.

Marszałek Piłsudski: Ja nie jestem gościem, jestem tu oficjalnie.

Marszałek Daszyński: Ja też oficjalnie!

Marszałek Piłsudski: Więc proszę pana o trzymanie języka (uderzenie ręką w stół) i pytam pana, czy zamierza pan otworzyć sesję?

Marszałek Daszyński: Pod bagnietami, rewolwerami i szablami nie otworzę.

Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowa?

Marszałek Daszyński: Tak jest.

Marszałek Piłsudski: To pańskie ostatnie słowo?

Marszałek Daszyński: Tak jest.

Marszałek Piłsudski kłania się lekko i nie podając ręki, opuszcza gabinet marszałka

Daszyńskiego. Przechodząc przez gabinet marszałka Sejmu mówi głośno:

To dureń!".

Sprawa oczywiście na tym się nie zakończyła. Następnego dnia zarówno prasa piłsudczykowska, jak i opozycyjna przedstawiły wydarzenia jako bez mała próbę zamachu stanu, którego - w zależności od barw gazety - próbować dokonać miał raz Daszyński, raz Piłsudski. Nastąpiła też wymiana oświadczeń i komunikatów. Fakty pomieszały się

całkowicie. W komunikacie Biura Sejmu napisano o „około stu uzbrojonych oficerach”, w rozdany posłom liście Marszałka Sejmu o „uzbrojonych oficerach w liczbie około stukilkudziesięciu”, w liście Daszyńskiego do prezydenta Mościckiego o „dziewięćdziesięciu”, Piłsudski z kolei w „Sprawozdaniu o zajęciach w Sejmie w dniu 31 października 1929 r.” wydrukowanym w „Kurierze Porannym” doliczył się ich czterdziestu siedmiu, w tym tylko paru przy szablach, „które dawno już przestały być bronią i z wyjątkiem kawalerii nigdy nawet nie bywają ostrzone, stanowiąc tylko tradycyjną część uniformu”. W tymże „Sprawozdaniu” ze znaną już nam bezceremonialnością pisze Piłsudski: „p. marszałek sejmu Daszyński oświadczył, że wobec wkroczenia siłą do sejmu oficerów nie otworzy posiedzenia izby. Gdym to usłyszał, zdecydowałem od razu, że ten pan jest nieprzytomny i jest wariatem i muszę dlatego pozostawić załatwienie sprawy z wariatem czynnikiem sejmowym, bez mego w tej sprawie udziału”.

Wszelkie komunikaty sejmowe i oświadczenia Daszyńskiego nazwane są parokrotnie „kłamstwami”, do oficerów skierował zaś Piłsudski specjalny rozkaz, w którym oświadczył między innymi, że „oficerowie w niewłaściwym i nietaktowym odniesieniu się do nich przedstawiciela panów posłów widzieli - nie bez słuszności - lekceważenie i nieposzanowanie munduru. Stwierdzam przeto, że wobec tego, iż poseł do sejmu jest nieodpowiedzialny, powyższe zajście muszą oficerowie uważać za zlikwidowane i dla siebie bez uszczerbku na honorze załatwione”.

Burza trwała nadal, widać już jednak było, że pioruny nie dosięgną ani posłów, ani oficerów. Nie oznacza to jednak, że największy skandal parlamentarny nie pociągnął za sobą ofiar. Spadło, rzecz jasna, na najsłabszych.

Skandale polskie

Dziennikarze oto, żeby ustalić faktyczny przebieg wydarzeń, zwrócili się do strażników sejmowych, którzy znaleźli się nagle między młotem a kowadłem. Julian Malicki tak opisuje swoje z nimi rozmowy:

„Najpierw wspomniany redaktor (tj. Malicki właśnie - LS) próbował rozmawiać ze starszym strażnikiem Bartoszewiczem, lecz na wszelkie zadawane przez dziennikarza pytania otrzymał odpowiedzi negatywne.

- Proszę pana, pan wczoraj pełnił tutaj służbę i był świadkiem zajścia z oficerami. Czy mógłby mi pan, jako dziennikarzowi, powiedzieć, jak się faktycznie rzecz przedstawiała?
- Nic panu nie powiem.
- Dlaczego?
- Bo mi nie wolno nic mówić, bez wiedzy mego szefa.

W trakcie krótkiego dialogu, do hallu wszedł właśnie komendant Straży Marszałkowskiej, p. Roman Stawicki. I teraz zaczęła się rozmowa szersza.

Dziennikarz powtarza swoje pytanie.

- Przebieg całego zajścia jest przecież na pewno panu redaktorowi znany z oficjalnego komunikatu Biura Sejmowego, który prasa ogłosiła. Więc w jakim celu pan nas o to pyta?
- Oficjalny komunikat Sejmu nie jest dla mnie wystarczający. Właśnie chodzi mi o to, co panowie sami o tem mówią, a nie Marszałek Sejmu.
- Proszę Pana. Co mogą znaczyć nasze oświadczenia wobec słów marszałka Sejmu - odpowiada Komendant Straży, p. Stawicki, gorliwy służbista. (...) Życie w Sejmie nauczyło nas dyplomacji i ostrożności”.

Nie wszystkich jednak nauczyło. Zresztą trudno dociec, co powiedzieli sami, a co dziennikarze włożyli im w usta. Zaczęło się wewnętrzne śledztwo, kto co powiedział, prowadzone przez naczelnika Wydziału Ogólnego Edmunda Mieroszewicza. Pierwszą zaś jego ofiarą okazał się tak ostrożny Roman Stawicki... Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Tyle... że tylko z najsłabszych.

Ło jest s>iŁ\ urcjzsta.



Bolesław Wieniawa-Długoszowski - generał dywizji Wojska Polskiego,  
dyplomata i ambasador RP w Rzymie w latach 1938-1940.

Fotografia z tego okresu

Skandale polskie

У\ игиГ&ГЛ.

akże przepięknie i tragicznie pisał Kazimierz Wierzyński, jeden z najwspanialszych i najbardziej zapomnianych polskich poetów, w elegii Śmierć Wieniawy:

„Noc wlecze się niejasna i gubi się droga, Jakże trudna wśród ludzi i jak wobec Boga. Noc dłuży się i widma się schodzą na jawie Spaliły się królewskie komnaty w Warszawie.

Noc jest pełna zamętu, rozpaczy i swarów, Jeden cień się nie rozwiął, przystał do sztandarów Jeden cień, co był żywy, na wojnę wiódł sławną, Na Kielce i Wilno. Ach, jakże to dawno! Jak przebić się w tę młodość, jak wrócić po swoje, Gnać przez błonia, w tornistrze układać naboje! Pieśni śpiewać i znowu się w bitwie meldować, Ciemna nocy, jak iść tam?

Odpowiedz i prowadź. Huczy zamęt. To wojna. Zajęczał rykoszet. Ludzie giną. Spakował tornister i poszedł. Nie, powiodła go pylna wśród wierzb srebrnych droga, Ciemno było dla ludzi, lecz jasno dla Boga.

Skandale

polskie

ТМИ

j

akże przepięknie i tragicznie pisał Kazimierz Wierzyński, i z najwspanialszych i najbardziej zapomnianych polskich poetów, w elegii Śmierć Wieniawy:

„Noc wlecze się niejasna i gubi się droga, Jakże trudna wśród ludzi i jak wobec Boga. Noc dłuży się i widma się schodzą na jawie Spaliły się królewskie komnaty w Warszawie.

Noc jest pełna zamętu, rozpaczy i swarów, Jeden cień się nie rozwiął, przystał do sztandarów Jeden cień, co był żywy, na wojnę wiódł sławną, Na Kielce i Wilno. Ach, jakże to dawno! >k przebić się w tę młodość, jak wrócić po swoje, ić przez błonia, w tornistrze układać naboje! i śpiewać i znowu się w bitwie meldować, nocy, jak iść tam? Odpowiedz i prowadź, czy zamęt.

To wojna. Zajęczał rykoszet, idzie giną. Spakował tornister i poszedł, e, powiodła go pylna wśród wierzb srebrnych droga, mno było dla ludzi, lecz jasno dla Boga.

1 C7

Skandale polskie

Wybrał ziemię nie naszą i brzozę nie swojską, Obcy cmentarz i obce żegnało go wojsko. Lecz on jaśniał, szedł w młodość, powracał po swoje, Ktoś po salwie podnosił z murawy naboje".

Ale to już było później, po samotnej, rozpaczliwej, samobójczej śmierci. Przedtem wszystko było zupełnie inaczej. Sam Wieniawa pisał, nie wiedząc, iż dopadną go dzieje:

„Przeżyłem moją wiosnę szumnie i bogato

Dla własnej przyjemności, a durniom na złość,

W skwarze pocałunków ubiegło mi lato

I szczerze powiedziawszy - mam wszystkiego dość.

(...)

Nie żałuję niczego, odejdę spokojnie, Bom z drogi mych przeznaczeń nie schodząc na cał Żył z wojną jak z kochanką, z kochankami - w wojnie A przeto i miłości nie będzie mi żal.

(...)

Do karnego raportu przed niebieskie sądy Duch mój galopem z lewej, duchem będzie rwał, Jak w steelu przez eteru przezroczyście prądy Biorąc w tempie przeszkody z planetarnych ciał.

Ja wiem, że mi tam w niebie z karku łba nie zedrą, Trochę się na mój widok skrzywi Święty Duch, Lecz się tam za mną wstawią Olbromski i Cedro, Bom był jak prawy ułan: lampart, ale zuch.

Może mnie wreszcie wsadzą w czyścicu na odwachu, By aresztem... o wodzie spłacić grzechów kwit,

Ale myślę, że wszystko skończy się na strachu,

A stchórzyć raz - przed Bogiem - to przecie nie wstyd.

Lecz gdyby mi kazały wyroki ponure

Na ziemi się meldować, by drugi raz żyć,

Chciałbym starą wraz z mundurem wdziać na siebie skórę,

Po dawnemu... wojować... kochać się... i pić".

Do tych wierszowanych wyznań właściwie nic dodać. Albo odwrotnie, dodać te tysiące anegdot, które o nim krążyły. Nie ma bodaj warszawskich wspomnień z okresu międzywojennego, które nie przywoływałyby Wieniawy. Parę z nich tylko.

Opowiada major Marian Romeyko, jak to za nie złożenie honorów wojskowych przed portretem Piłsudskiego, którego nie zauważył, został doprowadzony do Komendy Miasta przez sierżanta żandarmerii, któremu uprzejmie obiecał, że „zastrzeli go jak psa”. W konsekwencji musiał meldować się przed Wieniawą.

„Zostałem sam na sam z Komendantem Miasta. Zbliżył się do mnie. Wyznam, że ciągnął od niego zapach przepalonego koniaku. «Pana sprawa, panie majorze, jest bardziej skomplikowana, gdyż pan groził zastrzeleniem sierżanta żandarmerii w służbie... to bardzo poważne... to bardzo poważne... muszę jednak wyrozumieć pana słuszne oburzenie... być może, ja sam na pana miejscu inaczej bym nie postąpił! Drogi majorze! Musisz pan jednak zrozumieć, że nie umiał pan opanować się, co było świętym pana obowiązkiem... biore to panu za złe... lecz z drugiej strony - ma pan rację! Co do cholery! Sztabowego oficera, kawalera Virtuti, ma prowadzić do aresztu jakaś żandarmaska łachudra? Przenigdy! Przenigdy! W mordę sk...syna! Nie, nie, przepraszam... nie można... to bydle jest na służbie... Co mam z panem zrobić? Chyba jedno: podać panu rękę i życzyć, aby pana w życiu podobnego rodzaju przygoda już nigdy nie spotkała. A z tym zasr... raportem na pana dam sobie jakoś radę». - Przez cały czas milczałem.

1 CII

Skandale polskie

Bynajmniej nie miałem chęci usprawiedliwiać się, czując dobrze, że jestem winien. Zamiast mnie - usprawiedliwiał się sam Wieniawa, występując jednocześnie w roli prokuratora, sędziego, obrońcy... Wieniawa podał mi rękę. Wyszedłem. Długo się zastanawiałem i przyszedłem do przekonania, że odczuwam wielki szacunek dla niego jako do człowieka, jako do dowódcy... Nie chodziło mi o moją sprawę, chodziło mi o podejście Wieniawy do całości sprawy".

Tenże Romeyko był później radcą wojskowym ambasady polskiej w Rzymie, gdzie ambasadorem był Wieniawa. Pewnego wieczoru spotkał w knajpie włoską dziewczynę, która wypłakiwała mu się w mankiet, że jej chłopiec musi jechać na wojnę do Albanii.

Nikt wtedy nie miał pojęcia o szykującej się agresji Mussoliniego na Albanię, toteż Romeyko złożył wszystko na nadmiar wypitego przez panienkę wina, odwiózł ją, wciąż płaczącą do domu, po czym wrócił do ambasady i spokojnie położył się spać. O świcie radio podało wiadomość o lądowaniu wojsk włoskich w Albanii. Jakaż okazja stracona! Mógł poinformować rząd polski przed wszystkimi innymi. Zyskać opinię superpoinformowanego! Ze wstydem wyznał wszystko przełożonemu. Tymczasem Wieniawa wpadł w doskonały humor:

„Panie! Panie, opowiedz pan dokładnie jak to było! Mówi pan, że płakała? Że panu się zwierzyła z tą wojną w Albanii? A cóż pan zrobił? Cóż pan zrobił? Mówi pan, że płaczącą

babkę odwiózł pan do domu?... Panie, do cholery! Z pana żaden ułan, żaden lotnik, żaden oficer sztabu generalnego, a nawet panie, żaden przyzwoity dżentelmen! Bo, cóżes pan zrobił? Płaczącej babki pan nie uspokoił, jak przystoi dżentelmenowi! Można zastać płaczącą babkę, ale pozostawić ją płaczącą to nie po dżentelmeńsku. Śmiejącą się, śmiejącą się pozostawia się; pan nie wie jak to się robi? To ja, o siwych włosach mam pana uczyć? - O... widzi pan, gdyby pan był kawalerzystą, byłby pan upiekł trzy pieczenie od razu: po pierwsze miałby pan przyjemność, bo płaczącą babkę przerobiłby pan na śmiejącą się, po drugie - spełniłbyś pan swój

1£Γ1

obowiązek, nadając jeszcze tejże nocy szyfr do Warszawy; a po trzecie - zostałbyś pan bohaterem, bo Warszawa dowiedziałyby się od pana, od pana o tej Albanii..."

Jan Lechoń w Dzienniku (zapis z 4 września 1952 roku): „Słonimski (powiedział) o pewnym biednym rogaczu, któremu Wieniawa sprzątnął sprzed nosa jego kochankę: «O co mu chodzi? Przecież Wieniawa - to jest siła wyższa!»".

Dowcip Wieniawy miał czasem aspekty międzynarodowe. Gdy mianowano go ambasadorem przy Kwirynale, na warszawskim dworcu kolejowym zebrało się liczne grono jego przyjaciół. Gdy Wieniawa wśród nich dostrzegł Adolfa Dymśkę - wychylił się z okna wagonu i parafrazując słynne powiedzenie krzyknął: «Adolfie, nigdy ci tego nie zapomnę!». Jeżeli się pamięta, że podobnych słów użył Hitler w swej depeszy do Mussoliniego, i że Wieniawa właśnie jechał do Rzymu, przyznać trzeba, że żarcik był śmiały.

Z tymi „aspektami międzynarodowymi” wystąpien Wieniawy bynajmniej Słonimski nie przesadził. Angielskiego pisarza Gilberta Keitha Chestertona witał na Dworcu Głównym w Warszawie słowami:

„Pozwalam sobie przywitać Pana w imieniu grupy oficerów kawalerii, nie jako sławnego Anglika, ani sławnego pisarza, ani nawet jako wielkiego przyjaciela Polski, gdyż największym jej przyjacielem jest sam Pan Bóg. Witam Pana, jako kawalerzystę, który się zatrzymał w rozwoju. Dla mężczyzny są właściwie tylko dwa zawody: poety i kawalerzysty. Pan wybrał ten pierwszy, ale my, widząc Pańską odwagę, entuzjizm, błyskotliwy humor, widzimy w Panu wspaniałego kawalerzystę, straconego dla kawalerii z pożytkiem dla ludzkości”.

I Chesterton zachwycił się. Poświęcił potem Wieniawie esej Rycerskość, dzięki któremu zyskał on rozgłos sięgający coraz dalej poza granice kraju.

Tyle że ów rozgłos odwrócił się w jakiejś mierze przeciw niemu samemu. Zacząłem ten rozdział od dwóch wierszy o Bolesławie

Skandale                      polskie

Wieniawie-Długoszowskim. Patetycznego i dramatycznego, pióra Kazimierza Wierzyńskiego, oraz lekkodusznego, wesołego, a trochę i samochwalczego, autorstwa samego Wieniawy. W rzeczywistości żył on zawsze gdzieś pomiędzy tymi dwoma wcieleniami. Generał Józef Kuropieska, który łatwo komplementów nie rozdaje, pisze, iż był Wieniawa oficerem dobrze wojskowo wykształconym i kompetentnym. Rozliczne świadectwa potwierdzają, że, chociaż jego własne wiersze (z wyjątkiem swawolnych piosenek legionowych) nie zyskały, i słusznie, większej popularności, to był poezji i znawcą, i smakoszem. Był też wzorowym ojcem. Patriotą wielkiego wymiaru... Ale cóż. Ta łatwiejsza, mała legenda, wygrywa z reguły z tą trudniejszą. Pisze Antoni Słonimski:

„Archetyp Wieniawy stał się po wojnie jego karykaturą, utrwalony jako wzór dla czasów przedwojennych typowy. Stał się jednym z rekwizytów nieznośnej «Warszawki», jak «Adria», Ordonka, dwu-konka na gumach czy gołębie na Mariensztacie. Mówiąc o Wieniawie, warto przypomnieć pełną specyficznego wdzięku inteligencję przedwojenną, uformowaną na wielu pokoleniach związanych z kulturą europejską i narodową. Są to wartości delikatne, materia łatwo ulegająca zatarciu, a przecież trzeba, abyśmy pamiętali, że

przodkowie nasi nie byli jak posągi kamienne z Wysp Wielkanocnych, nie zrozumiały dla nas, w jedną stronę zwrócone i wszystkie do siebie podobne".

Ta karykatura, o której pisze Słonimski, to redukcja obrazu Wieniawy do skandalicznego bibosza, pożeracza serc i cnót niewieścich, pijaka-ułana wjeżdżającego konno do „Adrii”. To ostatnie jest może przykładem najbardziej wyrazistym. Nigdy Wieniawa konno do „Adrii” nie wjeżdżała. Lecz cóż z tego? Legenda trwa i coraz to nowe pióra bezmyślnie ją powielają. Więc może na zakończenie fragment jego wiersza, słabego wiersza, ale przynajmniej z „Adria” i „Ziemiańską” niemającego nic wspólnego:

„Listopadzie złoty! Złoty listopadzie!

Jakież dziwne czary dziś wyprawiasz w sadzie!

Czary szczerozłote, magie purpurowe, Liściem kolorowym sypiesz mi na głowę.

Gruszki są jak družki na złotym weselu, Jabłonie w koronie, płot w girlandach chmielu.

Spoza płotu, niby figlarna dziewczyna, Modrym okiem mruga kolczasta tarnina.

Słonko sad całuje od samego ranka, Jak stara kobieta młodego kochanka.

Listopadzie złoty! Złoty listopadzie!

Ja się z tobą dzisiaj nie rozstanę w sadzie".

ZŁ. 3KIIA- VUŁ, kKA-1

Franciszek Fiszer, erudyta, filozof, postać ze środowiska kabaretu

oraz kręgów artystyczno-literackich z przełomu XIX i XX w.

Portret wykonany przez Juliusza Nagórskiego w 1935 r.

Skandale

polskie

chu życia... i tu są właśnie dwie wersje. Albo Albatrosa Charlesa Baudelairea, albo Litanię Juliana Tuwima, ze zbioru Sokrates tańczący. Osobiście wołałbym, żeby był to Tuwim, któremu modne jest dzisiaj odmawiać wszelkiej metafizyki, większość świadectw wskazuje jednak na Baudelairea.

Franciszek (Franc, Franz, Franio) Fiszer urodził się 25 marca 1860 roku w Ławach między Ostrołęką a Ostrowią Mazowiecką, z ojca Józefa - ziemianina, i matki Teresy, Glinczanki de domo. Oprócz tego wiemy na pewno to tylko, że uczęszczał do gimnazjum w Łomży, podróżował do Francji i Niemiec i z pełną dezynwolturą, hojną ręką, przepuścił rodzinny majątek (1475 mórg, w tym 957 lasu). Około 1900 roku, goły jak święty turecki pojawił się w Warszawie. Z czego żył? Z dawnych przyjaźni, z pomocy zafascynowanych nim ludzi, wreszcie - cóż to za pytanie w Polsce, gdzie obywatele zawsze wydawali dwa razy więcej, niż zarabiali... Pracą (przynajmniej taką, jaka jest społecznie za nią uznawana) nigdy się nie zhańbił.

- Co pan w życiu robi? - zapytał go kiedyś pewien aptekarz.

- Nic. Absolutnie nic!

- Nic? Ale, proszę pana, jakby to było, gdyby nikt nic nie robił? Ależ panie - odpowiedział Fiszer - ktoś by od wszystkich

wymagał tak trudnej rzeczy!

Skandale polskie

Przesiadywał w kawiarniach i restauracjach (żarłokiem był niesłychanym), rozwijał parafilozoficzne wywody, cieszył anegdotami i bon-motami, krytykował, szydził, nie małą liczbę słuchaczy oczarował tak, że stawał się dla nich mistrzem i autorytetem. Roman Loth w Na rogu świata i nieskończoności - wspomnienia o Franciszku Fiszerze (2002), zebrał 111 „fiszerianów”. Oto parę z nich:

„Podczas żałobnych przemówień na pewnym pogrzebie stremowany mówca zamiast powiedzieć Dunin-Markiewicz powiedział Munin-Darkiewicz czy coś w tym rodzaju.

- Ale się sypnął - grzmiącym głosem powiedział Fiszer - no i cały pogrzeb na nic!".

„Charakterystyczny (dla Fiszera) był spór akademicki o istnienie Boga osobowego. Kiedy uzbrojony w doświadczenie i świetny w dialek-tyce przeciwnik nie dawał się przekonać, Fiszer po dwudziestominutowej dyskusji oświadczył, że za chwilę da argument miażdżący i najbardziej przekonujący, argument nie do odparcia, że Bóg osobowy nie istnieje. Kiedy wszyscy zamarli z ciekawości, zagrzmiął swym basem:

- No więc daję wam na to słowo honoru!"

„Jeden z malarzy, średniej zresztą klasy, opowiadał, jak to malował postać Chrystusa. Postami i umartwieniami doprowadził się rzekomo niemal do stanu ekstazy. Twarz Chrystusa malował na klęczkach i będąc w stanie najwyższego wzruszenia, usłyszał Jego głos.

- Już wiem - przerwał mu Fiszer - co ci Chrystus powiedział. Chrystus powiedział ci: - Janie, ty mnie nie maluj na klęczkach, ty mnie maluj DOBRZE!"

„Kiedyś na pogrzebie jednego z adwokatów, znanego z przenikliwości i niesłychanej wprost intuicji przewidywania, Fiszer szepnął na ucho swojemu przyjacielowi:

Ciekawym, dlaczego on to zrobił?"

„Jedną z klasycznych relacji Fiszera, niemal opowieścią filozoficzną, jest historia wizyty cara w Warszawie.

- Uczta trwała trzy doby - opowiadał Fiszer - sprowadzono z Paryża dwieście beczek zup, podano dwa tysiące bażantów. Stałem na czele szlachty łomżyńskiej tuż u boku majestatu. Po trzech dobach ucztowania, gdy wyszliśmy na dziedziniec - czerkiesi szarżowali i płazowali nas szablami.

- Dlaczego?

Jak to dlaczego? Żeby się nam we łbach nie poprzewracało".

„(Fiszer o sobie z lat rewolucji 1905-1906) I ja brałem udział w ruchu niepodległościowym, wprawdzie w sposób raczej bierny niż czynny. Zaproszony byłem do znajomych na kolację. Kiedy przyszedłem, okazało się, że przed chwilą policja wszystkich gości zabrała do cyrkułu. Musiałem zjeść dwadzieścia cztery zrazy".

„(Opowieści Fiszera) Bardzo lubię psy, zwłaszcza szpice. Pamiętam, gdy w pewnym domu jechałem windą, a wraz ze mną jakiś pan właśnie z takim szpicem... Ponieważ lubię owe stworzenia, przez cały czas jazdy pieszczotliwie głąskałem tego pieska. Dopiero gdy ów pan wysiadał, zauważyłem, że nie był to piesek, lecz mała, przystojna kobietka, zdaje się jego żona, w białym, puszystym futerku".

„Zapytany przez pewną damę, co sądzi o sztuce, której premiera odbyła się właśnie w Warszawie, Fiszer powiedział:

- Sztuka jest bzdurą i koszmarem, a jej autor to kretyn i grafoman...

W tym momencie rozpoznawszy w damie żonę autora sztuki, całuje ją w rękę i mówi:

- Łaskawa pani, gdybyśmy teraz byli sami we dwoje w lesie, udusiłbym panią i nie byłoby gafy!"

Skandale polskie

Możemy przyjąć, że bon-moty i riposty, nawet anegdoty Franca Fiszera, były spontaniczne, „nieprzewidziane" - jak to określał Jan Stanisław Bystron w swoich studiach nad komizmem. Same w sobie jednak nie wystarczyłyby one do stworzenia legendy. Tutaj potrzeba było jeszcze nie byle jakiej umiejętności autokreacji. Ją zaś właśnie miał Fiszer w imponującym stopniu. Warunki fizyczne mu sprzyjały. Obdarzony stentorowym głosem, ogromny, brzuchaty nie przechodził niepostrzeżenie. Kiedy dodał do tego ogromną brodę, którą farbował, wyprzedzając estetykę punków o sześćdziesiąt lat, na różne kolory z zielenią i różem włącznie, maluteńki, ledwie trzymający się na szczycie czaszki kapelutek i nieodłączną różę w butonierce, dzieło stawało się kompletne. Przykuwał uwagę. A w tym momencie jego przesłanie stawało się słyszalne już nie tylko z powodu donośności.

Jego powojenne wcielenie, Piotr Skrzynecki, ileż miał z nim, już nawet powierzchownie i zewnętrznie, wspólnego. Ten sam kwiat w butonierce, inny, ale równie charakterystyczny,

nieodłączny kapelusz, ta sama apoteoza nicnierobienia, relatywna bezdomność i życie z godziny na godzinę, abnegacki stosunek do pieniądza i dóbr materialnych w ogóle. Status filozofa, który wszakże koncepcji swoich nie spisuje... Nawet dowcip z tej samej anegdot rodziny. Opowiadał mi, nie tak, jak Fiszer brodaty, ale także brodaty, Piotr:

„Zaproszono mnie do sierocińca, na spotkanie z tymi biednymi dziećmi. Miałem trochę tremy, ale wszystko się znakomicie potoczyło. Tylko na końcu, kiedy już musiałem wychodzić, te wszystkie dzieci biegły za mną, płakały i wołały do mnie:

- Mamo! Mamo!"

Innym razem przechodziłem z Ulą Kiebzak przez rynek krakowski. Pod pachą trzymałem cztery tomy Słownika symbolów Chevaliera i Gheerbranta. Wpadamy na Piotra. Zagląda mi pod ramię." - Ula, Ludwik! - jacy wy jesteście szczęśliwi - macie tyle symboli!"

Franciszek Fiszer mianował się metafizykiem (z powołania i z profesji), Piotr Skrzynecki nie używał bodaj słowa „metafizyka”. A jednak byli po społu „metafizykami” (ten cudzysłów dlatego, że nie chodzi tu o metafizykę w jej skomplikowanych, filozoficznych definicjach, a tylko o przeciwieństwo „fizyki”, w sensie rachunku, prawa grawitacji i naukowej

przewidywalności). Obaj wierzyli bodaj tylko w sztukę. Tyle że tutaj nie unosili się już wśród obłoków. Dla kiczu, grafomanii i głupoty nie mieli litości. Zaś brak litości połączony z talentem bon-motu, to broń straszliwa. Złośliwość - za małe słowo. Toteż i nie znosiło ich wielu. Nie znosiło tą ciężką nienawiścią, której nie można na zewnątrz pokazać, żeby się nie okryć śmiesznością, a która tym bardziej judzi i piecze. Wtedy pozostają tylko słowa-pociski z za węgla: - A kto to właściwie jest? Co on robi? - Nic nie robi! - Za nasze, panie, podatki.

Skandal! Oczywiście, że skandal. Piotr miał tu może lepiej, gdyż mógłby się wylegitymować „Piwnicą pod Baranami”, którą stworzył i doprowadził na artystyczne wyżyny. Ale nigdy nie wyciągał takiej legitymacji. Nie potrzebował, a i przede wszystkim nie chciał.

Kiedy umarł Piotr (27 kwietnia 1997), niebo zważyło mi się na głowę. Jak wynika ze wspomnień, tak samo odczuli przyjaciele śmierć Franciszka Fiszera (9 kwietnia 1937). Jeden tylko Jan Nowicki pisał jeszcze listy do Piotra (adres: Niebo): „...psiakrew! Dlaczego pan nie odpisał?! (...). Ja wiem, Pan odsypiał trochę, trochę fruwał, trochę spacerował, ale musiał Pan od Aniołów7 słyszeć, że nam się dłuży bez Pana”. ... Bo i dłużyło się i dłuży rzeczywiście.

Można by to zbyć lekką, salonową konstatacją, że Fiszer stanowił w swoim czasie o kolorycie Warszawy, a Piotr - Krakowa. Że bez nich więc zszarzało, zmarkotniało i opustoszało. Ale to tylko najmniej ważna, jedna dziesiąta prawdy. Stwierdzają ludzie tak różni, jak Wacław Grubiński, Kazimierz Błeszyński, Jerzy Zaruba, Jan Lechoń, Czajka (Izabela Stachowicz), że Fiszer ich inspirował, otwierał nowe horyzonty. Tak samo z Piotrem, który odnalazł i kreował chociażby Ewę Demarczyk, Anię Szałapak, Grzesia Turnaua, Zbyszka Preisnera... mnie też w jakimś stopniu. Jakie było mistrzów przesłanie? To pierwsze - totalne lekce-

Skandale polskie

ważenie pieniądza wpisywałoby się w łatwutką ideologię „antykon-sumpcjonizmu”.

Żuk i żaba się do niej przyznaje. Oni jednak - i tu zaczynał się skandal - szli dużo dalej: rezygnowali z zatrudnienia, ze wszystkimi związanymi z nim gwarancjami społecznymi, ze stałego miejsca zamieszkania, ze świętości życia rodzinnego... Gdyby był w tym choć cień agresji, narzucania swojego pojmowania świata innym, łatwo byłoby krzyknąć, że to nihilizm albo anarchia. Ale nie było nic z tego. Udowadniały to dowcip i życzliwość dla świata. Była to tylko pewna propozycja wolności, niezachęcająca do kopiowania przykładu, przypominająca wszakże, że coś takiego istnieje. A potem stawały się cuda.

W listopadzie 1986 roku (a może 1987?) po skończonych występach kabaretu piliśmy, w liczonym gronie, z Piotrem Skrzyneckim, wódkę w „Piwnicy”. Butelki mijały, dowcipy blakły w mijających godzinach, krzyżaki usypiały w swoich pajęczynach nad naszymi głowami.

Nagle ktoś rzucił pomysł, żeby pojechać do Zbyszka F. do Lanckorony. Nie chodziło o to, żebyśmy mieli do Zbyszka jakikolwiek interes, nie chodziło też o alkohol, bo ze skrzynek w

barku wychylały się złote i srebrne, nienaruszone dotąd zakrętki. Ważna była tylko zmiana miejsca i pajęczyn. Mój student z Sorbony, Francuz, David L., jako jedyny dotychczas trzeźwy, mianowany został kierwcą pierwszego samochodu. Co było z następnymi, nie mam pojęcia. Ruszyliśmy jednak w trzy przepelnione wehikuły. Tuż za świętą obecnie Faustyną, czyli na Łagiew7-nikach, opadła nas mgła na oko wykoł. Jakim cudem w tych warunkach David dowiózł nas do Lanckorony - też nie mam pojęcia. Przy porzeczkowym winie zaczęło się teraz czekanie na następne samochody. W ostatnim, po dwóch godzinach, nadjechała Ewa Wnuk, która oświadczyła z miejsca, że musi natychmiast wracać do Krakowa, gdyż ma nieznoszące absencji, próby w Teatrze Słowackiego od godziny dziewiątej rano począwszy, a za oknem rzeczywistość zaczynała już szarzeć. Nie pomogły żadne tłumaczenia, że jest (co było zresztą stuprocentową prawdą) najseksowniejszą dziewczyną w Polsce dwudziestego wieku (co nie zmieniło się zresztą w wieku dwudziestym pierwszym), więc reżyser wybaczy jej każde spóźnienie. Zdesperowany Piotr zastrzegł tylko, że po drodze musimy wstąpić na drinka.

Przy ujściu szosy bielskiej do Zakopianki, nieco z boku, skryta okazałym starodrzewiem, znajdowała się restauracja hrabiego Konopki. Hrabiowska, czy nie hrabiowska, w listopadowym, beznadziejnym świecie i ona wyglądała szaro. Drzewa były brudno-szare, błoto było szare, szary był świat. Restaurację otwierano oczywiście popołudniu. Nie zniechęciło to Piotra, który energicznie zastukał. Po dłuższej chwili zaspany kobiecy głos odpowiedział zza drzwi:

A co chodzi?

Piotr Skrzynecki do pana hrabiego.

Zobaczę...

Nie minęło pi ęć minut, gdy w drzwiach stanął hrabia, w wieczorowym smokingu, świeży i zadbany, jakby na nas czekał. Przeszliśmy do wytwornego barku, nad którym wisiała toporna tabliczka „Alkohol szkodzi zdrowiu”.

Przepraszam za ten idiotyzm - rzucił hrabia, machnąwszy niedbale ręką w kierunku napisu. - Cóż będą państwo łaskawi sobie zażyczyć? Polecam koktajl „Cardinale”.

W tym momencie gospodarz zorientował się, że jeden z porannych gości jest Francuzem. Podszedł do niego i jakby lekko zażenowany, wyjaśnił bezbłędnie elegancką francuszczyzną: - Oczywiście, w koktajlu „Cardinale” łączymy... - tutaj wyliczył najróżniejsze składniki, których już nie pomnę - no i, tak, tak, koniecznie burgundzkie wino. Niestety - twarz hrabiego przyoblekła się w smutek - nie dysponuję. Musimy łać - smutek przesłoniła mgiełka ubolewania połączonego z obrzydzeniem - .. .bułgarską namiastkę.

Oniemiał Francuz, oniemiały dworskie drzewa, zgłupiał listopad i zarumienił się barwami. David, który do dzisiaj wspomina ten świt, nie do końca wie, co było w nim realne. Czy rzeczywistość istnieje hrabia Konopka i dwór przy zakopiance, czy bywają takie mgły pod Krakowem... Jednego jest pewien, jak i ja, że wszystko wyczarował Piotr.

Skandale polskie

W gruncie rzeczy to właśnie te demiurgiczne zdolności łączą w moich oczach najbardziej Franciszka Fiszerę i Piotra Skrzyneckiego. Jest niesłychanym skandalem robić z listopada maj, gdyż są to działania zastrzeżone dla kogo innego. Fiszer dawał z tym sobie radę, proklamując, że Pana Boga nie ma, a nieraz sam się nim obwołując. Skrzynecki był skromniejszy i łaskawszy dla Pana Boga, choć i on miał z nim nieustanne kłopoty. Co jeszcze obu ich zbliża? Ulotność. Pokolenia pamiętające Franciszka Fiszerę wymarły lub są w ostatecznej fazie wymierania. Myślę, że tylko dzięki przyjaźni z Piotrem mogłem sobie zdać w przybliżeniu sprawę z tego, kim naprawdę był dla siebie współczesnych. Pokolenia pamiętające Piotra Skrzyneckiego też nie są nieśmiertelne. Już się zaczynają wykruszać. Anegdota pozostawiona suchym dłoniom archiwistów szybko traci smak i sens. Jest zresztą złudą w oderwaniu od postaci swoich autorów i listopadowo-majowej chwili. Oni wiedzieli

wszakże o tym, i wierzyć można, że w każdej chwili brali to pod uwagę. Nam smutno jednak, że skandal wolności zastąpi skandal ciemnego zapomnienia.

Sortują\* Coraowowej

Zdjęcie z procesu Rity Gorgonowej w 1933 r.

Na pierwszym planie Gorgonowa, w głębi ława obrońców i prokuratury

(od lewej: mec. dr Woźniakowski, mec. Ettinger,

mec. Akser, zastępca prokuratora Przybylski i prokurator Szypuła)

Ir.

u

Skandale                      polskie

■■■■-:■'■.

1                      U U-                      v

początku wydawało się, że chodzi tylko o morderstwo. Banalne na tyle, na ile morderstwo być nim może. Opinia publiczna od pierwszego momentu uznała Gorgonową za winną. Emilia Małgorzata Gorgonowa urodziła się w 1901 roku na chorwackiej wyspie Zlarin, pięć kilometrów od Sibeniku. Ojciec zmarł, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Wychowywała ją więc matka i ojczym -podoficer żandarmerii. Gdy miała piętnaście lat, podczas wojny, wydano ją za porucznika armii austro-węgierskiej Erwina Gorgona, z którym wyjechała do Galicji i zamieszkała u jego rodziny we Lwowie. Klęska i rozpad monarchii austro-węgierskiej spowodowały jednak drastyczne redukcje w armii austriackiej. Zdemobilizowany Erwin zostawił więc żonę z dzieckiem i wyjechał szukać pracy w Stanach Zjednoczonych. Tymczasem stosunki Emilii z teściami, a przede wszystkim szwagrami, układały się coraz gorzej. Wyprowadziwszy się z domu Gorgonów, zaczęła szukać pracy. Po wielu dorywczych zatrudnieniach, m.in. w klinice dziecięcej profesora Groera (ukończyła półroczny kurs pielęgniarstwa), u Chodkiewiczów, u których była boną, i tym podobnymi, dostała wreszcie poważną propozycję od Henryka Zaremby.

Zaremba - znany i zamożny lwowski architekt (urodzony w 1883 roku w Nowym Sączu) - przeżył wielką tragedię rodzinną. Żona, którą poślubił w 1912 roku i z którą miał dwoje dzieci - Elżbietę

Skandale

9 polskie

zwaną Lusią, urodzoną w 1914, i Stasia w 1917 roku - około 1919 zaczęła zdradzać pierwsze objawy choroby psychicznej. Pogłębiała się ona szybko i w 1923 roku trzeba było zamknąć kobietę w zakładzie dla obłąkanych, w stanie „nie rokującym żadnych nadziei”. Zaremba - ekscentryk i abnegat nie bardzo stąpający po ziemi, nie umiał dać sobie rady z wychowywaniem dziesięcioletniej córki i siedmioletniego syna. Zatrudnił więc Gorgonową swoimi wiejskim dworze w Brzuchowicach jako gospodynię, bonę, nauczycielkę dla dzieci... - do wszystkiego po trochu. On miał lat 41, ona 23 i wielce atrakcyjną prezencję. Trudno się więc dziwić, że stosunki służbowe przekształciły się szybko w intymne. Ich owocem była urodzona w 1928 roku córka Romana, potem następne dziecko. Z biegiem czasu, w czym nic nadzwyczajnego, zaczęło dochodzić między konkubentami do mniej lub bardziej poważnych nieporozumień. Gorgonowa posądzała obiecującego jej małżeństwo Zarembę o zdrady matrymonialne, on, podjudzany przez dorastającą Elżbietę, odpłacał jej kubek w kubek takimi samymi podejrzeniami. W 1930 roku wyjechała Elżbieta do Szwajcarii, po naukę w ekskluzywnym Instytut Schloss Marschlins. Wróciła stamtąd światowo rozkapryszona, z głęboką pogardą dla wiejskiego, prowincjonalnego życia. Poty wierciła ojcu dziurę w brzuchu, póki ten nie zdecydował się na wynajęcie dla dzieci mieszkania we Lwowie. On sam kursować miał między miastem a wsią, Gorgonowa gospodarować w Brzuchowicach. Termin przeprowadzki został wyznaczony na sylwestra



1932 roku. Nie doszło jednak do niej. W nocy z 30 na 31 grudnia 1931 roku Lusia została zamordowana w swojej sypialni. Zbrodnia była makabryczna, gdyż ofiara została dodatkowo perwersyjnie zgwałcona. Biegły zapisał:

„... obrażenia części płciowych pochodzą od wciśnięcia z dużą siłą jakiegoś ciała tępego do pochwy, przy czym rozległość głównego obrażenia pochwy, jego charakter, daleki kształt obrażenia drobniejszego w pochwie, odpowiadający odciskowi paznokcia, przemawiają za tym, że obrażenia te powstały przez wciśnięcie do dróg rodnych

J

denatki palca. Zaznacza się przy tym, że ani w częściach płciowych, ani ich otoczeniu nie stwierdzono śladów męskiego nasienia”.

Policja bardzo szybko przedstawiła swoją wersję wydarzeń. Jak pisze Jan Stanisław Olbrycht (cytuje za Edmundem Żurkiem):

„Organa śledcze przyjęły następującą koncepcję. Brak śladów po obu stronach murowanego ogrodzenia willi, nienaruszony śnieg na parapecie okna w pokoju zamordowanej, zbyt małe okno dla dostania się przez nie do tego pokoju, brak śladów włamania w drzwiach willi, obecność czujnego, złego psa dowodzą, że zabójstwa Lusi nie mógł dokonać nikt obcy, a tylko ktoś z domowników, w szczególności zaś Gorgonowa z uwagi na jej wrogi stosunek do Lusi, która była przeszkodą w zamierzonym kształtowaniu przyszłego życia Gorgonowej. Postanowiła ona w przeddzień wprowadzenia się Zaremby do nowego mieszkania, które miało dla niej pozostać zamknięte, usunąć przeszkodę dzielącą ją od Zaremby.

Przygotowawszy narzędzie czynu, tj. dżagan, przyszła krytycznej nocy, podczas gdy wszyscy w willi pogrążeni byli w głębokim śnie, ze swego pokoju przez jadalnię, w której spał Staś Zaremba, oraz przez hall do pokoju Lusi i tu kilkoma uderzeniami w głowę pozbawiła ją życia. Dla upozorowania wtargnięcia obcego sprawcy otworzyła okno w pokoju Lusi, dla upozorowania zaś jego ucieczki po zabójstwie - otworzyła drzwi werandy. Otworzywszy te drzwi, natknęła się na psa Luxa, który przybiegł do otwartych drzwi i być może chciał wejść do środka. Nie mogąc do tego dopuścić, Gorgonowa uderzyła go w łeb. Ponieważ uderzenie nie pochodziło od obcego, lecz od domownika, pies nie zaszczekał i nie rzucił się na napastnika, lecz zaskowyczał z bólu. Skowyt obudził Stasia, który wstał z posłania i zbliżył się do hallu, w którym stała Gorgonowa.

Mając zamknięty odwrót do swej sypialni przez jadalnię, była więc zmuszona uciekać przez drzwi frontowej werandy, aby jak najszybciej znaleźć się w swej sypialni. Biegąc tam, natrafiła na zamknięte drzwi małej werandki, w których musiała wybić szybkę obok klamki,

Skandale polskie

otworzyć drzwi kluczem od wewnątrz, skaleczyła sobie przy tym prawą rękę. Znalazłszy się w swojej sypialni, miała czas na krzyk Stasia pobiec ku pokojowi Lusi.

Następnie, wychodząc kilkakrotnie z willi (po doktora, do ogrodnika Kamińskiego i po wodę), miała sposobność ukrycia dżagana przez wrzucenie go do basenu...”.

Nie miejsce tu, żeby przedstawiać drobiazgowo przebieg i wyniki śledztwa. Już jednak z tego tylko małego fragmentu widać, że wszystko, od początku toczyło się przy założeniu winy Gorgonowej. Mieszkanie we Lwowie było już wynajęte. W czym więc zamordowanie Lusi mogło zapobiec przeprowadzce? Czyż Zaremba chciałby mieszkać na miejscu tragicznej śmierci własnego dziecka?

Skoro pies rozpoznawał w niej domowniczkę, to po co miała go „uderzać w łeb”, powodując zgubny skowyt. Skoro wychodziła parokrotnie przed dom, przechodzili tamtędy i doktor i ogrodnik, ślady prowadzące do głównego wejścia musiały zostać zdeptane, skąd więc pewność, że nikt tędy nie wszedł, korzystając na przykład z niezamkniętych przez zapomnienie drzwi? A sam ogrodnik Kamiński, pozostający w konflikcie z Zarembą - dlaczego nie próbowano nawet ustalić, co robił tej nocy... ? Podobnych pytań było bez liku i

na podstawie istniejących poszlak można by było napisać szereg scenariuszy. Przyjęto jednak od razu tylko jeden. Ten, który najbardziej odpowiadał opinii publicznej.

Proces Gorgonowej przed Sądem Okręgowym we Lwowie zakończył się więc szybko. Za szybko. Kara śmierci orzeczona po paru dniach, podczas gdy biegli płątali się w zeznaniach, a wszelkie właściwie „dowody” dawało się interpretować na kilkanaście co najmniej sposobów, poruszył wreszcie sumienia. Pierwsza zabrała głos niemiecka publicystka Helga Kern. W artykule zamieszczonym w „Wiadomościach Literackich” nie napisała właściwie nic oryginalnego. Zrelacjonowała to tylko, co powinno było od początku kłuć w oczy. Ale dotychczas nie kłuło, więc artykuł wywołał sensację. Tłumaczyła oto,

;

że proces był poszlakowy, a poszlaki w nim podniesione na tyle wątpliwe, iż istnieje poważne ryzyko, że powieszona zostanie osoba niewinna. Gdyby napisała to polska dziennikarka, rzecz być może uszłaby uwagi. Helga Kern była jednak kimś na kształt Oriany Falacci swoich czasów. Umiała dać się słyszeć. Rzecz zapachniała skandalem i liczni dziennikarze zaczęli korygować zajęte przedtem jednostronne stanowiska. Zaczęła się dyskusja, która pasjonowała cały kraj. Nie znaczy to jednak, że zmieniła się atmosfera wokół oskarżonej. Tłum znał już winną, a nikt nie lubi przyznawać się do błędów. Jako sprawozdawcę z rozprawy odwoławczej przed Sądem Okręgowym w Krakowie, która rozpoczęła się 6 marca 1932 roku, delegowały „Wiadomości Literackie” popularną i cenioną dziennikarkę, znaną z ostrego pióra, Irenę Krzywicką, synową słynnego socjologa Ludwika Krzywickiego i kochankę Tadeusza Boya-Żeleńskiego. I w tym momencie wszystko się zmieniło. Proces urósł do rangi zasadniczej debaty społecznej.

Krzywicka nie starała się bowiem rozstrzygać o winie lub niewinności Gorgonowej.

„O inną jeszcze dziedzinę - pisała - zajęła się sprawa Gorgonowej. To olbrzymi splot zagadnień obyczajowych, to owe bolączki, cierpienia, fałszywe i okrucieństwa, wrosnięte w zbrodnię brzuchowicką, to dzieje grzechu pięknej dziewczyny, to owe rozżarte megiery, kamieniujące oskarżoną kobietę, to «idealny ojciec» Zaremba i ohydna atmosfera kołtunerii lwowskiej. To życie, obnażone bezlitośnie, poskręcane pokraccznie i potwornie, groźne jak zaraza”.

Najpierw atakuje Krzywicka samą zasadę sądów przysięgłych i doboru jej członków:

„trudno sobie wyobrazić sąd bardziej klasowy niż ta ława krakowska, której większość stanowili emeryci albo inni dojrzały panowie na urzędach. Prócz nich paru rzemieślników, w których oczach tliła się wprost kosmiczna rozpacz i przerażenie przed nawałem niepojętych Skandale polskie

kwestii. Ich wyrok był wydany, zanim zaczęła się rozprawa. Sąd ludowy, wśród którego nie było ani jednego proletariusza, ani jednej kobiety, nikogo młodego?”.

Jaki ma to związek z tym, że „wyrok był wydany” zanim zaczęła się rozprawa? Krzywicka wypunktowała bezlitośnie: ten oto, że po pierwsze - Gorgonowa żyła w cudzołóstwie (że Zaremba także, to uszło uwagi sądu, który nie szczędzi mu peanów, z których każdy, na zasadzie przeciwstawienia pograżał dodatkowo Gorgonowa); po drugie - miała nieślubne dziecko (ona sama oczywiście i nie „nieślubne dziecko” - to eufemizm, ale bękarta, bęsia, mamzera); po trzecie - cudzoziemska, uboga przybłąda związała się (uwiodła!) bogatego i szanowanego architekta... Po czwarte, zamiast zachować pokorę i skupienie w obliczu sądu, zrywała się, krzyczała, nie wiadomo dlaczego nie chciała zdjąć futra...

Jaki ma to związek ze zbrodnią? Zależnie od podejścia: albo żaden, albo zasadniczy.

Zasadniczy wtedy, kiedy biografia i postawa oskarżonej tak odległe są od poczucia moralnego i obyczajowości sądujących, że z góry uważają oni grzesznicę za zdolną do popełnienia wszelkiego rodzaju występków. Od tego zaś że była zdolna, do tego, że popełniła, już tylko jeden mały krok. I tak właśnie było w sprawie Gorgonowej. Z tym - co podkreśla i piętnuje z całą siłą Krzywicka - że owo poczucie moralne i owa obyczajowość była nie tyle z

dulsczyzny rodem, ile dulsczyną pełną gębą. Toczyły się toteż w sądzie krakowskim zdumiewające debaty. Chcąc „poznać” warunki jej życia przed spotkaniem Zaremby, pytano Gorgonową:

„czy pozwalała się odprowadzać do domu mężczyznom, czy przyjmowała ich zaloty, o której wracała? Dziwiono się nieskończenie, że ktoś tam zapłacił za nią komorne, że będąc na jakiejś posadzie wróciła po dziesiątej do domu. (...) Ona sama, zapędzona przez te szczególne pytania w ślepią uliczkę konwenansów, zakłamała się bez litości. Zamiast krzyknąć wszystkim w oczy: «Czy wiecie, czym było

C

moje istnienie?», trzymała się kurczowo wersji o swej nieskazitelnej cnotce i musiała to robić, bo było jasne, że kwestia jej życia erotycznego z tego okresu ściśle się wiąże z możliwością popełnienia zbrodni, że przyznanie się do kochanka wobec tych wszystkich uczonych panów to niemal przyznanie się do zabójstwa. I tylko z jej tragicznego listu do bezlitosnego męża dowiadujemy się, jak traciła posadę za posadą, jak błąkała się głodna, jak przez dwa miesiące żywiła ją za darmo jakaś Żydówka, jak wieczorami chodziła koło domu, w którym chowało się jej dziecko, usiłując dojrzeć bodaj jego cień na szybie, jak wypędzał ją stamtąd świecący dobrymi obyczajami teść...”.

A Henryk Zaremba w tym wszystkim? Ten, który ją kupił i uczynił kochanką... Zachował się tak, jak sąd tego od niego oczekiwał. Opisywał konkubinę dokładnie, jak chciała tego opinia publiczna. Robił wszystko, żeby przypodobać się widowni i śledczym.

„Widać było - napisała Krzywicka - z jaką furią usiłuje on zgubić tę kobietę. Jego zeznania byłyby dla niej druzgocące, gdyby nie były tak kłamliwe. Drobnym przykładem: kiedy zapytano jego, budowniczego, jaka była szerokość okienka otwartego w pokoju Lusi i czy mógł przez nie ktoś przedostać się z zewnątrz, odparł z panicznym pośpiechem i wielką pewnością siebie: «Ależ skąd, wykluczone, okienko miało 20 cm szerokości». Podczas wizji brzuchowieckiej okazało się, że okienko ma 38 cm i że jednym skokiem może się przez nie przedostać tęgi mężczyzna. Nie wiercie mu, że nie pamiętał, przedsiębiorca budowlany nie zapomina pomiarów swego domu. Takich szczegółów było wiele. Zdawałoby się, że sama przyzwoitość sprawi, że będzie chciał, jeśli nie ratować kobietę, która była mu przez wiele lat towarzyszką i matką jego dziecka, to przynajmniej zachować się neutralnie obiektywnie. «Niech się z nią dzieje, co chce, ja do tego nie przyłożę ręki» - byłoby stanowiskiem... innego człowieka. Ale gdzie tam: on mówił przez cały czas rozprawy bez wahania: «Wtedy zabiła... nim zabiła...», oczerniał ją i znieważał”.

Skandale III polskie

I właściwie nic w tym dziwnego. Cóż z tego, że powierzył jej wychowanie dzieci skoro sypiał z nią i płacił... Była jego utrzymanką, odjął „jego” - kurwą po prostu. Mógł z nią żyć, ale przecież dzieliła ich nie tylko klasowa, przede wszystkim moralna przepaść.

Nie poczuwał się więc do jakiegokolwiek solidarności czy choćby potrzeby obiektywnego spojrzenia na fakty. Pod tym względem nie różnił się zresztą od sądu.

Tyle że reportaże Krzywickiej, w której ślady poszło wielu innych dziennikarzy, zrobiły swoje. Opinia publiczna zaczęła się dzielić i wahać. Przysięgli poczuli się niepewnie. Nie, żeby zaczęli nareszcie dociekać prawdy. Rozpaczliwie zaczęli szukać wyjścia umożliwiającego danie Panu Bogu świeczki i diabłu ogarka. I wymyślili. Wydali werdykt równie głupi, co niesprawiedliwy. Skazali Gorgonową na osiem lat więzienia za zabójstwo w afekcie. Sąd lwowski był przynajmniej konsekwentny. Było jasne, że zabójstwo śpiącej osoby (nie w trakcie jakiejś sprzeczki, podniecenia, odruchu) było premedytowane. Dokonane zostało ponadto z obrzydliwym okrucieństwem. Kwestia była więc nie w kwalifikacji prawnej zdarzenia, ale w odpowiedzi na pytanie: to jej dzieło, czy nie jej. Trzech sędziów uważało, że była niewinna, dziewięciu, że winna. Rezultatem było skazanie na śmierć. Okrutne, straszliwe, ale przynajmniej logiczne. Sąd krakowski wybrał kompromis tam, gdzie go

prawnie i moralnie być nie mogło. Jak podsumowała Krzywicka: „Osiem lat to nie rewoltująca jednych kara śmierci. Osiem lat to nie wprawiające innych w szal niewinność. Mało to ludzi siedzi po osiem lat w więzieniu? Nie ma o czym mówić”. I rzeczywiście sprawa powoli przycichła. Nie we wszystkim jednak. Dała bowiem okazję do pierwszych w Polsce tak głośnych wystąpień w obronie praw kobiet i żądania ich równouprawnienia. Skandal społeczny przystąpił skandal sądowniczy.

PS

Gorgonową, po zatwierdzeniu krakowskiego wyroku przez Sąd Najwyższy 23 września 1933 roku, odsiadywała karę w ciężkim więzieniu kobiecym w Fordonie. Wszystkie prośby jej adwokatów o wcześniej -

j

szcze zwolnienie zostały odrzucone. Miała zakończyć odbywanie kary 24 maja 1940 roku. Dziewięć miesięcy wcześniej uwolnił ją wybuch wojny. Przebywała potem w Warszawie. Po wojnie widziano ją ponoć w Opolu czy we Wrocławiu. Potem wszelki ślad po niej zaginął. Czy była winna? Nie będzie już na to pytanie odpowiedzi. Sądy w każdym razie bezspornie tej winy nie udowodniły. Zadowolmy się więc relacją Krzywickiej z jej ostatniej rozmowy z Gorgonową, odbytej podczas procesu krakowskiego:

„Pytam jej, jak znajduje siłę, aby wytrzymać ponowną torturę rozprawy sądowej.

- Mnie to już wszystko jedno - wzrusza ponuro ramionami -byleby się już prędzej skończyło. Myśli pani, że mi jeszcze zależy na życiu, po tym wszystkim, co przeszłam? Gdyby nie to dziecko...

Macha ręką, spuszcza głowę. Ożywia się po chwili ciemnym ogniem.

- Ale i to dziecko mi zabiorą. Ja jestem jak suka, rodzę dzieci, a obcy mi je zabierają. Zaremba nie pozwolił mi się widzieć z Musią, że niby siedzę w więzieniu. A jak sam siedział, to ją sobie kazał przyprowadzić. Pani słyszała, jak on zeznawał? Sześć lat z nim żyłam, dwoje dzieci, cztery skrobanki! Żeby przynajmniej nie kłamał tak bezczelnie. Już inni niech mówią, co chcą. Ale ja nie mogłam słuchać tego, co on mówi, proszę pani! - dodaje z jakimś błagalnym jękiem.

- Czy pani nikogo nie podejrzewa? Czy nikt pani nie przychodzi na myśl?

Odpowiada żalonym, złamanym głosem:

Jakże ja mogę kogoś podejrzewać? Przecie ja chyba wiem najlepiej, co to znaczy bez winy podejrzewać - i nagle z bolesnym krzykiem. - No, nie wiem, nie wiem, wiem tyle, co pani, wiem, że nie ja, tylko tyle wiem, proszę pani!

Drzę jeszcze na wspomnienie tych słów i tego tonu, którego niepodobna skłamać. Dygoce cała, kiedy widzę przed sobą to spojrzenie i słyszę ten głos, w którym poczułam i nie przestanę czuć prawdy.

Skandale

L ' i

i polskie

Gdyby tak krzyknęła przed sądem, może by się zachwiali panowie przysięgli? Ale tak powiedzieć mogła tylko drugiej kobiecie. Wierzę jej, że nie skłamała, i wierzę sobie, że gdyby to było kłamstwo, tobym je poczuła. Ten krzyk rozpaczny będzie mnie prześladował całe życie".

-WSifiSsker u» u&b&ie.

Felicjan

Sławoj - Składkowski, lekarz, generał dywizji Wojska Polskiego, minister spraw wewnętrznych (1926-1929,1930-1931, 1936-1939) oraz premier rządu RP (1936-1939)

Sławojka z lat 30. XX w.

ze Skansenu

w Ciechanowcu

£■..

Skandale k polskie

Gdyby tak krzyknęła przed sądem, może by się zachwiali panowie przysięgli? Ale tak powiedzieć mogła tylko drugiej kobiecie. Wierzę jej, że nie skłamała, i wierzę sobie, że gdyby to było kłamstwo, tobym je poczuła. Ten krzyk rozpaczy będzie mnie prześladował całe życie".

j

-Mjssuisker u> usŁępjLe.

Felicjan

Sławoj-Składkowski, lekarz, generał dywizji Wojska Polskiego, minister spraw wewnętrznych (1926-1929, 1930-1931, 1936-1939) oraz premier rządu RP (1936-1939)

Sławojka z lat 30. XX w.

ze Skansenu

w Ciechanowcu

Skandale polskie

Felicjan Sławoj-Składkowski (Sławoj - było jego drugim imieniem, a jednocześnie pseudonimem legionowym, skąd aż trzy możliwe pisownie: Felicjan Sławoj Składkowski, Felicjan Sławoj-Składkowski i Felicjan Sławoj Sławoj-Składkowski) był bez wątpienia postacią barwną. W sanacyjnej Polsce piastował wiele wysokich godności wojskowych i rządowych, między innymi: ministra spraw wewnętrznych od 2 października 1926 roku do 26 grudnia 1929 roku, powtórnie od 3 czerwca 1930 roku do 22 czerwca 1931 roku, premiera i ministra spraw wewnętrznych (po raz trzeci) od 16 maja 1936 roku. Swoją polityczną karierę zawdzięczał całkowicie marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, którego był bezkrytycznym, bezwarunkowo oddanym, egzaltowanym i posłusznym wielbicielem. Piłsudski doceniał to zapatrzenie w niego, choć traktował Składkowskiego zawsze z przymrużeniem oka. Oto jak sam Sławoj opisuje w Strzępach meldunków (1936) swoje pierwsze powołanie na stanowisko ministra:

„Pan Marszałek podał mi rękę nad stołem, wskazał ręką krzesło i powiedział bez wstępów: «No więc, zostaniecie ministrem spraw wewnętrznych, bo Młodzianowski nie chce nadal pracować z tym... Sejmem».

Skandale polskie

Siedziałem cicho, czekając, co Komendant powie dalej, gdy jednak milczał, patrząc mi badawczo w oczy, zwróciłem posłusznie uwagę, że z polityką dotychczas się nie stykałem, że są inni koledzy, znający ją lepiej.

Na to Pan Marszałek śmiejąc się i, jakby przyznając mi rację, powiedział: «Nie potrzebna tu polityka. Wszyscy krzyczą, że jesteście -administrator, więc dlatego będziecie ministrem. Zameldujcie się u pana Bartla. No do widzenia!».

Tu Komendant, jakby znudzony tą rozmową, opuścił głowę i zaczął stawiać pasjansa, nie podając mi ręki na pożegnanie.

Wymeldowałem się i wyszedłem z Belwederu, zdziwiony i tem, że zostałem ministrem, ale również i formą, w jakiej to się odbyło.

Przyznam się, że gdym dawniej czytywał w gazetach, że ktoś został ministrem, to przedstawiałem to sobie zupełnie inaczej.

Komendant zaproponował mi «posadę» w ten sposób, jakby uległ tylko «namowom» i «krzykom» innych, a sam był z góry przekonany, że ja na takie stanowisko się nie nadaję. Co prawda, to w głębi duszy - myślałem to samo i ja".

A oto opis innej nominacji lepiej może jeszcze obrazujący stosunki między Składkowskim i Piłsudskim, a może i szerzej stosunki panujące w Belwederze w latach 1926-1935. Warto doprawdy przytoczyć obszerne fragmenty:

„Dnia 18 listopada 1930 roku, w dwa dni po wyborach, które dały większość w Sejmie Blokowi Bezpartyjnemu (BBWR - LS), wezwany zostałem do Komendanta (...).

Melduję się.

Komendant: Niech pan siada. Pamięta pan dawną naszą umowę, że pan wraca do wojska?

ja: Tak jest Panie Marszałku!

Komendant: Teraz zrobił pan dobrze wybory (widząc radość na mojej twarzy, głosem surowszym), zrobił je pan dobrze wraz z innymi, więc co pan wybiera obecnie, swój urząd czy wojsko?

1 ГИГ

ja: Wedle rozkazu, Panie Marszałku, będę dalej pracował.

Komendant: Jest pan nudny.

ja: Nie mogę przecież osądzić, Panie Marszałku, do której służby nadam się lepiej.

Komendant (przerywając mi niecierpliwym ruchem ręki): Nie pytam o służbę, ale - co jest lepiej dla pana!

ja: Panie Marszałku, o tem, co jest dobre dla mnie, już zdążyłem zapomnieć, służąc Panu Marszałkowi. Ofiarowałem się i będzie dobrze tak, jak robi Pan Marszałek.

Komendant: Pan mówi do mnie jak austriacki Stabler i usiłuje pan być tajemniczy.

ja: Tutaj, w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, umiem już wszystko i praca idzie mi łatwo...

Komendant: No no!

ja: Ale jak Pan Marszałek każe mi przejść do wojska, to na pewno w ciągu pół roku lub roku nauczę się moich nowych obowiązków.

Komendant (uderzając dłonią w poręcz fotela): Pan mi robi zmartwienia...

ja: Żeby Pan Marszałek miał tylko takie zmartwienia...

Komendant: Kiedy pan taki, to niech pan sobie idzie... Ja panu nawet nie powiem, gdzie pan będzie.

ja: Melduję posłusznie swoje odejście!...

Komendant - macha ręką, że mogę odejść (...).

Wyszedłem pod wrażeniem, że jednak dobrze odpowiedziałem Komendantowi, ale jednocześnie z niepokojem, co z tego wyjdzie i jak Komendant rozstrzygnie me losy. W każdym razie wybierać coś dla siebie - nie miało sensu.

Takie rzeczy, to nie z Komendantem".

Niestety ślepe posłuszeństwo, nawet jeśli wynika z najszczerzego uwielbienia, nader rzadko jest dobrą formułą na życie. Jeszcze ze Strzępów meldunków. Oto 22 sierpnia 1930 roku odbywa się spotkanie w Belwederze:

Skandale polskie

„Po objęciu władzy, zamiarem Komendanta jest, po rozwiązaniu Sejmu, aresztowanie szeregu byłych posłów za ich «kondemnatki» (czyli mówiąc dzisiejszym językiem - mniej lub bardziej naciągane «haki» na przeciwników politycznych - LS).

W pewnej chwili Pan Marszałek zapytał, kto podpisze rozkaz aresztowania.

Zapanowało milczenie, po którym zameldowałem:

- Melduję posłusznie, że ja podpiszę, Panie Marszałku.

- No więc! - powiedział Komendant, jakby strofując mnie za zbyt długie namyślanie się".

I rzeczywiście, podpisywał Sławoj-Składkowski niejedno. O wiele za dużo. Plama stała się stopniowo niemożliwa do zmycia. Wprawdzie opinia publiczna niesłusznie sądziła, że był to tylko brak skrupułów, podczas gdy w rzeczywistości wszystko wynikało z wierności, najpierw wobec Komendanta, później jego następców; skutków to jednak nie zmieniało.

Dodajmy na usprawiedliwienie, że obok wierności mamy tu do czynienia ze swojego rodzaju nieświadomością. Manipulowano nim i zasłaniano się, gdyż politykiem był żadnym. Widać to najlepiej w wydanej w 1964 roku w Londynie jego autoroz-liczeniowej książce Me ostatnie

słowo oskarżonego. Dopóki opowiada anegdoty, dopóty jest uroczym gawędziarzem wysokiej klasy; gdy tylko dochodzi do polityki, staje się drętwo-mówcą, który nic nie rozumiał. Ale przecież nie polityka (a przynajmniej nie przede wszystkim polityka) spowodowała, że otaczała go atmosfera śmieszności czy nawet błazeństwa, która w przypadku ministra i premiera staje się skandalem.

Felicjan Sławoj-Składkowski był oto z wykształcenia lekarzem. W 1911 roku ukończył, z bardzo dobrymi wynikami, Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego (był wtedy taki). Od stycznia 1911 roku pracował w uniwersyteckiej klinice chirurgicznej jako asystent, a później starszy asystent. Od 13 sierpnia 1914 roku podjął obowiązki kierownika lecznicy chirurgicznej w Sosnowcu, co było przykrywką, gdyż w rzeczywistości od 14 sierpnia 1914 roku do 21 lipca 1917 roku był lekarzem

101

w Legionach Piłsudskiego. Po okresie internowania w Beniaminowie zostaje (do 10 listopada 1918) lekarzem kopalni „Saturn” w Zagłębiu. Przechodzi do wojska, ale i tutaj pozostaje długo w pionie medycznym. Jest kolejno: szefem sanitarnym Inspektoratu Piechoty (do 26 lutego 1919), lekarzem 2. Dywizji Piechoty (do 23 listopada 1919), szefem sanitarnym grupy operacyjnej generała Lucjana Żeligowskiego (do 31 grudnia 1919), pracownikiem sekcji i organizacji Ministerstwa Spraw Wojskowych (do 7 czerwca 1920), szefem sanitarnym grupy operacyjnej kawalerii (do 10 sierpnia 1920), oraz grupy operacyjnej generała Mikołaja Osikowskiego (do 29 sierpnia 1920), delegatem rządowym w Polskim Towarzystwie Czerwonego Krzyża (do 31 października 1920), pracuje w Departamencie Sanitarnym Ministerstwa Spraw Wojskowych, którego zostaje 14 kwietnia 1924 roku p.o. szefa, a od 26 kwietnia już pełnym szefem. Zamieni kitel na politykę dopiero po przewrocie majowym 1926 roku. To długie wyliczenie często zmieniających się posad pozwala nam zauważyć, że i przedtem nie był to kitel w dosłownym tego słowa znaczeniu. Sławoj-Składkowski lubił przedstawiać się jako chirurg, w rzeczywistości jednak, w czym nie ma oczywiście niczego złego, był przede wszystkim organizatorem służby zdrowia i strażnikiem higieny w wojsku. Jak sam pisze: „co miesiąc wyjeżdżałem na kilka dni na inspekcje do poszczególnych okręgów korpusu, przy czym badałem prace szpitali, wyszkolenie batalionów sanitarnych i warunki higieniczne oddziałów liniowych. Szczególny nacisk kładłem na higienę osobistą żołnierzy i czystość koszar. Często zwiedzałem strychy, które nieraz były składem starych sienników, słomy i brudnych gałganów, a to stwarzało złe powietrze w koszarach...”. Kiedy został ministrem, przeniósł swoje zainteresowania również na ludność cywilną. Stał przed problemem ludności wiejskiej wychodzącej w potrzebie za stodołę. A priori nie ma w tym nic śmiesznego. Obsrane obejścia cuchnęły i zagrażały propagacją ewentualnych epidemii. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych pod batutą Sławoja-Składkowskiego opracowało więc parę tanich i łatwych w wykonaniu domków z serduszkami, które nakazało instalować

Skandale polskie

chłopom pod groźbę grzywny dla opornych i opieszających. Nadal nie ma w tym nic złego, a nawet uznać można pomysł za ze wszech miar słuszny. Tyle że minister postanowił sam, osobiście, jak ongiś w wojsku, kontrolować realne wykonanie swoich zarządzeń. W tym momencie społeczeństwo zareagowało zdrowym śmiechem. Minister uganiający się po wsiach, szukający „sanitariatów” i sprawdzający osobiście, wewnątrz, ich czystość i wykonanie był jednak zjawiskiem niezwykłym. Ukłuto wkrótce termin „sławojak” (z połączenia Sławoj i „sra wojak”), który jednak szybko zmienił rodzaj i spopularyzował się jako „sławojka”.

Pisze o tym sam Sławoj w Kwiatuśkach administracyjnych i innych (1959):

„Gdym awansował i walczył dalej o czystość i zdrowie, całe społeczeństwo zgodnie krzyknęło: «Czy to rzecz ministra?!». Pisma opozycyjne zataczały się ze śmiechu, mając

nadzieję, że ośmieszają mnie i zmuszą do ustąpienia. W sejmie socjaliści wesoło i beztrudnie popierali kamieniczników w wyśmiewaniu tego wyrwania się mego z klozetową inicjatywą, jakby nie chodziło tu o zdrowie mas pracujących. Jednym słowem - ogólny jubel! Nawet przyjaciele odradzali mi upieranie się przy mej manii, boć zresztą i oni śmieli się w kułak. Ale wszystko to było dziecinną igraszką, dopóki trzymałem się miast. Dramat rozpoczął się, gdy wyszedłem za rogatki na cichą wieś... Tu «naród wiejski» nie okazał ani zrozumienia, ani chęci, ani radości, gdy usiłowałem go przeciągnąć z przestrzennego, jasnego i powietrznego zastodoła do ciasnych, dusznych, mrocznych ścian sławojki. Przeciwnie, uznano to za wtrącanie się do spraw «gospodarskich», odwiecznie i pomyślnie załatwianych właśnie w ten patriarchalny sposób za stodołą, wbrew wymysłom ludzi z miasta. Miejskie «ciarachy» - jako dawno pozbawione możności, kucnąwszy za stodołą, pogrzenia się w słończku i posłuchania skowronka - ucieszyły się z opresji ludu wiejskiego, ale jednocześnie wyśmiewały te nowe porządki i oni to nazwali nowe domki «sławojkami»".

Tutaj myli się Sławoj-Składkowski, gdyż wszystko wskazuje na to, że termin „sławojka” („sławojak”) jest pochodzenia ludowego. Pierwszy raz odnajdujemy go w pamiętnikach chłopskich zebranych przez Ludwika Krzywickiego, a dopiero znacznie później w szopkach akademickich i gwarze miejskiej. Ma to jednak akurat najmniejsze znaczenie. Znacznie gorszy był fakt, że „sławojkowa” inicjatywa spotykała się z powszechnym oporem albo też przeradzała w parodię. Zauważył to zresztą (poczucia humoru nigdy mu nie brakowało) sam Składkowski, skoro taką oto przytacza w Kwiatuśkach administracyjnych opowiadkę: „Wąskim przejściem, po mostku, doszliśmy (minister Składkowski i starosta powiatu ciechanowskiego - LS) pod zwisającymi gałęziami drzew owocowych do dużej bielonej chaty, przy piekielnym ujadaniu, na szczęście przywiązanego kundla. Przez jasno oświetlone okno chaty widać było siedzące przy stole dzieci. W smudze światła otwartych nagle drzwi stanął wysoki tęgi mężczyzna, wołając głośno:

- A kto tam chodzi?!

Starosta poszedł do gospodarza i po paru chwilach przyciszonej rozmowy doszło mnie:

- Aże z samy Warsiawy jechoł oglądać mój wychodek.

Po czym zaszemrał znów przyciszony szept starosty. Po dłuższych pertraktacjach gospodarz wszedł do chaty, skąd wrócił wkrótce z lampką kuchenną i, przywitawszy się ze mną, poprowadził nas błotnistą ścieżką do sławojki. Pod drzwiami oddał do trzymania lampę staroście, a sam wyjął z kieszeni dłuto i młotek i począł podważać zabite dużym gwoździem drzwi. Gdyśmy wyrazili nasze zdziwienie z tego powodu, gospodarz, otwierając wejście, powiedział spokojnie:

- Dzieckom we szkole przewróciło się we łbie i nie chcą już chodzić za stodołę ino s... we wychodku. A tu musi być czysto dla komisji. Takem zabił goździem i mom spokój.

Skandale polskie

Weszliśmy do środka, gospodarz oświetlał wnętrze, trzymając wysoko lampkę nad głową. Było czysto i zacisznie. Na ścianie na gwoździu wisały nawet pocięte kartki papieru z jakiejś gazety. Gospodarz wskazał ręką do góry i powiedział: - Kryte papą - z taką dumą w głosie, z jaką przewodnik zwraca zwiedzającym uwagę na ostrołuki sali gotyckiej.

Potem, na pół żartem, na pół serio spytał mnie: - Czy aby pan nie potrzebuje?

Podziękowałem za zaproszenie i wyszliśmy w ciemną noc. Gospodarz oddał znów lampkę staroście i wyjął z kieszeni gwóźdź, by zabić nim drzwi sławojki. Na protest starosty powstrzymał swój zapal, mrużąc:

- Zaro bachory na... ja do środka".

Historia jest zabawna, autoironia sympatyczna, tyle że z opowiadki tej nie wyciągnął Sławoj-Składkowski jakichkolwiek wniosków. Na krytykę zżymał się nadal, zapisując ze złością, iż „widać uważany byłem za człowieka krewkiego, lecz mało poważnego i o niewielkim bagażu inteligencji!”. Że coś tu jednak mogło być na rzeczy, świadczy jego własna opowieść kolejna:



„Gdy jako komisarz rządu na miasto Warszawę (13 maja 1926 - 2 października 1926 - LS) zwiedzałem podwórze wraz z eleganckim, pochodzącym z rosyjskiej kawalerii, komisarzem policji, ten zatrzymał się dyskretnie przed ustępem, myśląc, iż dążę tam we własnej, zwłoki nie cierpiącej sprawie. Na mój okrzyk z wnętrza: - Tonę w... brudach! - Wszedł za mną, zrobiwszy coś w rodzaju maski gazowej z uperfumowanej chusteczki. Gdy wróciliśmy na «świeże» powietrze, na twarzy komendanta pałało bolesne zdumienie, że musi oglądać wychodki”.

Pal licha, co sądził potem komisarz o swoim przełożonym. Niestety, w zapale pokazywania swoich osiągnięć lub miejsc, które wskazywały na słuszność podjętej przez niego akcji, nie ograniczył się minister do swoich podwładnych. Zwiedzali naganne miejsca za stodołami, by porównać je później ze słusznymi sławkami, akredytowani w II Rzeczypospolitej dyplomaci i dziennikarze, a także bawiący prze-j azdem nad Wisłą goście, którzy mieliby j akikolwiek związek z medycyną lub kwestiami społecznymi. Prasa zagraniczna donosiła o tym ze zrozumiałą wesołością, co jednak Polakom było nie w smak, więc krzyczeli o skandalu i kompromitacji.

Podczas wojny przebywał Felicjan Sławoj -Składkowski w Palestynie, gdzie starał się, bez skutku, o uzyskanie przydziału wojskowego. Nie chciano go nawet w charakterze prostego lekarza wojskowego. Przyłgnęły do niego najgorsze karty sanacji, a w większym jeszcze stopniu nieszczęsne sławki. Osiadł potem w Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkał w ciężkich warunkach materialnych, poświęciwszy się przede wszystkim pisaniu książek w części wspomnieniowej znakomitych. Doceniano jego pióro, a pomimo to wydawać mógł cokolwiek tylko po uzyskaniu pieniędzy z rozpisanej zawczasu subskrypcji. Na dotacje liczyć nie mógł. Żył z dala od wszelkich emigracyjnych utarczek, zrezygnowany, o dziwo (choć może taka właśnie była jego prawdziwa natura) życzliwy otoczeniu i pogodny.

Zmarł 31 sierpnia 1962 roku w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Pochowany został w Londynie, na cmentarzu Brompton.

Pojęcie „sławojka” wyszło z mody i młodzi Polacy, w ogromnej większości, nie wiedzą już zgoła, co to słowo oznacza.

L icU. dwie, o1c2bTкь

Antoni Słonimski, poeta, felietonista, dramaturg, satyryk i krytyk teatralny z 1. poł. XX w.

Zdjęcie z 1956 r.

Skandale m polskie

4/ J J

wie ojczyzny

W twojej ojczyźnie karki się zgina Przed każdą władzą, Dla zwyciężonych - wzgarda i ślina,  
Gdy ich na kaźń prowadzą.

W twojej ojczyźnie gdyś hołdy składał -Pod obce trony.

W ojczyźnie mojej, jeśli kto padał, To krwią zboczony.

W ojczyźnie twojej do obcych w wierze

Bóg się nie zniża.

Moja ojczyzna świat cały bierze

W ramiona krzyża.

W twojej ojczyźnie sławnych portrety, Tom w etażerce. W mojej ojczyźnie słowa poety

Oprawne w serce.

Skandale Я polskie

Chociaż ci sprzyja ten wieczór mglisty I noc bezgwiezdna, Jakże mnie wygnasz z ziemi  
ojczystej, Jeśli jej nie znasz?

Ten wiersz Antoniego Słonimskiego, w sposób jasny a nawet dobitny potępiał (pierwsza zwrotka mówiąca o dyktaturze, trzecia o nacjonalizmie) faszyzującą prawicę polską. Sugerował, co więcej, że szermuje ona demagogią narodową (zwrotka czwarta), choć w gruncie rzeczy narodu nie reprezentuje, a tylko żeruje na ciemnych instynktach (zwrotka piąta). Zwrotkę drugą można interpretować na parę różnych sposobów, ale powszechnie odebrano ją jako oskarżenie o uleganie hitlerowskim wzorcom. Tyle (prostacko) na temat: „co poeta miał na myśli”, a raczej, jak został odczytany. Reakcja kręgów skrajnej prawicy nie dała na siebie czekać.

Antoni Słonimski popijał cappuccino w „Ziemiańskiej”, kiedy do kawiarni wtargnęła grupa młodych osiłeków z ONR. Jeden z nich, Zygmunt Ipohorski-Lenkiewicz, podszedł do poety i spoliczkował go, krzyżąc: „Masz za «Dwie ojczyzny»”. Koledzy ruszyli ławą za nim. Kelnerzy zagroźli im drogę. Zanosilo się na większą burdę, kiedy do „Ziemiańskiej” wszedł generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Na jego widok napastnicy ulotnili się bezszelestnie.

Wiadomość o zajściu w „Ziemiańskiej” lotem błyskawicy obiegła Warszawę.

„Po tym incydencie nie zmieniając trybu życia poszedłem do klubu Gielnińskiego na brydża. Wróciłem dobrze po północy i Janka spytała, czy coś się stało, bo telefonowało parę osób pytając o mnie. Nazajutrz mieszkanie nasze przy ulicy Flory stało się domem godnym tej nazwy. Znoszono kwiaty i listy. Było tego bardzo dużo. Wzruszająco dużo. Gdyby napadnięto mnie za «Kronikę tygodniową», za artykuł ostry, bo ostro wtedy zwalczałem naszych domorośłych rasistów, od-  
ruch oburzenia nie byłby tak spontaniczny i tak szeroki. Napaść bojów-karska za wiersz patriotyczny, sprzeczna z tradycją i obyczajem, zdołała oburzyć nawet przeciwników moich poglądów”.

Rzeczywiście, wyrazy solidarności przesłało wtedy na ręce Słonimskiego nawet paru znanych endeków. Zaś w wileńskim „Słowie” (jak widać, skandal odbił się echem nie tylko w Warszawie) pisał konserwatysta i monarchista „żubr kresowy” Stanisław Cat-Mackiewicz: „Gdy się dowiedziałem, że pan Ipohorski wystąpił w obronie honoru Polski, chciałem powiedzieć, że jestem także Polakiem i że wielu jest Polaków, którzy powiedzą, że kultura Polska nie potrzebuje takich obrońców ani takich przedstawicieli”.

Ciekawe są dalsze losy Zygmunta Ipohorskiego-Lenkiewicza. Swoje wygórowane, związane ze sztuką ambicje (poetyckie, dramaturgiczne, reżyserskie), bo miał takowe, zrealizować zdołał dopiero podczas okupacji, zostawszy 7 lipca 1943 roku kierownikiem artystycznym otwartego przy ulicy Senatorskiej 26 w Warszawie Teatru Rozmaitości. Tutaj jednak nic nie było za darmo. Za swój wyśniony awans zapłacić musiał współpracą z okupacyjnym Wydziałem Propagandy. Jako patriota i narodowiec wybrał oczywiście Wydział do spraw starozakonnych. Od tej pory dzielić musiał czas na przygotowywanie nowych premier i zbieranie informacji o ukrywających się Żydach. Repertuar, zgodnie z intencjami hitlerowskich przełożonych, narzucił teatrowi niezbyt ambitny. Zaczęło się od rewii Młodość, miłość, awantura, potem przyszedł czas na popisy cyrkowe. We wrześniu 1943 roku udało mu się zorganizować, na swojej scenie, pierwsze od września 1939 roku godne tego imienia zawody bokserskie. Nieświadomi, z kim mają do czynienia, zgodziło się w nich wziąć udział paru czołowych bokserów okresu międzywojennego, pod sportową batutą Feliksa Stamma. Niedługo potem władze podziemne uzyskały informacje o drugim życiu dyrektora Teatru Rozmaitości. Po paru zlekceważonych przez Ipohorskiego ostrzeżeniach wydany został na niego wyrok śmierci. Wykonał go 31 lipca 1944 roku, w przeddzień powstania, patrol z Oddziału

Skandale i |ч polskie

Dywersi Bojowej Żoliborz. Ipohorski wychodził z zaprzyjaźnioną aktorką tylnym wyjściem z teatru, pół godziny po zakończeniu spektaklu, kiedy zastąpiono mu drogę. Było ciemno i pusto, więc egzekutorzy zdążyli mu odczytać całą sentencję wyroku.

Sprwcc^ Cu\*)AjfcsluaAC

Art. 1

Pamięć czynu i zasługi

JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO,

Wskrzesiciela Niepodległości

Ojczyzny i Wychowawcy Narodu,

po wsze czasy

należy do skarbnicy

ducha narodowego

i pozostaje pod szczególną

ochroną prawa.

Art. 2

Kto uwłacza imieniu JÓZEFA

PIŁSUDSKIEGO,

podlega karze więzienia

do lat 5.

Skandale ^ polskie

Spi - i %U}A\*

dniu 30 stycznia 1938 roku wendeckim „Dzienniku Wileńskim” ukazała się recenzja książki Melchiora Wańkowicza C.O.P. -ognisko siły. Książka ta - reportaż rzeka o budowie Centralnego Okręgu Przemysłowego - miała propagandowy charakter, toteż autor, wychwalając rozwój polskiej gospodarki, nie pożałował sobie przy okazji dogodności do wystawienia laurki sanacyjnym rządowi. To właśnie przypuszczalnie zirytowało wybitnego historyka literatury, specjalistę od romantyzmu i twórczości Norwida, Stanisława Cywińskiego, i sprowokowało do zabrania głosu, acz gospodarką zgoła się nie interesował. W ironicznej recenzji znalazł się fragment, który miał mieć później nieobliczalne konsekwencje: „Wańkowicz daje szereg żywych obrazków tego, co widział i czego nie widział, ale co ma podobno powstać w tym sercu Polski, zadając kłam słowom pewnego kabotyna, który mawiał o Polsce, że jest jak obwarzanek: tylko to coś warte, co jest po brzegach, a w środku pustka”. Cenzura nie dopatrzyła się w tekście niczego zdroźnego i puściła go w całości. Minęły prawie dwa tygodnie. Nagle w dwutygodniku „Naród i Państwo”, którego współpracownikiem był Wańkowicz, ukazał się anonimowy artykuł Plugastwo słowa, będący gwałtownym atakiem, a właściwie donosem na Cywińskiego: „W dniach ostatnich wpadło nam w ręce wyjątkowe w małostkowej niedojrzałości plugastwo. (...) człowiek o poważnych walorach naukowych

Art#

Skandale ^ polskie

pozwala sobie na doczepianie do Wielkiej Postaci błazeńskich epitetów, czyniąc to w podstępny i ukryty sposób, mający zapewnić bezkarność popełnionego w ten sposób wykroczenia przeciwko duchowi poszanowania Historii Własnego Państwa i Narodu”. Donos był jednoznaczny: Cywiński słowem kabotyn obraził marszałka Józefa Piłsudskiego. Na skutki nie trzeba było czekać. Następnego dnia do mieszkania Cywińskiego wdarła się grupa oficerów. Krzycząc: „Ośmieliłeś się, bydlaku, obrazić komendanta!”, powalili go na podłogę i kopali po całym ciele aż do zemdlenia, siniacząc i łamiąc żebra. Od ciosów w twarz wypłynęło mu lewe oko. W tym samym czasie dwie inne grupy wojskowych udały się do mieszkań redaktora naczelnego „Dziennika Wileńskiego” Aleksandra Zwierzyńskiego i jego zastępcy Zygmunta Fedorowicza. Nie zastawszy ich w domu, wojskowi udali się do redakcji, gdzie zmasakrowali obu redaktorów, a przy okazji poturbowali Bogu ducha winne osoby,

które miały nieszczęście być na miejscu: dziennikarza Dariusza Żarnowskiego, gońca Poborskiego i dozorczynię Dawi-dowiczową. Kiedy ocuceni przez nadbiegłych sąsiadów dziennikarze naradzali się, co zrobić, komu się poskarżyć, do redakcji (rzecz była skoordynowana z imponującą precyzją) weszła policja, aresztowała wszystkich pobitych i opieczętowała lokal. Na komendzie, gdzie był już również Cywiński, przetrzymywano ich czterdzieści osiem godzin nie udzielając żadnej pomocy lekarskiej i nie pozwalając nawet opatrzyć otwartych ran. Po upływie „przepisowego” terminu zwolniono Fedorowicza, natomiast Cywińskiego i Zwierzyńskiego przetransportowano do więzienia, gdzie (prokurator już zdążył wydać sankcje!) mieli oczekiwać na proces. Sprawców pobicia nie poszukiwano, co generał Tadeusz Kasprzycki tak uzasadnił w liście do premiera Felicjana Sławoja-Składkowskiego: „W przeświadczeniu, że wystąpienie wspomnianych oficerów było naturalnym odruchem, w świetle wpajanych żołnierzowi zasad czci dla wodza najzupełniej uzasadnionym, oraz wierząc, że nie znalazłby się w Polsce żaden sąd wojskowy, który by przeciwko obrońcom czci i pamięci osoby Komendanta wydał wyrok skazujący - uważałem za niewskazane pociągać do odpowiedzialności żołnierzy - uczestników wystąpień w dniu 14 lutego br” Przeciwno pobitym rozpięto natomiast nagonkę bez precedensu.

Jak wylicza w swojej znakomitej monografii o sprawie Cywińskiego (Polska jest jak obwarzanek, 1988) Mariusz Urbanek:

- „ - opieczętowano redakcję «Dziennika Wileńskiego»;
- prokurator Sądu Okręgowego w Wilnie wniósł do sądu akt oskarżenia przeciwko Stanisławowi Cywińskiemu i Aleksandrowi Zwierzyńskiemu, zarzucając im popełnienie przestępstwa określonego w artykule 152. kodeksu karnego, a więc znieważenia narodu polskiego poprzez zelżenie czci marszałka Polski Józefa Piłsudskiego;
- wobec obu oskarżonych zastosowano areszt tymczasowy; zawieszono wydawanie „Dziennika Wileńskiego” do czasu zapadnięcia wyroku w sprawie oskarżonych;
- wojewoda wileński zawiesił działalność Stronnictwa Narodowego na terenie Wilna i województwa wileńskiego z dniem 17 lutego; zarządzenia przestrzegano tak skrupulatnie, iż poczta odmawiała nawet przyjmowania depesz adresowanych do Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego;
- rektor Uniwersytetu Stefana Batorego zawiesił docenta Cywińskiego w jego obowiązkach, a senat akademicki uchwalił przekazanie jego sprawy do postępowania dyscyplinarnego;
- do Wilna dla utrzymania spokoju i pacyfikacji nastrojów skierowana została kompania kandydatów policji państwowej;
- za zorganizowanie demonstracji (potępiającej pobicie Cywińskiego - LS) do Berezy Kartuskiej zesłani zostali, jako zagrażający bezpieczeństwu wewnętrznemu, członkowie Stronnictwa Narodowego: aplikant adwokacki Piotr Kownacki i studenci prawa: prezes Bratniej Pomocy Uniwersytetu Stefana Batorego, Witold Świerzewski, oraz działacz Młodzieży Wszechpolskiej, studenckiej organizacji Stronnictwa Narodowego, Stefan Lochtin (...)

Dwadzieścia trzy organizacje w samym tylko Wilnie powzięły rezolucje potępiające artykuł Stanisława Cywińskiego w «Dzienniku

Art

Skandale ^ polskie

Wileńskim»; informowały o tym rozlepianymi w mieście afiszami. Zdobne wizerunkiem krzyża Virtuti Militari plakaty rozpoczynały się od słów: «Żołnierze, kombatanci, nie pozwólmy hańbić pamięci Wielkiego Marszałka...». Pośród protestujących związków i stowarzyszeń znalazły się: Federacja Polskich Związków Obrońców Ojczyzny w Wilnie,

Reprezentacja Byłych Żołnierzy Polskich na Wschodzie, Związek Legionistów, Związek Peowiaków, Związek Legionistów Puławskich, Związek Żołnierzy I Polskiego Korpusu Wschodniego, Związek Kaniow-czyków i Żeligowczyków, Związek Sybiraków, Związek Legionistek, Związek Uczestników Byłej Wojskowej Straży Kolejowej, Związek Byłych Ochotników Armii Polskiej, Związek Osadników, Związek Inwalidów Wojennych, Legia Inwalidów Wojsk Polskich, Związek Oficerów Rezerwy Rzeczypospolitej Polskiej, Związek Ogólny Podoficerów Rezerwy, Związek Rezerwistów...".

Jeśli były w prasie enuncjacje broniące pobitych, zdejmowała je cenzura. Przeczytać więc można było tylko (zebrał artykuły Mariusz Urbanek):

„Gazeta Polska” nr 49/1938:

„Czyn p. Cywińskiego nosi w sobie znamiona tak straszliwej ohydy, takiego wyzucia ze wszelkich hamulców, już nie etyki nawet, ale po prostu człowieczeństwa, że trudno znaleźć słowa, by napiętnować go należycie”.

„Kurier Poranny” nr 50/1938:

„Nie ma słów, aby określić tego rodzaju pohańbienie dobrej czci imienia polskiego. Nie ma określenia, aby potępić wybryk, który może być owocem chyba opętańczej jakiejś głowy. I nie ma środków, które mogłyby posłużyć do dość surowego i stanowczego wymazania takiej plamy”.

„Merkuriusz Polski Ordynaryjny” nr 11/1938: „Reakcja właściwa powinna być taka, aby na głowę winnego spadła nie tylko kara, ale i oburzenie społeczne”.

„Kurier Wileński” nr 46/1938:

„Niech uświadomią sobie ci, którzy sieją wiatr, że zbierać będą burzę, tak niepożądaną i groźną nie tylko dla nich, lecz i dla całej Ojczyzny w obecnej chwili dziejowej”.

„Naród i Państwo” nr 12/1938:

„Jakie są sposoby zaradzenia złemu? Konfiskaty? - Zaostrzenie wymiaru sprawiedliwości? - Przyspieszenie procedury sądowej? - Niewątpliwie! - Wszystko to są środki, które dobrze zorganizowane społeczeństwo musi stosować. Nie one jednak mają znaczenie najistotniejsze. Najważniejsze jest wytworzenie poczucia narodowego w samym społeczeństwie. Nie można w stosunku do zawodowych oszustów mieć pobłażliwego stosunku widza teatralnego...”.

Sejm nie pozostał w tyle. Najście na dom profesora Cywińskiego miało miejsce 14 lutego, a już 15 marca posłowie uchwalili jednomyślnie Ustawę o ochronie imienia Józefa Piłsudskiego, Pierwszego Marszałka Polski:

Art. 1. Pamięć czynu i zasługi Józefa Piłsudskiego - Wskrzesciciela Niepodległości Ojczyzny i Wychowawcy Narodu - po wsze czasy należy do skarbnicy ducha narodowego i pozostaje pod szczególną ochroną prawną.

Art. 2. Kto uwłacza imieniu Józefa Piłsudskiego, podlega karze więzienia do lat 5.

Art. 3. Wykonanie ustawy niniejszej porucza się Ministrowi Sprawiedliwości.

Art. 4. Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Skandale ^ polskie

Osiem dni później, również jednomyślnie, zatwierdził ustawę senat. Podczas jego obrad szczególnie oklaskiwany był premier Felicjan Sławoj-Składkowski, który swoje przemówienie zakończył następująco:

„Gdy studiujemy życie i czyny bohaterów starożytnych, to zwykle dowiadujemy się, że byli kochani przez wszystkich, że nikt nie ośmielał się wystąpić przeciw wielkości ich imienia. Jest to nieprawda. Wiemy, że kiedy rycerze wznosili w górę na tarczach przyszłego króla lub wodza, to w prawej ręce każdy trzymał obosieczny miecz, aby karać tego, kto by się ośmielił targnąć na majestat i sprzeciwić imieniu pańskiemu. Wysoka Izbo! Ta ustawa jest właśnie tarczą, na której cały Naród Polski wznosi Imię Józefa Piłsudskiego wysoko ku słońcu i chwale wieczystej”.

W tej atmosferze rozpoczął się 9 kwietnia 1938 roku proces Stanisława Cywińskiego. Prawo oczywiście nie działa wstecz, duch nowej ustawy unosił się jednak nad salą. Posłużono się artykułem 152. kodeksu karnego, głoszącym, iż: „Kto publicznie łży lub wyszydza Naród albo Państwo Polskie, podlega karze więzienia do lat 3 lub aresztu do lat 3”. Przy czym sąd przyjął, że „zniewagę Narodu lub Państwa Polskiego popełnić można nie tylko przez publiczne użycie słów bezpośrednio łączących lub wyszydzających Naród lub Państwo Polskie, lecz także przez użycie wyrazów łączących lub wyszydzających Pierwszego Marszałka Polski, śp. Józefa Piłsudskiego”. Przyjęcie artykułu 152. było o tyle korzystne dla Cywińskiego, że, jak widzimy, łżenie Narodu i Państwa było zagrożone niższą karą maksymalną niż obrażanie pamięci Komendanta. Była to jednak dla oskarżonego jedyna „pozytywna” wiadomość. Oskarżał prokurator Władysław Żeleński. Postać ciekawa. Bratanek Tadeusza Boya-Żeleńskiego zrobił błyskotliwą karierę prokuratorską i delegowany był do spraw najgłośniejszych, prestiżowych dla państwa, oskarżał na przykład zabójców ministra Bronisława Pierackiego (po wojnie znalazł się na emigracji we Francji, gdzie poświęcił się sprawie pojednania polsko-ukraińskiego, dożył ponad stu lat). Jego nominacja oznaczała, że władze przywiązują do procesu wielką wagę i dążą do surowego wyroku. Zachowanie sędziów też nie pozostawiało w tej mierze żadnych wątpliwości. Odrzucili oni wszystkie wnioski dowodowe obrony, ustawicznie przerywali adwokatom i samemu oskarżonemu. Kiedy mecenas Juliusz Glaser usiłował podważyć kwalifikację prawną czynu, usłyszał od Żeleńskiego pogardliwe: „Jeśli panowie obrońcy nie są w stanie zrozumieć, że obraza Piłsudskiego jest obrazą Narodu - to ja mam dla nich tylko współczucie”. „Nie wiedziałem, że pan prokurator jest zdolny do takich uczuć” - replikował Glaser. Najbłyskotliwsze riposty obrony nie mogły jednak nic zmienić. Po trzech dniach procesu Cywiński, pomimo fatalnego jeszcze, po pobiciu, stanu zdrowia („nie był w stanie wejść o własnych siłach na salę sądową, miał przesłonięte bandażem oko, z ucha ciekła mu ropa” - pisze Mariusz Urbanek), skazany został na karę maksymalną trzech lat więzienia. Dopiero ten drakoński wyrok naprawdę poruszył opinię publiczną. Zmobilizowała się przede wszystkim palestra. Najlepsi adwokaci z całej Polski zaofiarowali Cywińskiemu darmowo swoje usługi w rozprawie apelacyjnej, która odbyła się 2-4 czerwca 1938 roku. Nowy skład sędziowski musiał też odczuwać wstyd za poprzedników, gdyż w traktowaniu obrony i oskarżonego nastąpiła wyraźna zmiana. Wyrok został ostatecznie złagodzony do półtorej roku więzienia z zaliczeniem trzech miesięcy aresztu prewencyjnego. Sąd wyraził też zgodę na zwolnienie Cywińskiego za kaucją do czasu rozpatrzenia przez Sąd Najwyższy skargi kasacyjnej.

5 kwietnia 1939 roku Sąd Najwyższy odrzucił skargę kasacyjną (nie obeszło się bez skandalu - obrona, której odmówiono wyłączenia ewidentnie stronniczego sędziego Władysława Kaczyńskiego, demonstracyjnie opuściła salę). Cywiński do polskiego więzienia już jednak nie wrócił. Zdecydował o tym jego stan zdrowia, a może i to, że inne, ważniejsze wydarzenia zaprzętały teraz wadze. „Pomściło” imię Piłsudskiego dopiero NKWD, które po wejściu Rosjan do Wilna aresztowało, a później zesłało profesora. Zmarł w maju 1941 roku w łagrze Kirowie na skutek ogólnego wycieńczenia i z powodu gruźlicy płuc.

Zygmunt Chychła (po prawej) w walce z zawodnikiem radzieckim Siergiejem Szczerbakowem, w finale wagi półśredniej, na Mistrzostwach Europy w boksie w Warszawie w 1953 r.

Skandale                      polskie

\* i

marca 1953 roku zmarł Józef Stalin. W pierwszej chwili niczego to nie zmieniło. Wręcz odwrotnie. Następują pozgonne miesiące apogeum stalinizmu w Polsce. 25 września 1953 roku uwięziony zostaje prymas Polski Stefan Wyszyński. W kilkunastu miastach trwają procesy polityczne. 12 lipca „Tygodnik Powszechny”, ostatnie niezależne pismo w Polsce, zostaje rozwiązany i przejęty przez PAX. Nie widać żadnych znamion wytęsknionej poprawy sytuacji.

W tym samym czasie, w Warszawie, odbywają się Mistrzostwa Europy w boksie.

Relacjonuje je „Trybuna Ludu” (pozostańmy tylko przy tytułach):

21 maja: Sukcesy pięściarzy radzieckich i polskich.

22 maja: Walki ćwierćfinałowe wykazały zdecydowane przewagę pięściarzy ZSRR i krajów demokracji ludowej.

24 maja: 7 Polaków i 5 pięściarzy radzieckich wśród dwudziestu finalistów mistrzostw Europy.

Komentował wtedy Aleksander Reksza: „W ramach minionych mistrzostw widzieliśmy wiele pojedynków, które pozostaną w naszej pamięci. Stawka była bardzo silna i w ogromnej większości bardzo wyrównana. Najgroźniejszymi pięściarzami mistrzostw byli nasi koledzy radzieccy, których aż pięciu znalazło się w finałach...”.

Skandale polskie

W rzeczywistości wszystko było inaczej. Już w drugim dniu eliminacji Leszek Drogosz spotkał się z radzieckim bokserem Wiktorem Miednowem. Drogosz ma już przydomek „czarodzieja ringu”, który nadali mu rok wcześniej węgierscy dziennikarze, ale bardzo to jeszcze młody i niedoświadczony „czarodziej”. Miednow przeciwnie, jest starym wyjadaczem, dysponującym przy tym potężnymi uderzeniami z obu rąk. Rusza też od razu do przodu. Zepchnięty do obrony Drogosz tańczy, klinczuje, wydaje się jednak, że nie wytrzyma długo. I wtedy w Hali Mirowskiej podnosi się doping. To właściwie już nawet nie doping, ale tumult, ryk tysięcy ludzi, którzy nie chcą, żeby Rosjanin pobił „ich chłopaka”. Miednow nie jest dla nich w najmniejszej mierze „radzieckim kolegą”, jak to ładnie napisał Reksza.

Przeciwnie - jest uosobieniem wrogiego imperium, wszystkich jego kłamstw, procesów, odprzed-miotowania. W tłumie ginie strach. Można wreszcie dać upust całej nagromadzonej goryczy. - Bij ruska!

Bij sowieciarza!

Oficjele wpadają w panikę. Czegoś takiego nie było jeszcze w „czerwonej Warszawie”. A Drogosz? Nagle wyrastają mu skrzydła! W drugiej rundzie po jego fenomenalnych unikach rozpedzony przeciwnik parokrotnie wpada w liny, ośmieszając się niemal.

To ta runda zadecyduje. Trzecia jest słabsza, ale Polak nie ustępuje ani na krok. Wygrywa.

Owszem, poprzedniego dnia wygrali już Józef Kruza i Aleksy Antkiewicz, ale Kruza z Belgiem, Antkiewicz z Rumunem. Tego dnia, co Drogosz, zwyciężają także Zygmunt Chychła i Zbigniew Pietrzykowski, ale znowu: Pietrzykowski z Jugosłowianinem, a Chychła z Włochem. To nie to samo. To zupełnie co innego! Wieść o zwycięstwie Drogosza krąży po Warszawie, rozpala wyobraźnię i przyciąga tłumy. W następnych dniach ludzi w hali będzie bodaj tyle samo, co pod halą. Władze są bezradne. A ludzie czekają na jedno. Na kolejne walki „naszych” z „tamtymi”. I nie zawiodą się. Kolejny dzień jest spokojny. Ale już w półfinałach aż trzy pojedynki polsko-radzieckie: Henryk Kukier z Anatolijem Bułakowem, Antkiewicz z Władimirem Jengibaria-

nem, Tadeusz Grzelak z Jurijem Jegorowem. Przegrywa tylko Antkiewicz. W finałach, w walce o złoto, będzie więc aż siedmiu Polaków! W tym aż czterech stanie naprzeciwko zawodników radzieckich...

Oddajmy na chwilę głos Leopoldowi Tyrmandowi, który tak streszcza w Dzienniku 1954 analizę Kisiela:

„Rok temu grało w Krakowie «Dynamo». Meczowi przyglądało się ponad pięćdziesiąt tysięcy wrogo nastawionych do sowieckiej drużyny ludzi. Należało przypuszczać, że piłkarze sowieccy zechcą zdobyć sympatię tych widzów, grając czysto, uczciwie, fair i po gentlemanśku. Tymczasem było zupełnie inaczej. Rosjanie zagraли brutalnie. Sędzia - Rosjanin - oszukiwał na ich korzyść, wreszcie wygrali na siłę, za wszelką cenę i zeszli z boiska ogłuszająco wygwizdani. Dziewięciu ludzi na dziesięć, w tym uczciwych, lecz głupich komunistów, powie: to jest propagandowy błąd. Otóż wcale nie, a zresztą nie o to chodzi. Z punktu widzenia propagandowego ten mecz nie ma najmniejszego znaczenia. Prasa, znajdująca się całkowicie w rękach komunistycznych, roztrąbi po kraju zupełnie fałszywy obraz meczu, napisze o przygniatającej przewadze Rosjan i ich pięknej gentlemanśkiej grze, o to zaś właśnie chodzi, aby całe społeczeństwo dostało takie sprawozdanie ze spotkania. Z drugiej strony pięćdziesięciu tysiącom krakowiaków pokazano, że nie pomoże ich wściekłość i poczucie sportowej sprawiedliwości. Rosjanie muszą wygrać, żeby nawet świat stanął na głowie, no i Rosjanie wygrywają. Ale to ma daleko donioślejsze znaczenie niż sfałszowana wersja meczu, jest bowiem demonstracją niezłomnej siły komunizmu i prawidłowości jego zasad. Po trzydziestu latach takich praktyk zanikną nasze dzisiejsze pojęcia sprawiedliwości sportowej, gry fair, bezstronności, sędziowania, natomiast pozostanie, umocni się, utrwali, zatriumfuje przekonanie, że Rosjanie muszą wygrać...”.

Tego właśnie obawiała się warszawska publiczność. Toteż prezentowanych zawodników, sędziów, działaczy radzieckich witano a priori ogłuszającymi gwizdami, wrogimi okrzykami, coraz to potężniejszym

Skandale II polskie

tumultem. Nikt nie mógł mieć wątpliwości, o co tu chodzi. Nawet niewiele rozumiejący zazwyczaj zagraniczni dziennikarze. Skandal przybierał rozmiary międzynarodowe.

Tymczasem na ringu polscy bokserzy, którym udzielił się nastrój widowni, walczyli jak w transie. Na początek Henryk Kukier pokonał Czecha Františka Majdlocha. Ale to była tylko przystawka.

Na ring wyszły teraz „koguty”: Zenon Stefaniuk i Borys Stiepanow. Przy ogłuszającym dopingu Stefaniuk wygrał wszystkie rundy i nie dał sędziom (czego tak obawiano się w hali) szans na żadną manipulację. To jakby przetarło drogę. W kolejnej walce, w wadze piórkowej, Józef Kruża pozbawił wszelkich złudzeń Aleksandra Zasuchina. Upojeni trzema Mazurkami Dąbrowskiego kibice nie protestowali nawet, kiedy w kolejnym spotkaniu Władimir Jengibarian pokonał Węgra Istvana Juhaszą. Emocje wzrosły, kiedy czwarty złoty medal dorzucił Leszek Drogosz, bijąc z łatwością Terence' a Milligana z Irlandii. I znowu pełne szaleństwo, kiedy stają naprzeciw siebie Zygmunt Chychła i rutynowany Siergiej Szczerbakow. Jest to rewanż za Igrzyska Olimpijskie 1952 roku, z których przywiózł Chychła pierwszy w dziejach polskiego boksu złoty medal. I znowu Rosjaninowi nie udaje się odwrócić karty. Przegrywa. Widownia wpada w taki amok, że porażki dwóch ostatnich Polaków: Grzelaka w wadze półciężkiej i Bogdana Węgrzyniaka w ciężkiej, nie są już w stanie popsuć nastroju. Również tytuły z prasy następnego dnia, które cytowałem na początku, nikogo już nie obeszły ani nie zezłościły. Cała Polska wiedziała swoje, i to był może dla władz większy jeszcze skandal niż to, co działo się w Hali Mirowskiej i wspomniane miało być jeszcze przez lata. Może dopiero triumf polskich bokserów na Olimpiadzie w Tokio w 1964 roku przyćmi nieco miraż owych legendarnych Mistrzostw Europy. W jakiejś mierze dlatego, że wszystkie trzy złote medale zdobyli w Japonii Polacy (Józef Grudzień, Jerzy Kulej i Marian Kasprzyk), pokonując zawodników... radzieckich. Jedyny Artur Olech walczył w finale nie z reprezentantem ZSRR, ale Włochem Fernandem Atzorim i przegrał. - Nie miał wystarczającej motywacji, kwitowano to złośliwie nad Wisłą. Tak już niekiedy jest, że wielkie skandale pociągają za sobą skandaliki mniejsze. Nie darmo przywołałem Leopolda Tyrmanda. W braku innych możliwości pisywał on również



sprawozdania sportowe do „Przekroju”. Po pierwszym dniu mistrzostw, a więc jeszcze przed walką Drogosza, napisał reportażyk o „wspaniałej atmosferze mistrzostw, obiektywnej i radosnej warszawskiej publiczności” etc. Niestety, cykl wydawniczy tygodnika trwa parę dni... Rzecz ukazała się więc wtedy, kiedy na widowni zawodów kibice byli już rozgrzani, a władze wściekłe. Artykuł wzbudził powszechną przekorną radość, a u Tyrmanda nikt już więcej żadnych sprawozdań sportowych nie zamówił.

Wypuszczanie balonów z zeznaniami Światły, z terenu Austrii w grudniu 1955 r.

Skandale ■ polskie

^лДлиі, г Б&Бэлом

ózef Światło (co do jego prawdziwego nazwiska istnieją dwie wersje: Lichstein i Fleischfarb) urodził się 1 stycznia 1905 roku w Medy-nie na Podolu, wubogiej rodzinie żydowskiej. W pobliskim Tarnopolu ukończył siedem klas szkoły powszechnej. Pracował potem jako szewc. W wieku osiemnastu lat wstąpił do Komunistycznego Związku Młodzieży, przybudówki KPP, a gdy miał lat dwadzieścia osiem, czyli stosunkowo późno, do samego KPP, gdzie szybko wyrobił sobie opinię energicznego aktywisty. Powołany w 1938 roku do wojska wziął udział w kampanii wrześniowej. Uciekł z niewoli niemieckiej i przedostał się w rodzinne strony, będące teraz pod okupacją radziecką. Komunistyczna przeszłość nic mu (na razie) nie pomogła. Aresztowany, zesłany został do syberyjskich łagrów, a po amnestii 1942 roku wcielony przymusowo (nie uznano jego polskiego obywatelstwa) do radzieckich batalionów pracy. Uciekł i stąd, by po wielu perypetiach dotrzeć do formującej się w Sielcach nad Oką Dywizji Kościuszkowskiej. Tutaj został przyjęty z otwartymi rekami, jako komunista, a do tego przeszkolony żołnierz, który zdążył już powąchać prochu. Nic dziwnego, że awansuje błyskawicznie. W 1943 roku jest już podporucznikiem do spraw politycznych. Po wejściu berlingowców na ziemię polskie jako kapitan skierowany zostaje do służby w aparacie bezpieczeństwa. Sprawuje obowiązki zastępcy komendanta UB w Warszawie, później Olsztynie i Krakowie.

Skandale ■ polskie

Z Krakowa (jest już podpułkownikiem) zostaje przeniesiony do centrali i mianowany pierwszym wicedyrektorem X Departamentu, badającego między innymi prawomyślność członków partii i gromadzącego haki na nich. Stanowisko dla niewtajemniczonych mało może efektowne, w istocie dające jednak nieograniczone niemal możliwości rozgrywek personalnych, intryg i manipulacji.

Jak pisze Zbigniew Błazyński:

„W dwóch szafach żelaznych w gabinecie Światły znajdowały się wszystkie najtajniejsze kartoteki, akta oraz dokumenty aparatu bezpieczeństwa i Biura Politycznego partii. On miał do nich stały dostęp. Były tam dowody i zeznania każdego czołowego działacza partii przeciw każdemu innemu - zarówno w partii, jak i poza nią - gotowe do wykorzystania w chwili politycznie właściwej. Znakomite narzędzie szantażu. Bez przesady można powiedzieć, że X Departament był główną bronią Stalina w Polsce, a Światło miał w swoich rękach partię i rząd. Nie było tajemnicy, której by nie znał. Mógł wywindować lub złamać każdego, zarówno w hierarchii partyjnej, jak i rządowej. (...) Nie dyrektor departamentu Fejgin, ale Światło był łącznikiem, który otrzymywał zatwierdzenie instrukcji Bieruta od tzw. doradcy ministra bezpieczeństwa, sowieckiego generała Lalina. Światło miał specjalny telefon i prawo skomunikowania się bezpośrednio z Berią w wypadkach szczególnie ważnych, nagłych i drastycznych”.

Niewątpliwie jest człowiekiem najwyższego zaufania, zarówno Moskwy, jak i Bolesława Bieruta. Czyż może być lepszy tego dowód niż powierzenie mu osobiście aresztowania Władysława Gomułki? Tyle że dla wprowadzonego w mechanizmy działania radzieckiego imperium takie zaufanie jest w najwyższym stopniu niepokojące. Kolejne stalinowskie czystki

wykazały dobitnie, że do czasu dzban wodę nosi; tacy, co wiedzą za wiele, pierwsi padają ich ofiarami. Józef Światło był zbyt inteligentnym człowiekiem, żeby nie zdawać sobie z tego sprawy. Tymczasem w Moskwie po śmierci Stalina za którą przyszedł wkrótce upadek Berii, następowały zmiany, po których nie mógł się niczego dobrego spodziewać. O odwilży nikt jeszcze nawet nie myślał. Niemniej jednak przemieszczenia na personalnej szachownicy wynosiły w górę ludzi, dla których sam fakt posiadania przez Światła bezpośredniego połączenia z Berią mógł być wystarczającym powodem do wysłania go (w najlepszym przypadku) „na białe niedźwiedzie”. Okolice, w których zamieszkują te misie, znał już Światło z autopsji i, co łatwo zrozumieć, nie pociągały go za bardzo. Czując pismo nosem, skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji. Wysłany do Berlina, gdzie miał zorganizować zlikwidowanie (uroczy eufemizm morderstwa) niejakiej Wandy Brońskiej, ekskomunistki współpracującej teraz z wywiadem i propagandą amerykańską, zmylił obstawę, przeszedł do Berlina Zachodniego i oddał się 5 grudnia 1953 roku w ręce Amerykanów. Przewieziony do Waszyngtonu został poddany intensywnym przesłuchaniom. Kiedy CIA uznała wreszcie, że uciekinier jest wiarygodny i że uzyskała od niego wszystkie interesujące ją informacje, 17 września 1954 roku przekazała go do użytku propagandowego sekcji polskiej radia „Wolna Europa”.

Światło miał rzeczywiście wiele do powiedzenia na antenie rozgłośni i jego rewelacje, demaskujące funkcjonowanie systemu komunistycznego w stalinowskiej Polsce, personaliów, stosowanych metod, bezpośrednich powiązań z Kremlem, były najwyższej wagi. Oczywiście powstaje od razu pytanie o wiarygodność zeznającego. W tym względzie poglądy recenzentów, pośród których znajdujemy najwybitniejszych politologów, są do dzisiaj wielce zróżnicowane. Historycy amerykańscy twierdzą, że w latach zimnej wojny wywiad Stanów Zjednoczonych był zdeorganizowany i niekompetentny, poręczał toteż często za relacje profesjonalnie niezweryfikowane, odpowiadające tylko aktualnym potrzebom propagandowym. Nie można winić Jana Nowaka-Jeziorańskiego, „Wolna Europa” podlegała władzom amerykańskim i musiała mieć do nich pełne zaufanie, że do narracji Światły ustosunkował się niemal bezkrytycznie. Późniejsi komentatorzy byli bardziej powściągliwi. Jacek Wegner, którego nie sposób posądzać o najmniejszą sympatię dla komunistycznych dygnitarzy, pisze: „Nie jesteśmy w stanie podważyć

Skandale polskie

wiarygodności wielu informacji Światły, a jednak nieuprzedzonemu czytelnikowi, gdy czyta, co Światło mówi o swym szefie (Bolesławie Bierucie - LS), wydać się może, że daje on wyraz jakiejś zapiekłej, zgoła obsesyjnej nienawiści”. Jeszcze radykalniejsza jest Barbara Fijałkowska: „W relacji Światły nawet laik odnajdzie wiele ewidentnych kłamstw, preparowanych według najprymitywniejszych wzorców stalinowskiej szkody «opluskwania». Światło skorzystał zapewne z okazji i zdradzając, co rzeczywiście dzieje się «za kulisami bezpieki i partii», dodał przy okazji od siebie sporo dezinformacji, po prostu «dołożył» po parę świństw ludziom, których nie lubił albo chciał szczególnie mocno skompromitować...”. Sam miałem też, w tej mierze, pewne kłopoty, gdyż trzymając się ściśle enuncjacji Światły, napisałem w „Polityce”, jak to Bolesław Piasecki, szef PAX-u chadzał na spotkania z prymasem Stefanem kardynałem Wyszyńskim z mikrofonem podsłuchowym podłączonym mu przez UB do rękawa. Dostałem wtedy wiele negujących fakt listów od osób z najbliższego otoczenia Piaseckiego. Listy wydają mi się przekonujące.

Skłania to do ostrożności w przyjmowaniu na wiarę detali i etykietek personalnych. Nie zmienia jednak w niczym zasadniczej wymowy najdrastyczniejszych nawet oświadczeń Światły. A była ona miazdząca: stosowane wobec więźniów politycznych (przestępstwa pospolite nie zaprzętały zbytnio sądów) egzekucje i tortury w więzieniach, całkowita uległość wobec wskazań Moskwy zagryzającego się wzajemnie stada partyjnych skorpionów, szaleńcze odrzucenie tradycyjnych wartości, mafijność i korupcja na szczytach... Pomimo że

było to, wobec podjęcia nadzwyczajnych środków dla zagłuszania radia „Wolna Europa”, słyszalne dla ograniczonej tylko części Polaków, wywołało istne trzęsienie ziemi. Wspomina Bieńkowski, że towarzysze umawiali się w parkach, tam podobno nie miało być podsłuchu, żeby dowiadywać się, co wczoraj powiedział zdrajca i czy nie padło przypadkiem ich nazwisko. Wieści o tym przerażeniu dotarły i do Monachium.

Jan Nowak-Jeziorański postanowił kuć żelazo, póki gorące. Ale jak? Od razu rodził się problem właśnie owej „ograniczonej części Polaków”. Z audycji skrzeczącego z powodu urządzeń zagłuszających, stłumionego, a w niektórych regionach zgoła niesłyszalnego radia «Wolna Europa», informować się mogli systematycznie albo dygnitarze partyjni, dysponujący spisanyimi nasłuchami, albo najwytrwalsi przeciwnicy ustroju (tych jednak akurat nie trzeba było przekonywać), dysponujący do tego dobrej jakości odbiornikami. Cóż więc zrobić, by zaznajomić z dokumentowanymi przez Światłe zbrodniami i mistyfikacjami reżimu naprawdę szeroką publiczność? Paszporty zagraniczne wydawano w owym czasie minimalnej grupie zaufanych osób. Jeśli nawet z konieczności byli w niej sportowcy czy wybrani przedstawiciele życia kulturalnego, to podlegali oni, wracając, niezwykle surowej kontroli celnej. Nawet gdyby zgodzili się narażać (a sankcje mogły być drakońskie), i tak szanse były minimalne, a skutek ich ewentualnego heroizmu znikomy. Zrzucenie wyboru zeznań Światły z samolotów, systemem ulotkowym, wymagałoby naruszenia przestrzeni powietrznej strefy podległej Kremlowi, stanowiłoby więc casus belli o nieprzewidywalnych konsekwencjach dyplomatycznych i politycznych... Tak źle, i tak nie dobrze. Wszelako zawsze musi być jakieś wyjście... Tak oto zaczęła kiełkować idea „wojny balonowej”.

Owszem, samolotom granic przekraczać nie wolno. Wwozić do Polski „dywersyjnych materiałów” - jak wyżej: nie wolno. Jeżeli jednak dziewczynce bawiącej się w lunaparku urwie się balonik, na którym niewinnie napisała „Kocham pana Mikołajczyka”, i pchany wiatrami zaleci do Warszawy, nie ma w tym niczego politycznie zdrożnego. A w każdym razie nie przewidują takiej ewentualności umowy międzynarodowe. Podobnie w przypadku największego nawet balonu, który zerwał się z uwięzi. Lukę tę warto byłoby wykorzystać. Pierwsi wpadli na ten trop emigranci czechosłowaccy. Balony przez nich wysłane, z których posypały się niedozwolone druki, zmusiły do zmobilizowania przez władze komunistyczne w Pradze całego lotnictwa wojskowego, usiłującego zestrzelić nieszczęsne powietrzne gondole, zanim napłyną do wewnątrz terytorium. „Widok myśliwców strzelających do balonów z ulotkami stanowi nie byle jaką uciechę, podobnie jak

Skandale  
polskie

lawina ataków i inwektyw w prasie i Radiu Czechosłowackim” - napisał Nowak-Jeziorański. Jednocześnie jednak zdawał sobie sprawę z tego, że obiektywna skuteczność akcji, jak i jej powtórzenie w wersji węgierskiej, dały rezultat zupełnie nieproporcjonalny do kosztów przedsięwzięcia. Wielkie czasy dostojnie płynące po niebie stanowiły zbyt łatwy cel dla najpowolniejszego nawet samolotu. Trzeba było wymyślić coś innego. Wrócono więc do idei dziewczynki z lunaparku. U dołu kilkudziesięciu tysięcy niewinnych małych baloników „zawieszona została skrzynka, która oprócz broszur zawierała za przegrodą starannie wyważoną ilość lodu. Gdy lód stopniał, skrzynka przewracała się do góry dnem, wysypując swą zawartość”. Od 12 lutego 1955 roku zaczęto przecinać sznurki. Ogromne chmury baloników szybowały przez kolejne dni nad Wisłę i Odrę.

Jana Nowaka-Jeziorańskiego - perfekcjonistę, trudno było zadowolić. Pisał:

„niepomyślnie warunki atmosferyczne i odległość sprawiły, że w ciągu pierwszych dwóch miesięcy tylko 232 tysiące broszur dotarło do kraju (...) broszury spadały w dużej ilości w rejonie Gdańska i Wybrzeża, w okolicy Gliwic na Górnym Śląsku i wzdłuż granicy czechosłowackiej oraz pod Rzeszowem”.

Niech się nie martwi Nowak-Jeziorański. Jeżeli nawet jedna trzecia przesyłek z nieba (tak oceniały władze PRL) została „zdeponowana” w archiwach UB, to pozostałe sto sześćdziesiąt tysięcy krążyło z rąk do rąk, przepisywane było na maszynach i szło w polski świat na zasadzie podaj dalej. Zazdrość, która jest immanentną cechą Polaków, a Polonusów przede wszystkim, spowodowała, że rola „skandalu balonowego”, w późniejszych postawach i reakcjach społeczeństwa polskiego jest dzisiaj praktycznie zapomniana. Ja jednak, podczas badań terenowych spotkałem gospodarza, który przechowywał broszurę jak relikwię: „Ja im, Panie, długo wierzyłem, ale to słowo... spadło przecież z nieba”. Było to w 1955 roku.

7bev\*v\Ł dla. dero

Poemat dla dorosłych (fragment)

(. . .)Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą zbudować hutę, wyczarować miasto, wykopać z ziemi nowe Eldorado, armią pionierską, zbieraną hałastrą tłoczą się w szopach, barakach, hotelach, człapią i gwizdzą w błotnistych ulicach: wielka migracja, skudlona ambicja/ na szyi sznurek - krzyżyk z Częstochowy, trzy piętra wyzwick, jasieczek puchowy, maciora wódki i ambit na dziewczki, dusza nieufna, spod miedzy wyrwana, wpół rozbudzona i wpół obłąkana, milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki' wypchnięta nagle z mroków średniowiecza masa wędrowna, Polska nieczłowiecza wyjąca z nudy w grudniowe wieczory--• W koszach od śmieci na zwieszonym- sznurze chłopcy latają kotami po murze, żeńskie hotele, te świeckie klasztory, trzeszczą od tarła, a potem grafinie miotu pozbędą się - Wisła tu płynie- Wielka migracja przemysł budująca/ nie znana Polsce, ale znana dziejom, karmiona pustka wielkich słów, ż/jąca dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom w węglowym czadzie, w powolnej męczarni, z niej się wytapia robotnicza klapsa. Dużo odpadków. A na razie kasza. C---)

IIIek.

Ac3ar Ważyk

Skandale polskie

iałem wtedy sześć lat, umiałem czytać i znałem na pamięć, w kolejności, listę królów Polski. Tata był pod tym względem nieubłagany. Szliśmy spokojnie na spacer do Parku Krakowskiego, gdzie pod wierzbą płaczącą pływały najprawdziwsze łabędzi, i kiedy właśnie dochodziliśmy do stawu, pytał z marsową miną: - Kto bym następcą Władysława Warneńczyka? Pytanie było podstępne, gdyż Warneńczyk nie miał syna, ale byłem wystarczająco obkuty. - Po Władysławie Warneńczyku tron objął jego młodszy brat Kazimierz Jagiellończyk. - A w którym roku został koronowany? - W tysiąc czterysta czterdziestym siódmym. Ta prawidłowa odpowiedź miała dwa skutki. Z jednej, pozytywnej strony, mogłem spokojnie, z ojcowskim przyzwoleniem, pooglądać niebywałe łabędzie, z drugiej, bardzo niebezpiecznej strony, wydawać mi się zaczynało, że wiele rozumów pozjadałem i mało co może mnie w życiu, spowitym w obłoki siwych królów, zaskoczyć. Mieszkaliśmy przy Czarnowiejskiej w oficynie numer 30. Na rogu Czarnowiejskiej i alei Trzech Wieszców był kiosk, do którego, przemądrzały, biegałem po gazety dla taty. Kiosk był wysunięty poza ostatnie zabudowania i gdy stało się przed nim, widzieć było można schody wiodące do Akademii Górniczo-Hutniczej. I oto pewnego dnia zobaczyłem na tych schodach kilkudziesięciu robotników trzymających wielki transparent: „Nie jesteśmy kaszą!”

Oślupiałem. Przed chwilą

Skandale polskie

czułem się już prawie dorosłym intelektualistą, aż nagle nie rozumiałem nic. Transparent wydawał mi się zupełnie absurdalny. Przecież ci panowie, którzy go trzymają, na pewno, to jest oczywistość, nie są kaszą, ani manną, ani perłową, ani gryczaną... O co więc chodzi? Tata też nie wiedział. Wyjaśniło się dopiero po paru dniach (nie dla mnie, ale od tej chwili nie jest to już ważne), kiedy do domu dotarła zmiętoszona kartka z wierszem:

„Ze wsi, z miasteczek wagonami jadą zbudować hutę, wyczarować miasto, wykopać z ziemi nowe Eldorado, armią pionierską, zbieraną hałastrą tłoczą się w szopach, barakach, hotelach, człapią i gwizdzą w błotnistych ulicach: wielka migracja, skundlona ambicja, na szyi sznurek - krzyżyk z Częstochowy, trzy piętra wyzwick, jasiczek puchowy, maciora wódki i ambit na dziewczki, dusza nieufna, spod miedzy wyrwana, wpół rozbudzona i wpół obłąkana, milcząca w słowach, śpiewająca śpiewki, wypchnięta nagle z mroków średniowiecza masa wędrowna, Polska nieczłowiecza wyjąca z nudy w grudniowe wieczory... W koszach od śmieci na zwieszonym sznurze chłopcy latają kotami po murze, żeńskie hotele, te świeckie klasztory, trzeszczą od tarła, a potem grafinie miotu pozbędą się - Wisła tu płynie.

Wielka migracja przemysł budująca, Nie znana Polsce, ale znana dziejom, karmiona pustką wielkich słów, żyjąca

dziko, z dnia na dzień i wbrew kaznodziejom w węglowym czadzie, w powolnej męczarni, z niej się wyrabia robotnicza klasa. Dużo odpadków, a na razie kasza".

I tak oto doszliśmy do „kaszy” - „Dużo odpadków, a na razie kasza”. „Kasza” oznaczała w ówczesnym, awangardowym slangu socjologicznym społeczeństwo skawałkowane, jeszcze niezintegrowane, nieposiadające wspólnego etosu i w konsekwencji tego zdziczałe. Któż to mógł jednak wiedzieć w Krakowie, w tym cudownym mieście, gdzie wszystko jest spóźnione o jedno pokolenie i wszelkie „nowinki” przyjmują się wtedy, kiedy od dawna nie są już kontrowersyjne, więc mogą być przybierane w rzewne, fascynujące epigonów pastele i opiewane w aulach Uniwersytetu Jagiellońskiego. Klasa robotnicza Nowej Huty definiowana jako „kasza”? Tego na razie w Krakowie nikt nie rozumiał. A najmniej już owi robotnicy, którym kazano przyjść pod Akademię Górniczo-Hutniczą z nieszczęsnym transparentem. Czy jednak rozumiał gdziekolwiek ktokolwiek?

Wiersz Adama Ważyka Poemat dla dorosłych wydrukowany został w „Nowej Kulturze” w sierpniu 1955 roku. Budziło to od początku dwie fundamentalne wątpliwości. Po pierwsze, Adam Ważyk znany był jako stalinista i bezlitosny politruk środowiska literackiego. Po drugie, „Nowa Kultura”, jak wszystkie periodyki w PRL, podlegała cenzurze, która przeoczyć Poematu dla dorosłych nie mogła. Wachlarz tysięcy interpretacji, które się zaraz pojawiły i mają twarde życie do dzisiaj, zaczynał się więc od supozycji, że Ważyk napisał wiersz na zamówienie spiskowej grupy w SB, kończył na tezie, o nagłym, cudownym, demokratycznym nawróceniu Adama Ważyka i Pawła Hoffmana, redaktora naczelnego „Nowej Kultury”. Ale skoro się oni nawrócili, to - mówił sobie statystyczny obywatel - musieli poczuć, że konfitury przemieszczają się na półkach. A to już może być bardzo ważne.

Z punktu widzenia surowych kanonów artystycznych jest Poemat dla dorosłych dziełem poślednim. Ważyk miota się i płacze

Skandale polskie

w eklektycznych stylistykach. Raz odwołuje się do skamandrytów, bo porównajmy przecież: Tuwim (w tomiku Sokrates tańczący, z roku 1920):

„Ach, wzdycha Jadzia do grajka, A grajek zwodnie jej kadzi, I wzdycha jeszcze Piotr Płaksin Do Jadzi ślicznej, do Jadzi... (...)

Śnieg pada gęsty i gruby, Wiatr w szpary okien zawiewa, Panna Jadwiga, jak co dzień, Podróżnym wódkę nalewa".

U Ważyka:

„Na stacji kolejowej  
panna Jadzia w bufecie  
taka ładna, kiedy poziewa,  
taka ładna, kiedy nalewa...

**UWAGA! WRÓG PODSUWA CI WÓDKĘ!"**.

Ale już za chwilę sięga Ważyk po agitacyjny krzyk Majakowskiego:

„Są ludzie spracowani,

są ludzie z Nowej Huty,  
którzy nigdy nie byli w teatrze,  
są polskie jabłka niedostępne dla dzieci,  
są dzieci wzgardzone przez występnych lekarzy,  
są chłopcy zmuszani do kłamstwa,  
są dziewczyny zmuszane do kłamstwa...".

Jest w tym dużo poetyckiej kakofonii, drażniącego pośpiechu i natrętnego przegadania. Tyle... że nie miało to najmniejszego znaczenia. Inkwizytorzy, którzy dzisiaj zastanawiają się nad inspiracją Ważyka, krytycy, którzy, słusznie skądinąd, wytykają mu kompozycyjne błędy, snują zupełnie inną i nieważną opowieść. Co było skandalem, co wstrząsnęło świadomością społeczną jak żaden wiersz przedtem i potem, to nazwanie paru przynajmniej rzeczy po imieniu:

„Marzyciel Fourier uroczy zapowiadał że w morzach będzie płynąć lemoniada. A czyż nie płynie?

Piją wodę morską,  
wołają -  
lemoniada!

Wracają do domu cichaczem  
rzygać,  
rzygać".

Wyjaśnić trzeba od razu, iż Charles Fournier był filozofem francuskim (1772-1837), który stworzył wizję idealnego państwa o komunistycznych strukturach. To była ta lemoniada, którą nagle proponował Ważyk społeczeństwu rzygać. Ale nie zadowolili się skomplikowanymi odwołaniami (któż w Polsce wiedział, kim był Fournier). Za chwilę mamy już wersy prosto z mostu:

„Przybiegli, wołali:

komunista nie umiera.

Nie zdarzyło się jeszcze, aby człowiek nie umarł.

Tylko pamięć zostaje.

Im więcej wart człowiek, Tym większy po nim ból.

Skandale                      polskie

Przybiegli, wołali:

W socjalizmie

Skaleczony palec nie boli.

Skaleczyli sobie palec,

Poczułi,

Zwątpili".

Oczywiście, wielu było takich, którzy zawsze mieli jedną i nieprzejednaną wizję komunistycznej Polski. Ci nie potrzebowali Ważyko-wej poezji, była im reakcyjna i wstrętna. Byli też tacy, którzy mieli złudzenia - dla nich wiersz Ważyka, a może wydedukowane z niego przemieszczanie się konfitur było (nie przesadzając o motywacjach) głębokim szokiem i powodowało zasadnicze, głębokie przewartościowanie postaw. Tacy wreszcie, naiwni być może, którzy z wersami Poematu wychodzili na ulice.

Jak z powodu żadnego wiersza przedtem.

Jak z powodu żadnego wiersza potem.

Nie chcąc być „kaszą", ale pojmując nagle, że „kaszę" z nich zrobiono. To oni, ci naiwni, stworzyli „polski październik". Lata minęły i Sławomir Mrozek narysował swoją syntezę

„polskiego października": „stoją drzewa a liście leniwie spadają na brudne trotuary, ot tyle".

Jeszcze okrutniej szyby! Antoni Słonimski: „Idzie odwilż? - No cóż, gówno się rozmroziło i zaczyna śmierdzieć".

Ani Mrozek, ani Słonimski nie mieli racji. „Październik” był być może kłamstwem i zawiedzioną nadzieją. Zmienił jednak oblicze Rzeczypospolitej. Dla jakobińskich maksymalistów za mało. A przecież...

„Wyłowiono z Wisły topielca. Znalaziono kartkę w kieszeni. «Mój rękaw jest niesłuszny, mój guzik niesłuszny, mój kołnierz niesłuszny, ale patka słuszna.» Pochowano go pod wierzwą”. I oto nagle ludzie zaczęli mieć przekonanie, że nie tylko słuszna jest patka, ale kołnierz też i warto o niego walczyć. Tak, tak rekonstruowała się obywatelska Polska. Może bez niej (tej patki) nie byłoby „Solidarności”? Nie znamy i nie poznamy nigdy odpowiedzi na to pytanie. Jedno jest pewne. Był to najważniejszy wiersz polski w naszych współczesnych dziejach.

\* \*

IIIIIIIIIIIIIIII

i

i

cy

l'S» ■^■■■■■■■■■:-;"^;:'-:--/'-i:'--.^;- .-■...'/■.■y.-:--;^:..■.-.-■■■■.

Bolesław Piasecki, polityk, poseł, twórca Stowarzyszenia PAX. Zdjęcie posła w ławie sejmowej w 1971 r.

Skandale polskie

■ - a'ДЛЛГ. л. t+v

Utó/Pi

iuJl t ;;;;i

Bolesław Piasecki nie jest na pewno bohaterem mojej bajki. Wszystko właściwie w jego politycznej biografii budzi dzisiaj odruch sprzeciwu i obrzydzenia. Szowinista i pałkarski antysemita przed wojną; po wojnie, w tajemniczych, jak się niektórym wydaje, okolicznościach uwolniony z więzienia i kreowany przez przedstawiciela NKWD nad Wisłą, generała Iwana Sierowa, na przewodniczącego, mającego podmi-nowywać Kościół polski, stowarzyszenia PAX, odegrał w dziejach Polski rolę złowrogą. Nic jednak nie jest w naszej Rzeczypospolitej takie proste. Akces Piaseckiego do ideologii stalinowskiej był właściwie logiczny. Nienawiść do demokracji, wiara w bat i przemoc (które można ubrać w katolickie szatki) były tym, co go od początku pociągało w dyktacie Kremla. Jednocześnie starał się pomagać ludziom nieraz ideowo od siebie najodleglejszym. Jest rzeczą niezaprzeczalną, że zawdzięcza mu życie Paweł Jasienica. Pisał wtedy do Piaseckiego Jerzy Turowicz: „Drogi Bolesławie, piszę, by Panu serdecznie podziękować za wszystko, co Pan zrobił w celu wyciągnięcia Jasienicy z niedawnej opresji. Zdajemy sobie sprawę, że gdyby nie Pańska akcja, rzecz mogłaby wziąć obrót niepomysłny. ...”. Rozszyfrujmy ten eufemizm: „niepomysłny obrót”, była to po prostu kara śmierci. Jasienica drukował potem przez pewien czas w paxowskich pismach i wydawnictwach. Kiedy zdecydował się zerwać tę uciążliwą współpracę, nie usłyszał od Bolesława Piaseckiego złego słowa.

Skandale polskie

Nie można też zaprzeczyć, że wydawnictwo PAX było swoistym ewenementem na stalinowskiej planecie. Ukazywały się w nim książki (Chesterton, Marshall, klasyka chrześcijańska), których próżno by szukać w tej epoce na czeskich, węgierskich czy rumuńskich półkach księgarskich. Niczego to nie rozgrzesza, ukazuje jednak złożoność zjawisk.

Październikową odwilż roku 1956 musiał Piasecki postrzegać jako swoją klęskę. Wydawało się, że traci całe polityczne oparcie. Jednocześnie reformatorska grupa w partii, tak zwani „Puławianie” „pragnęli likwidacji PAX-u - piszą Antoni Dudek i Grzegorz Pytel - nie tylko ze względu na jego konserwatywną postawę i fakt, że był on pamiątką z okresu, w którym

współtworzyli politykę stalinizacji Polski. W grę wchodziły również nie do końca znane dzisiaj wydarzenia z lat przedwojennych i późniejszych, kiedy to, jak pamiętamy, agresywny antysemityzm był jednym z głównych środków działania ludzi Piaseckiego". W tej sytuacji zdecydował się szef PAX-u, nie wierząc nadal w zwycięstwo odwilży, postawić wszystko na jedną kartę. W zamieszczonym w „Słowie Powszechnym” z 16 października 1956 roku artykule Instynkt państwowy wezwał władzę, tak to przynajmniej powszechnie odczytano, do wyprowadzenia czołgów na ulice. W tym momencie (Gomułka wygrał, więc i ostatni staliniści przefarbowy-wali się w błyskawicznym tempie) miał już przeciw sobie wszystkich: i przefarbowanych, i reformatorów, i Kościół, któremu nie mało zaszkodził, i marzącą o zmianach opinię publiczną, i środowiska liberalne, i post-AK-owskie... Wyliczenie to jest ważne, gdyż pozwala nam zrozumieć tragiczną niepewność, jaka otoczyła nadchodzące wydarzenia.

22 stycznia 1957 roku, o godzinie 13.50 syn Bolesława Piaseckiego - Bohdan, uczeń dziesiątej klasy, wyszedł ze szkoły z kolegami Wojtkiem Szczęsnym, Januszem Świątkowskim i Ryśkiem Karwańskim. Na ulicy Naruszewicza podszedł do nich nieznany, ale budzący zaufanie mężczyzna i powiedział Bohdanowi (pokazując mu jakieś dokumenty), że ojciec musi go natychmiast widzieć. Chłopiec wsiadł do taksówki i od tej chwili zniknął z powierzchni ziemi. Zmumifikowane zwłoki Bohdana Piaseckiego odnaleziono dopiero rok później, zupełnie

przypadkowo, w nieużywanej, zabitej gwoździami, piwnicy przy ulicy Świerczewskiego 82. Sekcja zwłok wykazała, co uznano za przyczynę zgonu, pęknięcie czaszki spowodowane przez cios „zadany tępym narzędziem”, dodatkowo (co według lekarzy nie miało już wpływu na zejście) w serce ofiary wbity został nóż przypominający harcerską finkę. Możemy sobie tylko wyobrazić ból, strach i rozpacz zawleczonej w ciemności ofiary. Jakkolwiek by bowiem rozliczać historię, ten chłopak nie odpowiadał za swojego ojca.

Tymczasem - i tu rozpoczyna się skandaliczna część zdarzenia koledzy zanotowali numer taksówki, do której wsiadł Bohdan. Milicja taksówki nie zdołała zlokalizować. Odnalazł ją dopiero pracownik PAX-u Gustaw Kitzman. W gruncie rzeczy nadaremno, gdyż kierowca taksówki miał podnajemcę, który z kolei wymienił się kierownicą z... Tego „z” dokładnie nie ustalono, a nawet gdyby ustalono... Przede wszystkim nie chciano nic ustalić. „Słowo Powszechne” drukowało dramatyczne listy ojca oferującego wielkie wynagrodzenie za ujęcie mordercy. Tyle tylko, że ojca nikt nie lubił. Nikt więc nie podniósł się z siedzenia i nie powiedział: Coś jestnietakwnaszej Rzeczypospolitej! Sprawcy rozwiali się w brudnej mgle.

DrocłS ktavJbou>AC2A-

Melchior Wańkowicz, pisarz, dziennikarz, reportażysta i publicysta z XX w. Zdjęcie w gabinecie pisarza ok. 1963 r.

Skandale kjł polskie

tefan Kisielewski napisał o nim w swoim Abecadle: „Żubr wileński. Wielki dziennikarz, ale straszny spryciarz, który lubił pieniądze i taki krętacz trochę, ale z wielkim talentem”. Melchior Wańkowicz urodził się 10 stycznia 1892 roku w Kału-życach na Białorusi (wbrew Kisielewskiemu z Wilnem nie miał wiele wspólnego). W szkole średniej był członkiem władz półkondspiracyjnej organizacji „Pet”, którą uważano powszechnie za swoistą młodzie-żówkę masonerii. Rozpocząwszy w 1912 roku studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, wstąpił z kolei do tajnego, niepodległościowego Związku Młodzieży Polskiej „Zet”. Szybko jednak, co antycypuje niejako jego dalsze losy, uznał, że jest w nim niedoceniany i podał się do dymisji. Jak sam stwierdził: „Nigdy już odtąd nie należałem do żadnej organizacji politycznej ani w kraju, ani na emigracji. Nigdy odtąd nie potrzebowałem uzgadniać swoich wystąpień z żadnym środowiskiem”. Wolny strzelec? Jak się wkrótce okaże, nie takie to wcale proste. Podczas pierwszej wojny światowej znalazł się w I Korpusie Polskim Józefa



Dowbora-Muśnickiego (tak zwani dowborczycy). Wkrótce jednak wziął udział w buncie przeciwko swojemu dowódcy, za co został nawet przejściowo aresztowany. Po 1918 roku powrócił do przerwanych studiów, publikując jednocześnie pierwsze artykuły, reportaże przede wszystkim, bez różnicy, w prawicowej i lewicowej prasie, w myśl zasady, kto lepiej zapłaci. Chwilowo lewica oferowała wyższe honoraria, związał się więc z socjalistycznym „Kurierem Porannym”. Nie na długo.

Skandale κж. polskie

Skłóciwszy się z redakcją, opuścił ją, trzaskając drzwiami i załatwił sobie posadę państwową w Wydziale Prasowo-Wydawniczym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Była to synekura bardzo dobrze płatna, ale obciążona nieuchronnie wszystkimi uzależnieniami hierarchicznymi, których znosić nie umiał. Po zamachu stanu Piłsudskiego w 1926 roku zrezygnował więc ze stanowiska. Zaoszczędzone pieniądze wystarczyły mu na podróż do Meksyku, a po powrocie, po dodatkowym wsparciu kapitałowym przez paru współników, na założenie Towarzystwa Wydawniczego „Rój”. Pod jego energiczną prezesurą zaczęło ono wkrótce przynosić niemałe zyski. Jednocześnie zajmował się reklamą (słynne „Cukier krzepi”), doradztwem biznesowym i... coraz bliżej współpracował z sanacyjnym rządem. Na tyle blisko, że powierzane mu były prace propagandowe, a także... cenzorskie. Pomimo wielu wybitnych publikacji (między innymi Na tropach Smętka, C.O.P. -ognisko siły, Szczenięce lata) i zbitej fortuny nie był to zapewne najchwa-lebniejszy okres w jego życiu. We flircie z władzą posunął się jednak o krok za daleko. Nie chodzi tu nawet o cenzurę, ale przypuszczalne (używam tego słowa wbrew opinii Wańkowiczowi współczesnych, którzy przyjmowali to za pewnik) złożenie prasowego donosu na profesora Stanisława Cywińskiego (zobacz rozdział Sprawa Cywińskiego).

We wrześniu 1939 roku udało się Wańkowiczowi przedostać do Rumunii. Znalazł się tam jednak w bardzo trudnej sytuacji. Był to okres najostrzejszych rozliczeń z sanacją, wypłynęły więc nieuchronnie i sprawa Cywińskiego, i kwestia licznych publikacji nie tylko, panegirycznych wobec upadłego rządu, ale także brutalnie atakujących antypiłsud-czykowską opozycję. Ludzie z otoczenia Władysława Sikorskiego dali mu jednoznacznie do zrozumienia, że jest przy tworzącym się we Francji wojsku polskim persona non grata. Ostatecznie skierowany został na Cypr, skąd przedostał się do Palestyny. Twierdził potem, że przeżył tam trzy lata w wielkiej nędzy. Nie znajduje, jednak odzwierciedlenia w faktach, miał bowiem posadę w bibliotece uniwersyteckiej, redagował opracowania naukowe i wygłaszał odczyty, co było dosyć lukratywne. Nędza to jednak rzecz względna. W sierpniu 1943 roku dotarły do Palestyny wojska generała Władysława Andersa. I czasy się zmieniły, i rodowód ideowy żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie był znacząco inny niż rządu londyńskiego.

Wańkowicz bez trudu znalazł więc zatrudnienie jako korespondent wojenny i mógł nareszcie przywdziać mundur. Przejdzie w nim cały szlak bojowy z Palestyny, poprzez Monte Cassino, aż do środkowych Włoch. Reportaż epopeja Monte Cassino zapewni mu wśród Polaków na obczyźnie ogromną popularność. Nie byłby jednak sobą, gdyby zaraz nie poszedł pod prąd i nie pokłócił się ze środowiskami emigracyjnymi. Wkrótce atmosfera w Londynie staje się dlań nie do wytrzymania. Wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie osiada na farmie w Connecticut. Literacko jest to jego najlepszy okres. Powstają tu między innymi Ziele na kraterze, Tworzywo, Droga do Urzędowa. Psychicznie sytuacja jest dlań jednak nie do zniesienia. Nie ma wielbicieli, nie ma z kim kłócić się i procesować, nie słyszy echa swoich wypowiedzi i... nawet pieniędzy, tyle tylko, co na średnio dostatnie życie. Ostatecznie decyduje się, co dla emigracji jest zdradą czarną i ostateczną, wystąpić o paszport PRL i już na początku odwilży w kraju, w 1956 roku, jeszcze przed Październikiem, wracać nad Wisłę. Przyjęty zostaje oczywiście, cóż za propagandowa manna dla władz warszawskich, z otwartymi rękami.

Następują znowu tłuste lata. Książki wydawane mu są w ogromnych nakładach i za proporcjonalne honoraria, organizowane spotkania z czytelnikami, wykłady... W lipcu 1959 roku w plebiscycie „Życia Warszawy” Ziele na kraterze proklamowane zostaje jedną z trzech najlepszych polskich książek powojennego piętnastolecia (obok Popiołu i diamentu Jerzego Andrzejewskiego {Bolesława Chrobrego Antoniego Gołubiewa). Kolejne nagrody i honory. Ale już w 1963 roku coś zaczyna się zmieniać. Wańkowicz nie cierpi bezruchu. Co więcej, czuje się urażony. Jak sam powie:

„Kiedy mi ukrócono otrzymywanie paryskiej «Kultury» i skończyła się prenumerata londyńskich «Wiadomości», zwróciłem się do obywatela Starewicza, który przejął po obywatelu Ochabie pion kulturowy

Skandale

polskie

w partii, prosząc go o najbardziej niekłopotliwą rzecz: polecenie sekretarce, aby zatelefonowała do mnie informując, czy mogę odświeżyć prenumeratę. Nie otrzymałem odpowiedzi. Kiedy napotkałem trudności z wydaniem książek, prosiłem sekretarkę o widzenie z obywatelem Krasko, kierującym w partii polityką wydawniczą. Rozmowy nie uzyskałem. Nie mogę przyzwyczaić się do tego lekceważenia, którym otacza się zawód pisarza”.

Oczywiście nie chodzi naprawdę o „zawód pisarza”, ale o osobę i przywileje Melchiora Wańkowicza. Przy czym chamstwo władzy jest oczywiście realne. „Przed ponowieniem swoich dwóch książek, pragnąc uzupełnić pewne szczegóły - posłałem z dedykacją książki dwóm dygnitarzom z prośbą o możliwość rozmowy na temat dwóch wytypowanych ustępów. Nie tylko rozmowy nie otrzymałem, ale szablonowego podziękowania za książkę, które nic nie kosztuje wysłać przez sekretarkę...”. Wańkowicz zły to Wańkowicz ofensywny.

Kiedy więc grono literatów polskich wysłała 14marca 1964 roku list do Komitetu Centralnego PZPR protestujący przeciw zaostżaniu cenzury i ograniczaniu przydziału papieru na druk książek, znajduje się pod nim sygnatura Wańkowicza. Protest ten, który od liczby podpisanych, przeszedł do historii jako List trzydziestu czterech, wywołuje historyczną reakcję władz. Prasa rozpoczyna nagonkę, sypią się sankcje. Między innymi wstrzymany zostaje druk książek Wańkowicza.

Dotknięty do żywego wysłał on na Zachód coś na kształt raportu o sytuacji, ubrany w formę konspektu dla mówcy, który wystąpiłby w tej sprawie. Dla władz, które przechwytyują jedną z pięciu kopii dokumentu, nie ma oczywiście wątpliwości, iż rzeczywistym adresatem jest radio „Wolna Europa”, któż bowiem inny interesuje się tak szczegółowymi polskimi sprawami.

Tymczasem rozgłośnia z Monachium to wróg numer jeden reżymu, diabeł wcielony.

Gomułka postanawia więc urządzić pokazówkę. 5 października zostaje Wańkowicz aresztowany pod zarzutem szkalowania Polski Ludowej - sporządzenia tekstu „zawierającego fałszywe i oczerniające

wiadomości o sytuacji na odcinku kultury w Polsce i przekazania go do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w celu opublikowania go przez ośrodek wrogiej propagandy Radio Wolna Europa, czym wyrządził istotną szkodę interesom Państwa Polskiego, tj. o czyn przewidziany w art. 23 par. 1 dekretu z dnia 13 czerwca 1946 roku”. Skandal jest wielki, ale jednocześnie głupota władz tak oczywista, że w pierwszej chwili Jerzy Zawieyski nie chce weń uwierzyć i tłumaczy żonie pisarza, iż „To jakieś nieporozumienie, które jutro się wyjaśni. Jakiś nadgorliwiec musiał coś poplątać”.

Prokurator Edward Sanecki w rozmowie z Aleksandrą Ziółkowską wspomina, że kiedy powierzono mu oskarżenie pisarza, jego pierwszą reakcją było pytanie: „Po co komu ten proces, po co to wszystko?”.

Stefan Kisielewski opowiada z kolei w Abecadle:

„Późnym wieczorem przysłała pani Wańkowiczowa, żona Melchiora Wańkowicza, z wiadomością, że była u nich rewizja, że męża zabrano i żebym ja zawiadomił ZLP. Mówi: «Może Iwaszkiewicza». Ja mówię: «Nie, nie będę» (Kisiel nie znosił Iwaszkiewicza - LS). «No to może Putramenta?». Mówię: «Dobrze». Szukam jego telefonu, dzwonię: «Chciałem panu powiedzieć, że Wańkowicza zamknęli». Jest taka długa cisza w słuchawce i on mówi: «Słuchajcie, miałem taki dobry dzień, słońce, łowiłem ryby, byłem zadowolony, a wy mi wszystko psujecie taką wiadomością. Co będzie, jeżeli już za takie żubry się biorą...»". Tymczasem, przy narastającym skandalu - teraz już rzecz stała się na Zachodzie sensacją, przygotowania do procesu szły w niebywałym, jak na polskie warunki iście ekspresowym, tempie. Rozprawa rozpoczęła się 26 października 1964 roku. Pięć miesięcy po popełnieniu „przestępstwa”, trzy tygodnie (!) po aresztowaniu obwinionego. Przebieg jej był tylko o tyle niespodziewany, że trzech, z czterech powołanych na świadków partyjnych pisarzy zachowało się z godnością i de facto broniło oskarżonego.

Skandale

polskie

Zeznawał Bogdan Czeszko:

„Sądząc z wypowiedzi słyszanych od pana Melchiora i biorąc je w dobrej wierze, sędzę że negacji Polski Ludowej, negacji całokształtu zjawisk z tym pojęciem związanych nie można się dopatrywać ani w jego działalności, ani też w jego wypowiedziach. (...) Pan Melchior jest wybitnym pisarzem i operuje językiem polskim nieprzeciętnie, władanie tym językiem, świadomość słowa, świadomość wagi słowa, którym się posługuje, jest wielka. Dosadność jest wielka i temperament pisarski pana Melchiora jest wielki, co oczywiście jest jego walorem pisarskim”.

Między sędzią a świadkiem Stefanem Kozickim wywiązał się taki dialog:

„ - Czy pan rozmawiał z Wańkowiczem na tematy kontrowersyjne co do oceny sytuacji kulturalnej w Polsce? Tak, rozmawiałem.

- Czy wypowiedzi Wańkowicza były nacechowane wrogością, czy jakąś troską?
- Oczywiście, że troską.
- Czy mógłby pan scharakteryzować styl Wańkowicza?
- To jest styl niesłychanie żywy, to jest styl niepowtarzalny, styl pełen jakiegoś takiego szlachetnego wigoru...”.

Nie trzeba chyba zaznaczać, że sąd oczekiwał od tych świadków zupełnie innych deklaracji. Poza tym nie było jednak niespodzianek. 9 listopada zapadł wyrok. Wańkowicz skazany został na trzy lata więzienia, złagodzone o połowę na podstawie Dekretu o amnestii z 20 lipca 1964 roku i pokrycie kosztów postępowania.

Nastąpiła teraz gorąca dyskusja, czy powinien się pisarz od wyroku odwoływać. Byłem mimowolnym świadkiem jej epizodu. Wańkowicz przyszedł oto do mojego ojca po radę.

Obecny był też Tadeusz

Mazowiecki. Ja podawałem herbatę. Zarówno ojciec, jak i Mazowiecki zalecali odwołanie już z tego choćby powodu, iż nie wiadomo było, czy władzom nie przyjdzie do głowy wykazać się stanowczością i Wańkowicza rzeczywiście wsadzić do więzienia, co odwołanie mogłoby odwlekać. Wańkowicz słuchał uważnie, po czym wstał, uściśnął obu rozmówców i powiedział:

„- Serdecznie dziękuję za mądrą radę. Macie panowie rację. Nie będę się odwoływał...”.

Nie odwołał się, a władze PRL miały jednak na tyle oleju w głowie, że nie rzuciły pisarza w kazamaty. I tak wyszły jak Zabłocki na mydle. Wańkowicz chodził po Warszawie w aureoli chwały i męczeństwa, że zaś miał, co j est u literata oczywistą zaletą, wybitne skłonności do konfabulacji, jego pojedynek z reżymem stawał się z upływem dni coraz bardziej bohaterski i zażarty.

Pisał potem Jan Nowak-Jeziorański: „Niesłuchanie butne zachowanie się w sądzie Wańkowicza wywołało sensację w Warszawie”. Czy rzeczywiście było takie butne? W swojej mowie obrończej przedstawił Wańkowicz sądowi na przykład swoje credo polityczne w sześciu punktach: Należy skończyć z tezą, że 1. Polska jest przedmurzem świata zachodniego. 2. Sojusz z Rosją jest konieczny. 3. Znacjonalizowanie ziemi jest konieczne. 4. Walka z Kościołem jest walką o postęp. 5. Kresy nam się nie należą. 6. Rozwój gospodarczy Polski jest prawidłowy. Doprawdy, trudno to uznać za manifest antykomunistycznego opozycjonisty.

Mówił także:

„Zludźmi partii miałem łatwy wspólny język”; „W 1960 zwróciłem się do towarzysza Ochaba, któremu wówczas podlegał pion kulturalny. «Hubalczyków» i «Tworzywo» puszczono, usunięto zakazy drukowania kilku moich artykułów w prasie, utrudnienia w Agencji Robotniczej, upewniono, że mam całe poparcie partii. Poczułem się lekko, swobodnie, ucziwie. Mając szansę pisania względnie wolnego, mogłem nareszcie pisać pozytywnie o PRL bez liczenia się z zarzutem

Skandale polskie

koniunkturalizmu. Proszę Wysoki Sąd o wzięcie pod uwagę, że te wszystkie cytaty, które przytaczałem, w których jest tyle pełną ręką na korzyść PRL, były publikowane przeze mnie w prasie emigracyjnej...”.

Można sądzić, że wypowiada te słowa szczerze, acz mówiąc o „wspólnym języku” z ludźmi partii, posuwa się rzeczywiście dosyć daleko. Tym dalej jest od przypisywanego mu potem heroicznego antykomunizmu. I w niczym go to nie umniejsza. Powinno by natomiast stać się nauką dla władz, nie tylko zresztą komunistycznych, że chcąc wywołać skandal, trzeba umieć panować nad jego skutkami i mitami, w które obrośnie. Niestety, a może na szczęście, nie jest to silna strona rządzących, bez względu na kolor ich ideologii.

Melchior Wańkowicz żył jeszcze dziesięć lat i działało mu się nieźle. Wydał potem jeszcze, między innymi: Zupę na gwoździu, W ślady Kolumba, Królika i oceany, Karafkę La Fontainea. Władze, jakby chcąc naprawić swoją błazeńską gafę, obchodziły się z nim jak z jajkiem, zapewniały wysokie nakłady i dbały, żeby nie dotykały go żadne niedogodności ustroju. Z drugiej strony, opozycja nigdy nie zapomniała mu procesu i skazania przez reżim. Stał się więc niejako pieszczosz-kiem obu stron, plus dodatkowo fortuny, w materialnym tego słowa znaczeniu. Miał rację, że wrócił do PRL. Nigdzie indziej na świecie nie zapewniłby sobie aż tak komfortowej sytuacji. Zaś skandale uwielbiał do końca swoich dni. Gdy umierał, miał kilkanaście procesów cywilnych w toku. Tak się przynajmniej chwalił, wielce z siebie zadowolony. Zaiste, barwności nie sposób mu było odmówić.

CZiALL ZA44btłSZA\*CCł

Uwertura

Jeśli chcesz mieć różowy balet, Wygodną chatę, wózek, szkło, Nie licz na żadną z twoich zalet, Lecz wstąp czym prędzej do MO.

Gdy kurczy się ogólna pula I socjalizmu gaśnie blask, Wtedy na Cichych się wybuła, Aby ścisiali wrzask.

Akt I W ministerium Cichych

I hymn Cichych

(na melodię Hej strzelcy, wraz)

Hej, bacność, Cisi! Śledzić ludzi pióra! Dziś już z za węgła nam nie grozi wróg! Dziś naszym wrogiem paryska „Kultura”, Więc jej kontaktów w kraju śledźmy ruch!

Więc idź i śledź, i to, co trzeba, słysz! A gdy już wiesz, to śmiały donos pisz!

Nas nie powstrzyma nawet konstytucja, Aby Gęgacza odpakować list! Bo naszym świętym prawem rewolucja, Groźniejszy list dziś niż kuli świst!

Więc idź i śledź, i to, co trzeba, słysz! A gdy już wiesz, to śmiały donos pisz!

Gdy Gęgacz kontakt nawiąże z „Kulturą”, Natychmiast chwyta gęsie pióro swe I łypiąc okiem groźnie i ponuro, straszliwy paszkwil pisze na KC!

Janusz Szpotański

Uwe Skandale rtu polskie

, , O O ,

okazji dwudziestej rocznicy PRL, obchodzonej przez władzę z bezprzykładnym zadęciem, napisał Janusz Szpotański operę Cisi igęgacze, czyli bal u prezydenta, opera w trzech aktach z uwerturą i finałem, gdzie „gęgacze”, to opozycja, a „cisi” łatwo się domyślić. Trzeba od razu zaznaczyć - był to żart. Szpotański miał zawsze o literaturze niezwykle wysokie mniemanie. Pisał, że:

„jeśli nie ma się szans zostać Goethem, to pisarzem lepiej w ogóle nie być. Ja mam do tego maksymalistyczne podejście. Albo jest się tytanem czy przynajmniej kimś bardzo wybitnym i wtedy się JEST tym artystą, i to w sposób zupełnie naturalny, albo się tytanem czy kimś dostatecznie wybitnym nie jest, a wtedy, żeby w ogóle dać się zauważyć, zaistnieć, trzeba się już nadymać, trzeba się sadzić, a to na ogół bywa żalosne i śmieszne. W każdym razie ja na coś takiego nie mógłbym sobie pozwolić. Dlatego właśnie nigdy za człowieka pióra się nie uważałem, a całą tę swoją pisaninę uważałem za zabawę lub - w najlepszym razie - jako wyraz swojej postawy wobec otaczającej rzeczywistości i w ogóle życia...”.

Taką właśnie - powtórzmy - zabawą byli Cisi igęgacze. Rzeczą nie była przeznaczona do druku ani tym bardziej wystawienia.

Skandale

Uwe

rtu

ra

polskie

Wykonywano kuplety z Opery (taka się przyjęła skrótowa nazwa utworu) na prywatnych przyjęciach, kilka czy kilkanaście kaset magnetofonowych z ich nagraniami krążyło po warszawskich salonach. Było tam wiele fragmentów wielce smakowitych. Oto na przykład do uwieczonych gęgaczy przybywa „Herold”, czyli wysłannik władz. Śpiewa (zaznaczmy od razu, że „Gnom”, to towarzysz Władysław Gomułka):

„Hej, baczność straż, prezentuj broń! Gnom przybył do więzienia! Gospodarz nasz ma jasną twarz, Jest pełen uniesienia.

Nie Moczar to, nie Kliszko to, Lecz Gnom w swym majestacie. Gęgacze, wstać! Wasz łańcuch prysł! Amnesticie otrzymacie! (...)

Słyszycie - dźwięk? Historii dzwon godzinę bije wielką! Gęgacze wstać! Najwyższy czas znów nabić was w butelkę!”

Przybywa Gnom:

„Pokój wam niosę i pojednanie,  
wnet brama więzień otworem stanie,  
bracia Gęgacze, nie czas na dąs!

Ustrój nasz wielki przeżywa wstrząs!

(...)

Na cóż pogłębiać straszliwy kryzys? Bracie Gęgaczu, rozchmurz swą fizys! Niechaj nas wspólny połączy cel: Obrona żłobu i PRL.

Gdy po raz pierwszy ustrój się walił, wyście mu przecież poparcie dali. Gdy dziś powtarza się stary test, powtórzcie znowu szlachetny gest!

Ja - stary matoł, ty - stary piernik, wspólnie zrobimy nowy Październik, za nami ruszy roboczy lud i gospodarczy stanie się cud". (...)

Gęgacze odpowiadają (na melodię «Boże coś Polskę»): «Gnomie, coś Polskę przez tak długie lata wtrącił skutecznie w bez wyjścia kabałę, nie myśl, że znowu zrobisz z nas wariata, wziąć się nie damy na stare kawały!"

W innym miejscu „Cisi" śpiewają swój hymn (na melodię Piechota, ta szara piechota):

„Nie nosim mundurów, lecz modny nasz strój,  
pagonów ni złota nie nosim,  
lecz w cichym szeregu kroczymy na bój:  
donosić, donosić, donosić!

(...)

Już huczy muzyka, już toczy się bal, beztróska gęgają Gęgacze, a jutro niewczesny zakończy się żart, niejeden z Gęgaczy zapłacze!

Bo Cisi się wdarli podstępnie w ten dom i cicho się skryli w gości kupie,

Uwe

Skandale rtu polskie ra

za chwilę o wszystkim już dowie się Gnom, nogami ze złości zatupie.

O świecie Gęgacze usłyszą: «puk, puk!» i wsiądą w więzienne karetki, a Cichych kapitan za cichy swój trud otrzyma order i setki".

Można powiedzieć, że w tych ostatnich trzech cytowanych zwrotkach wykrakał Szpotański swój los. W styczniu 1967 roku został aresztowany i oskarżony o: sporządzanie i przechowywanie w celu rozpowszechniania opracowań zawierających szkodliwe dla interesów państwa, fałszywe wiadomości dotyczące stosunków politycznych i społecznych w Polsce. W gruncie rzeczy nie wiadomo, co było zabawniejsze - sama Opera, czy ocena jej treści, jaką zawierał akt oskarżenia. Nikomu jednak nie było do śmiechu. Gomułka całkowicie pozbawiony poczucia humoru, po prostu się wściekł. Osobiście zaangażował się w sprawę. W tej sytuacji znakomite mowy obrończe mecenasów: Jana Olszewskiego i Władysława Siły-Nowickiego (mężem zaufania oskarżonego był Stefan Kisielewski), nie mogły się zdać na nic. 19 lutego 1968 roku Janusz Szpotański skazany został na trzy lata więzienia. W uzasadnieniu sąd podkreślił (siei) „szczególną szkodliwość społeczną" działalności pod-sądneho.

Na wiadomość o wyroku, w Londynie, napisał Marian Hemar wiersz Operetka (wybaczyć mu należy przerobienie „gęgaczy", na „gęba-czy" - słowo gęgacz zostało oczywiście wymyślone przez Szpotańskiego, w słownikach nie figuruje):

„Wiadomość z kraju, dla mnie Osobiście ciekawa: Pisarz Janusz Szpotański (Jeśli syn Stanisława,

To jakże! Znałem ojca! I nazwisko i data Zgadzałoby się - ma właśnie Trzydzieści cztery lata)

-

Napisał operetkę. Mimochodem zaznaczę, że jej złośliwy tytuł Brzmi «Cisi i Gębacze», Jest to pono satyra Na reżymowe grono. Mówię «pono», bo nigdzie Dotąd nie wystawiono (...)

Piosenki i kuplety, Bawiono się doskonale, W tajemnicy, rzecz jasna I w zaufaniu - ale Zaufanie rzecz względna, Tajemnica rzecz krucha. Policja, nic się nie bójcie, zawsze wszystko wyniucha.

Wyniuchała. Pewnego Wieczora zadzwonił dzwonek. Przyszli. Skonfiskowali Taśmę i magnetofonek.

Poprosili autora

W asyście do karetki,

-\£L1

Uwe

Skandale rtu polskie ra

Na milicji przegrali Arietki z operetki, (...)

Kto, powiedzieli, rozsiewa Fałszywe informacje I w sposób sarkastyczny Zniekszałca sytuacje (...)

Zamiast uszanowania Kpiny szerzy i nieci, Temu, w «Kodeksie Małym», Artykuł 23-ci. Za zniewagę NARODU I zdradę IDEALU Wyznacza minimum kary: Trzy lata kryminału. (...)

A to wszystko - tak nagle Zaświtano mi w czaszce Właściwie można było Powiedzieć w jednej fraszce:

I czemu tu się dziwić? Taki kraj z takim rządem: Gdzie sąd jest operetką, Operetka jest sądem".

1/J/1

W obronie Szpotańskiego wystąpiła też Jadwiga Mieczkowska na antenie „Wolnej Europy”. Mniej lub bardziej głośno potępiali wyrok liczni przedstawiciele życia artystycznego i naukowego. Temat podjęła również prasa zagraniczna (francuska i niemiecka przede wszystkim). Władysławowi Gomułce ostatecznie puściły nerwy. 19 marca 1968 roku w przemówieniu transmitowanym przez radio i telewizję nazwał Szpotańskiego „człowiekiem tkwiącym w zgniliznie rynsztoku, człowiekiem o moralności alfonsa”. Był to sygnał dla dworaków. 11 kwietnia Jan Szydłak (podówczas zastępca członka Biura Politycznego KC PZPR) wołał z trybuny sejmowej: „Wysoka Izbo! Ja mam przed sobą ten <poemat>, a raczej ordynarny paszkwil na władzę ludową i na I Sekretarza KC naszej partii napisany przez Szpotańskiego. (...) Mnie przez gardło nie przeszedłby ten tekst. Wstydę się i nie mogą me usta powtórzyć pornograficznych, płynących z dna rynsztoka ulicy słów, które używa Szpotański dla określenia narodu, władzy i partii”.

Jest ciekawym tematem, w niewystarczającym jeszcze stopniu przebadanym przez profesora Michała Głowińskiego, w jakim stopniu słowa wypowiedziane przez pierwszego sekretarza odnośnie do konkretnych osób stawały się później tych osób obowiązującymi atrybutami. Szpotańskiego złączyła nowomowa z rynsztokiem, połączonym z różnymi przymiotnikami. Szydłak mówił o rynsztoku „ulicznym”, a Józef Ozga-Michalski już o „cuchnącym”. Zadziwiające, jak płytka była wówczas propaganda, a może wiedza SB. Janusz Szpotański lubił bowiem skandalizować. Odważał się na przykład publicznie oświadczać, że: „literatura polska poza dosłownie paroma wyjątkami nigdy mnie specjalnie nie frapowała ani nie rozbudzała intelektualnie. Podobnie jak Gombrowicz, uważałem ją i nadal uważam - globalnie rzecz biorąc - za nieautentyczną, kabotyńską, a w najlepszym razie nieciekawą, płytką...” Cóżby to była za manna dla towarzyszy od propagandy: Szpotański znieważa literaturę polską! Szpotański urąga kulturze narodowej! Za dużo jednak nie można wymagać. Sprawa Szpotańskiego odbiła się szerokim echem na świecie. W Polsce wielu ludzi wyleczyła z październikowych złudzeń. Jeszcze

Uwe

Skandale rtu polskie ra

o procesie Kuronia i Modzelewskiego można było ewentualnie mówić, że to „porachunki między marksistami”. Skazanie młodego literata za śpiewaną po salonach satyrę - to było już przejście kolejnego Rubikonu.

W tym czasie, w więzieniu, rodziły się już kolejne strofy:

„Gnom - to jest właśnie temat moich dumań godny! Gnom tupiący nogami, to znowu pogodny, Gnom liczący wytrwale komy i procenty, Gnom swą misją dziejową ogromnie przejęty, Gnom - gospodarz wspaniały, Gnom narodu - ociec, Gnom - mąż stanu, Gnom - mędrzec, trudno zresztą dociec ogromu zasług tego niezwykłego męża, którego nawet czasu zęb nie nadwyreżą!

Spójrz na władców dzisiejszych. Cóż to za miernoty!  
W powieści Iotrzykowskiej każdy ma prototyp.  
Wszystko to typy wzięte z komedii dellarte:  
bufon, szarlatan, nędznik - poezji nie warte!  
Ale gdybyś zapragnął w symbolu genialnym  
zawrzeć naszego państwa absurd monstrualny  
z jego przytłaczającym jednostką ogromem,  
to czym by musiał symbol ten być? Tylko Gnomem!..."

\*

V; :

Л III!

і!"

Jerzy Zawieyski, dramatopisarz, prozaik, działacz polityczny  
koła poselskiego „Znak”,  
przemawia w Sejmie 11 kwietnia 1968 r.,  
w czasie debaty nad interpelacją koła poselskiego „Znak”  
W tle Władysław Gomułka, I sekretarz  
Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej  
(podpiera głowę ręką).

III

Skandale

polskie

■■:■-.-.-'■

. 4 (Л...;);

o, co zdarzyło się na Uniwersytecie Warszawskim 8 marca 1968 roku, było - dzisiaj już się o tym nie pamięta przede wszystkim wielkim zaskoczeniem, a i zgorzeniem po trochu. Jakże wszyscy niemal byli wtedy naiwni. Po pierwsze, wierzyliśmy, że pokojowa manifestacja w obronie relegowanych studentów pozostaje w zgodzie z prawem i obyczajem akademickim, że więc tak też zostanie potraktowana. Po drugie, wierzyliśmy w autonomię terenu uniwersyteckiego, gwarantowaną przecież przez Kazimierza Wielkiego, a wieki później nawet i przez rosyjskich carów. Po trzecie, kiedy „aktyw robotniczy” wdarł się już na teren uczelni, myśleliśmy, że przynajmniej dziewczyn nie będzie pałować. Był przecież właśnie Międzynarodowy Dzień Kobiet! Aktyw nie miał jednak takich skrupułów. Prał pałami i pięściami wszystko, co się ruszało, a ściślej rzecz biorąc uciekało, gdyż zdeorientowani studenci nie podjęli konfrontacji i nie chcieli się bić z „klasą robotniczą”, którą, prorektor Zygmunt Rybicki, jedna z najobrzydliwszych postaci PRL, podówczas prorektor, wkrótce już w nagrodę rektor, witał przez megafon pamiętnymi słowami: „Dziękujemy panom, żeście przyszli” (jego zwierzchnik, rektor Turski, rozwiął się wtedy w niebycie, podobno przebywał w Turcji, co spowodowało przemianowanie go przez studentów na KoniunkTurskiego).

Skandale

polskie

Następnego dnia ogłoszono na Uniwersytecie strajk okupacyjny. Wiadomo było na pewno, że strajkuje też Politechnika, raz po raz przybiegali telefonicznie „dobrze poinformowani”, donosząc, że Kraków też „stoi”, Wrocław, Poznań, nawet czeska Praga... Naprawdę, strajkujący nie wiedzieli prawie nic. Rzeczywistością były tylko siniaki od pałek i coraz powszechniejsze przeświadczenie, że żadnych rozmów z władzami nie będzie i można od nich oczekiwać tylko przemocy. Czy coś może jeszcze odblokować sytuację? A może interwencja poselska? Szanse na to były minimalne, czemu jednak nie spróbować...?

11 marca Koło Posłów „Znak” złożyło interpelację „w związku z wystąpieniami studenckimi i brutalną interwencją milicji i ORMÓ”:



„Do Prezesa Rady Ministrów Obywatela Józefa Cyrankiewicza Do głębi przejęci wypadkami w dniach 8 i 9 marca 1968 na Uniwersytecie Warszawskim i Politechnice, w trosce o spokój w naszym kraju w skomplikowanej sytuacji międzynarodowej oraz w trosce o właściwą atmosferę dla wychowania i kształcenia młodzieży, na podstawie art. 22 Konstytucji PRL i art. 70-71 Regulaminu Sejmu PRL zapytujemy:

1. Co zamierza uczynić rząd, aby powściągnąć brutalną akcję milicji i ORMO wobec młodzieży akademickiej i ustalić odpowiedzialność za brutalne potraktowanie tej młodzieży?
2. Co zamierza rząd uczynić, aby merytorycznie odpowiedzieć młodzieży na stawiane przez nią palące pytania, które nurtują także szeroką opinię społeczną, a dotyczą demokratycznych swobód obywatelskich i polityki kulturalnej rządu?"

Dalej następowało uzasadnienie, w którym czytamy między innymi: „Do wystąpień młodzieży studiującej w Warszawie doszło wskutek pewnych wyrazistych błędów czynników rządowych w dziedzinie polityki kulturalnej. Zdjęcie «Dziadów» z programu teatralnego zostało odczute także przez młodzież jako bolesna i drastyczna ingerencja zagrażająca swobodzie życia kulturalnego i uwłaczająca narodowym tradycjom. (...) W dniach 8 i 9 marca manifestująca młodzież była bita niesłychanie brutalnie, częstokroć w sposób zagrażający życiu.

Widziano szereg przypadków znęcania się nad młodzieżą, w tym nad kobietami. (...) Wyrażamy także nasze zaniepokojenie pojawieniem się tego rodzaju interpretacji prasowych, które jeszcze bardziej zaogniają sytuację. (...) Nie jest wyjściem zdławienie manifestacji, ale nieutra-cenie możliwości rozmawiania ze społeczeństwem. Apelujemy o ten kierunek rozwiązań".

Podpisani:       Konstanty Łubieński

Tadeusz Mazowiecki

Stanisław Stomma

Janusz Zabłocki

Jerzy Zawieyski

Na interpelację Koła Posłów „Znak” długo nie było odpowiedzi. W tym czasie protesty studenckie zostały spacyfikowane. Trwała, zaprzeczająca wszelkiemu dialogowi ze społeczeństwem, histeryczna kampania antysemitka i antyinteligentka. 26 marca ogłoszono Zarządzenie ministra szkolnictwa wyższego Henryka Jabłońskiego o zwolnieniu z pracy profesorów uniwersytetu oskarżonych o „rewizjo-nizm” (między innymi Leszka Kołakowskiego, Stefana Morawskiego, Zygmunta Baumanna). W tej sytuacji interpelacja stawała się bezprzedmiotowa. Władze odpowiedziały już na nią czynami. Nieważnym zaskoczeniem była więc informacja, że na 10 kwietnia zwołane zostało nadzwyczajne posiedzenie sejmiku z jednym tylko punktem porządku dziennego: Odpowiedź Prezesa Rady Ministrów na interpelację Koła Posłów „Znak”.

Pisał ironicznie Stanisław Stomma:

„Był to krok niebywały, musieliśmy się czuć niezwykle zaszczytzeni! Dotąd interpelacje nasze traktowano w sposób wielce lekceważący. Otrzymywaliśmy odpowiedzi zazwyczaj bardzo spóźnione i mało mówiące. Teraz oto zapowiadano nadzwyczajne posiedzenie sejmiku tylko dlatego, że premier miał odpowiedzieć na naszą interpelację. To niezwykle novum na tle burzliwej sytuacji wyglądało dość groźnie”.

III

Skandale III M polskie

Nie wytrzymał ciśnienia Janusz Zabłocki i w przeddzień obrad izby, mówiąc po staropolsku dał drapaka, wystosowując do kolegów ze „Znaku” pokrętny list (mógł im to przekazać ustnie, ale list stanowił dokument, który można było przekazać i gdzie indziej), w którym czytamy między innymi:

„Biorąc pod uwagę wasz pogląd, że moje wystąpienie obecnie z Koła miałyby obecnie daleko idące i niepożądane skutki, nie składam formalnej rezygnacji z przynależności do Koła. (...) Nie mogę natomiast zrezygnować z głosowania w sposób zgodny z moimi przekonaniem, prawa, które mi zresztą przyznajecie. (...) Potwierdzam moje złożone już oświadczenie, że respektując wasze stanowisko, nie wystąpię na najbliższym posiedzeniu Sejmu we własnym imieniu. Nie przesądzam jednak, czy nie będę musiał wyjaśniać moje stanowisko publicznie w inny sposób...”.

Zabłocki wyczuł pismo nosem. Władza bowiem postanowiła przedstawić interpelację „Znaku” jako skandal niesłychany, uderzenie w najistotniejsze interesy państwa, kontrewolucję bez mała. Daje nam o rym pojęcie drobna antologia fragmentów wypowiedzi z owego, trwającego dwa dni (sic) posiedzenia sejmiku PRL, VIII Sesji, IV Kadencji. Politycznie nie mają one w sobie nic oryginalnego. Przypomnijmy jednak, a młodzież niech pozna tę niepowtarzalną poetykę.

Józef Cyrankiewicz (Prezes Rady Ministrów):

„Autorzy interpelacji nie mogli nie zdawać sobie sprawy z fałszu i obłudy tkwiących w zarzucie o «zagrożeniu swobody życia kulturalnego w Polsce». Zadaje temu kłam cała nasza polityka kulturalna. (...) Nie chcą tego uznać tylko ci, którzy pod flagą obrony rzekomo zagrożonej wolności kultury chcą atakować porządek społeczny w naszym kraju i uprawiać nieodpowiedzialną grę polityczną. I największą szkodę swobodzie kultury w Polsce wyrządzili właśnie ci, którzy nadużyli tej flagi dla wrogiej gry politycznej, dla omamiania, oszukania części mło-

dzieży akademickiej i walki z władzą ludową. Wykazali, że wyżej stawiają swoje małe politykierskie ambicje, niż interesy literatury i sztuki, niż rzeczywiste interesy kraju. Teraz będą zbierać tego konsekwencje. Posłowie Koła Poselskiego «Znak» przyłączyli się do tej gry przez swoją interpelację, która wcześniej niż trafiła do rąk adresata, stała się rodzajem odezwy zachęcającej do działania prowodyrów zajęć i wichrzycieli. (...) Rozszalała się w niektórych krajach kapitalistycznych nagonka antypolska. Potok oszczerstw, pomówień, cynicznych kłamstw i najbardziej niewybrednych obelg płynie z łamów reakcyjnej prasy burżuazyjnej, z różnego rodzaju central dywersji i wojny psychologicznej...”.

Zenon Kliszko (wicemarszałek sejmiku, prawa ręka Władysława Gomułki):

„Wiece i incydenty studenckie były wynikiem wykorzystania łatwowierności młodzieży przez elementy prowokacyjne. Ale posłowie z Koła «Znak» nie są niedoświadczonymi młodzieńcami. Trzeba nazwać rzecz po imieniu. Skorzystali oni z istniejącej sytuacji, aby poprobować upiec na ruszcie niedawnych wydarzeń własną reakcyjną pieczęć. - Można postawić pytanie, w jakim i czyim interesie to uczynili? W stanowisku politycznym Koła Poselskiego «Znak» nie można dojrzeć patriotycznej troski o interesy narodu polskiego i państwa polskiego. Koło «Znak», jak wiadomo, występowało w obronie orędzia Episkopatu do biskupów niemieckich. Dziś Koło to, odchodząc coraz dalej od polskiej racji stanu, faktycznie stanęło po stronie tych elementów syjonistycznych i rewizjonistycznych, które inspirowały i zorganizowały prowokację wymierzoną w spokój ojczyzny, w jej żywotne interesy. -Taka jest obiektywna wymowa stanowiska zajętego przez Koło Poselskie «Znak»”.

Andrzej Żabiński (przewodniczący Związku Młodzieży Socjalistycznej):

T71

Skandale

polskie

„Oczywiście każdy poseł ma prawo składać interpelację do premiera rządu, ale kolportowanie tego listu, jak i publikowanie go przez wrogie nam ośrodki, utrudniało nam pracę wyjaśniającą i pogłębiało dezinformację wśród pewnej części studentów, pogarszając i tak trudną sytuację na wyższych uczelniach. Dlatego fakt kolportażu i propagowania listu uważamy za wrogi, wymierzony przeciwko władzy ludowej, uważamy za próbę

przeciwstawienia młodzieży siłom patriotycznym, skupionym we Froncie Jedności Narodu. - Jako młodzi, oburzeni jesteśmy, że działalność wroga została zasłonięta dostojeństwem mandatu poselskiego".

Władysław Gawlik (ludowiec, prezes WK ZSL w Lublinie):

„Ci wszyscy zgrani politycy spod znaku syjonistycznych nacjonalistów potrafili połączyć się z wszelkiego rodzaju reakcją do walki z naszym ustrojem socjalistycznym. Są oni gotowi nawet z samym diabłem pokumać się w obronie własnych interesów, służąc politycznej reakcji w kraju i za granicą. (...) Chciałem podkreślić, że posłowie z Koła «Znak» celowo zapominają lub starają się przermłczeć to, jak wielkie były wyrzeczenia i jak wielki wkład dała klasa robotnicza i chłopcy polscy w budownictwo nowego ustroju. (...) Jak śmiecie w ten sposób dziś oceniać działalność i postawę organów Milicji Obywatelskiej. Któż to jest ta Milicja albo Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej? To milicja przecież ludowa, robotnicza i chłopska. A któż, jeśli nie ta milicja ludowa, stoi dziś na straży praworządności i spokoju, stoi jednocześnie na straży nietykalności uczuć religijnych...".

Bolesław Piasecki (przewodniczący PAX):

„Jak można być za sojuszem ze Związkiem Radzieckim, nie potępiając agresywnych sił imperializmu? Gdzie «Znak» napiętnował agresję Izraela na kraje arabskie? Kiedy posłowie «Znaku» zaangażowali się przeciw antypolskiej - wewnętrznej i zagranicznej - akcji syjonis-

T7/1  
tycznego nacjonalizmu? - Nie wchodzę tu w intencje osobiste, które kierują działaczami «Znaku» ale stwierdzam, że jesteśmy w zasadniczej politycznej walce. Trzeba uodpornić społeczeństwo na reakcyjne wpływy, których narzędziem stały się między innymi wystąpienia posłów «Znaku»".

I tak dalej, i tak dalej...

Na zakończenie przytoczmy jeszcze tylko garść cytatów z przemówienia wiceprezesa ZSL, członka Rady Państwa i poety, Józefa Ozgi-Michalskiego. Co poeta, to poeta:

„Mamy do czynienia z próbą nawrotu i ożywienia reakcyjnego rodzimego światopoglądu pewnych kół polskich, które powiązały się z równie reakcyjnym sojusznikiem - syjonizmem, owianym «aureolą» zwycięstw agresywnego Izraela na Bliskim Wschodzie. Ludzie ci poczuli w nozdrzach słodki dym wojny izraelskiej i sądzą, że będą mogli w Polsce przy tym dymku wędzić swoje polityczne półgęski. Nie są mało ważne zamiary i kroki, które te siły podejmują, nie jest dla nas obojętne, na jakie rezerwy społecznej dezinformacji jeszcze oni liczą. - Cóż to jest Koło Poselskie «Znak» i jakie jest jego posłannictwo? - Społeczeństwo ma prawo dowiedzieć się o roli - powiedzmy sobie szczerze - tej politycznej resztówki w parlamencie...

«Polska, jak wyleniały orzeł, wyleciała im z głowy» - mówi jeden z bohaterów ostatniej powieści Andrzejewskiego. Nie ma w tym nic dziwnego. Dla panów, którzy w wyleniałych krzesłach, mierzą w salonie swój wyleniały czas kukułką z rozparcelowanego dworu, Polska Raczkiewiczów, Andersów i „Kultury" może przedstawiać się i w takiej postaci. (...) Naprawdę jest w co wbić pazur, zamiast tkwić w kołowrocie scholastycznych dyskusji i przyczyniać się do wywoływania upiórów z narodowego sanktuarium mickiewiczowskiego oraz do tego, że upiory te tłuką szyby i latarnie na ulicach odbudowanej przez robotników Warszawy. (...)

Skandale polskie

Panowie, którzy pałac w stolicy cygara, z wysokości Krakowskiego Przedmieścia pospieszyli się z epitetem «ciemniaków» pod adresem władzy ludowej, powinni ocenić swoje prawdziwe położenie i zrozumieć, że świecą oni tylko tak, jak świeci lampa naftowa w wieku elektryczności..."

Czwórka posłów „Znaku" nie ugięła się. Jerzy Zawieyski w niezwykle osobistym i pełnym teatralnej ekspresji wystąpieniu; potem Stanisław Stomma w przemówieniu suchym i

chłodnym, ale politycznie jeszcze twardszym, podtrzymali stanowisko koła. Spowodowało to oczywiście tylko podwojenie siły ataków i brutalności inwektyw. „Dyskusja” zakończyła się niespodziewanym incydentem. Na mównicę, co nie było przewidziane w programie wszedł bowiem (a raczej - to byłoby właściwsze słowo - wdarł się) Konstanty Łubieński. Oddajmy głos Sprawozdaniu stenograficznemu:

„Poseł Łubieński Konstanty:

Wysoka Izbo! W imieniu całego Koła Poselskiego «Znak» oświadczam, że atmosfera i sposób prowadzenia dyskusji przez poszczególnych posłów uniemożliwiają nam merytoryczne ustosunkowanie się do podniesionych przeciw nam zarzutów. Jednakże pragniemy wypowiedzieć się w jednej tylko sprawie. Podobnie jak wszyscy Polacy, potępiamy kampanię prowadzoną za granicą, oskarżającą Polaków o współudział w eksterminacji narodu żydowskiego, ale przypominam - Wysoka Izbo - że jedyna książka zawierająca dokumentację pomocy udzielanej w czasie okupacji Żydom przez Polaków ukazała się właśnie w naszym wydawnictwie «Znak». - Powtarzam w innych sprawach tu poruszonych, w zaistniałej w tej sali atmosferze, pozostaje nam tylko milczeć”.

Marszałek (był nim Czesław Wycech z ZSL - LS):

„Pragnę stwierdzić, że była pełna swoboda w wypowiedzaniu się w dyskusji na plenarnym posiedzeniu Sejmu i nie mogę zrozumi-

mieć tego oświadczenia posła Łubieńskiego. Nie przyjmuję do wiadomości”.

Obrady zakończyło wykluczenie Jerzego Zawieyskiego z Rady Państwa i wybór na jego miejsce Mariana Spychalskiego. Głos zabrała teraz prasa, która oczywiście potępiła „Znak”, ale nic nowego nie wniosła. Znacznie ciekawsza była zorganizowana akcja uchwalania „spontanicznych” uchwał w zakładach pracy i wysyłania „osobistych” listów do czterech posłów „Znaku” (Zabłocki takowych nie dostawał, zupełnie jakby jakimś przedziwnym i cudownym trafem „wzburzeni robotnicy” znali treść jego poufnego listu do kolegów).

Zapamiętałem szczególnie jeden (adresowany do Stanisława Stomma): „Zdrajco! Chciało ci się skandalu, który będzie wodą na młyn zachodnio-niemieckich pogrobowców syjonizmu (tak dokładnie - LS ). Niech twoja noga nie postanie w Wałbrzychu, bo dzieci będą po tobie płakać...”. Zwieńczyły tę kampanię zgoła oficjalne rezolucje z wieloma podpisami przesłane do czwórki ze „Znaku”: „Jako wyborcy naszych posłów Ziemi (tutaj podawano odpowiedni okręg wyborczy), oświadczamy, że poseł (tu następowało nazwisko: Łubieński, Mazowiecki, Stomma albo Zawieyski) nie reprezentował ani nie reprezentuje woli swoich wyborców. Jego stanowisko jest nam zupełnie obce i niezgodnione z wyborcami. Akceptując stanowisko Kierownictwa Partii i Rządu Ludowego, domagamy się od Zespołu Poselskiego Ziemi (tu okręg) oraz Sejmu PRL zajęcia w stosunku do posła (tu nazwisko) odpowiedniego stanowiska i wyciągnięcia odpowiednich wniosków”.

„Rezolucję tą - pisał Stanisław Stomma - trzeba było traktować jako początek kampanii o pozbawienie nas mandatów drogą uchwały sejmu albo ewentualnie drogą presji psychologicznej. Czekaliśmy na dalsze uchwały innych grup fagasów...”.

Nie doczekali się jednak. Pod koniec czerwca wszystko skończyło się nagle, jak nożem uciął. Wszyscy zachodzili w głowę, co by to miało znaczyć. Rzecz wyjaśniła się dopiero po dwóch miesiącach, wraz z wejściem wojsk polskich do Czechosłowacji. Po prostu partia znalazła Skandale

III

polskie

już sobie nowych i nieporównanie ważniejszych wrogów, zaś towarzyszy Władysława Gomułka efektywniejszą okazję do wykazania swojej pryncypialnej stanowczości. W ten sposób całkiem tego nieświadomy Aleksander Dubćek mimowolnie zatuszował interpelacyjny skandal. Inna rzecz, że czwórka ze „Znaku” stokrotnie wolałaby utracić mandaty, niż

przeżywać hańbę interwencji polskiej w Czechosłowacji. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Nikt ich ani społeczeństwa polskiego o zdanie nie pytał.

QesL ИбогЛкхеї^хсгл.

Władysław Kozakiewicz, lekkoatleta, tyczkarz, na Olimpiadzie w Moskwie w 1980 r.

Skandale                    polskie

3

kst кмЛлисшАСіл,

swojej klasycznej pracy *Manwatching* (1977), tak tłumaczy Desmond Morris gest określany w Polsce pokazywaniem zgiętą ręką lub - nie wiedzieć dlaczego - dziobem pingwina („Tak się zgina dziób pingwina“): „Jest to znak na wskroś obsceniczny. Zgięta ręka z przedramieniem wzniesionym do góry i zaciśniętą pięścią jest przedstawianiem fallusa w wzwodzie. Gest ten jest szczególnie popularny we Francji, Włoszech, Hiszpanii i Grecji, gdzie zawiera w sobie pogroźkę. Częsty również w Anglii, gdzie jednak jest formą komentarza seksualnego, wulgarnym wyrazem podziwu. Francuz wykonujący ten gest mówi jego adresatowi: «pierdol się, wypierdalaj». Anglik tymże gestem sygnalizuje kolegom na widok pięknej dziewczyny: «chciałbym się z nią przespać», przy czym zgina rękę przeważnie tak, żeby osoba, której wdzięki komentuje, sygnału nie spostrzegła. Oto przykład gestu o dwóch odmiennych znaczeniach, pomimo że w obu przypadkach odwołuje się on do tego samego fallicznego symbolu". Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, gdyż wiemy to z codziennego doświadczenia, że w Europie środkowej i wschodniej obowiązuje par excellence francuska wykładnia znaczenia „zgiętej ręki”.

Igrzyska Olimpijskie w Moskwie w 1980 roku odbywały się w atmosferze ostrego politycznego napięcia na arenie międzynarodowej. Niecały rok wcześniej wojska ZSRR, czyli organizatora imprezy,

1

Skandale i            polskie «и

wkroczyły do Afganistanu i toczyła się tam nadal krwawa wojna. Sytuację tę postanowił wykorzystać prezydent Stanów Zjednoczonych Jimmy Carter, którego już za parę miesięcy czekały wybory, a który pomawiany był dotychczas powszechnie o nazbyt miękki kurs wobec Kremla. Efektownie huknął więc pięścią w stół i ogłosił bojkot olimpiady. Dyplomacja amerykańska przekonała kilkadziesiąt państw do pójścia w ślady Waszyngtonu. Zawody dramatycznie straciły na znaczeniu, co oczywiście było dla rządu radzieckiego dotkliwą porażką propagandową. Breżniew był wściekły, ale rozczarowani również tysięczni widzowie, zwykli radzieccy obywatele, którzy od dawna wykupili bilety i szykowali się na sportową ucztę. Władze postanowiły osłodzić im ten zawód możliwością obejrzenia bezprecedensowego triumfu sportu radzieckiego. Nieszczęsnych reprezentantów ZSRR poddano intensywnej intoksykacji, obiecano podwojenie premii (acz obok marchewki i niedopowiedziany kijek wisiał nad głowami) i zareczono za stworzenie „sprzyjających warunków". To ostatnie było poniekąd oczywiste. Wiadomo przecież, że w sporcie „gospodarzom nawet ściany pomagają". Wkrótce miało się jednak okazać, że chodziło o coś więcej...

Atmosfera wśród odpowiedzialnych za radziecki sukces stała się szczególnie nerwowa po zakończeniu regat wioślarskich. Cóż z tego, że reprezentanci ZSRR zdobyli już wcześniej karkołomną wręcz ilość medali. Ta konkurencja miała szczególne znaczenie ze względu na szumne ogłoszenie, iż wioślarze przygotowywali się do startu podług najnowo-cześniejszego programu, wdrażanego oprócz nich, również przez kosmonautów radzieckich z Gwiezdnego Miasteczka - chluby i awangardy całego kraju. Zwycięstwa ZSRR na regatowych torach świadczyć więc miały nie tylko o narodowej krzepie, ale także o wyższości komunistycznej myśli naukowej, a co za tym idzie, o przewodniej roli w cywilizacji światowej w ogóle. Tymczasem z czternastu konkurencji (ośmiu męskich i sześciu żeńskich) tylko jedna - dwójka

podwójna kobiet - przyniosła złoto Popowej i Kłopczonej. Klęska. Tadeusz Olszański twierdzi, że obecny w charakterze gościa honorowego premier Aleksy Kosygin zasłabł na trybunie i musiał być pośpiesznie ewakuowany.

TOT

Ledwie umilkł chłupot wiosel, rozpoczęły się wieńczące program igrzysk zawody lekkoatletyczne. Działacze nie strawili jeszcze gorzkiej pigułki i - jak można przypuszczać - nie umilkły besztające i jakże ich nękające telefony z Kremla. Nic dziwnego, że tym razem postanowili nie pozostawić niczego przypadkowi. Jednostronne decyzje sędziów, wspieranych przez niezwykle agresywną publiczność, dziwne zajścia w szatniach i na boiskach treningowych, spowodowały, iż zapanowała wkrótce nerwowa atmosfera podejrzeń. Że nie były one bezpodstawne, dowodził przebieg konkursu rzutu oszczepem. Dyscyplina zdominowana była podówczas przez Węgrów i Finów. Teraz też byli oni stuprocentowymi faworytami. Tymczasem pokonało ich z ponad-trzymetrową przewagą dwóch Rosjan, którzy nigdy przedtem błyskotliwych sukcesów nie odnotowali. Analizując filmy z konkursu węgierscy trenerzy zauważali rzecz dziwną. Kiedy tylko oto rzucali reprezentanci ZSRR, tuż za rozbiegiem otwierała się, pod byle pretekstem, brama do tunelu ewakuacyjnego. Powodowało to przeciąg, który wręcz podrywał do góry oszczepy radzieckich miotaczy. Ani Węgrzy, ani Finowie nie odważyli się złożyć oficjalnego protestu, który oznaczałby - ni mniej ni więcej - oskarżenie organizatorów o szalbierstwo. Nie omieszkali jednak głuchym telefonem, od ucha do ucha, podzielić się swoimi spostrzeżeniami z paroma zaprzyjaźnionymi ekipami, co biorąc pod uwagę, że nie zastrzegali tajemnicy, oznaczało poinformowanie całego świata. Nic dziwnego, że podczas konkursu skoku o tyczce ważny przedstawiciel władz Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego Alex de Merode, zamiast zając należne mu miejsce na trybunie honorowej, przycupnął przy stoliku sędziowskim, koło zeskoku. „Czy w skoku o tyczce można wpłynąć na zmianę wyniku, ułatwić jednemu, a utrudnić drugiemu sportowcowi zwycięstwo? Zapytałem o to - pisze Tadeusz Olszański - wybitnego znawcę lekkiej atletyki Stefana Sieniarskiego z «Życia Warszawy». (...) Jest to możliwe - odpowiedział Sieniarski. - Poprzeczka jest bardzo wysoko, zakłada się ją widełkami, można ją więc starannie, precyzyjnie ustawić, można też byle jak, aby ledwo dotykała podsta-

Skandale polskie

wek i wtedy strąci ją nawet pęd ciała zawodnika, który nad nią prze-frunie".

Od tej ewentualności ratowała polskich faworytów błogosławiona obecność markiza Aiexa de Merode. Pozostawała jednak publiczność. Ta zaś robiła wszystko, żeby wyprowadzić naszych tyczkarzy z równowagi i uniemożliwić im koncentrację. Tupot, gwizdy, nieprzyjemne okrzyki. Władysław Kozakiewicz, Tadeusz Ślusarski i Mariusz Klimczyk wykazali jednak godną podziwu odporność nerwową. Po 5,60 m wiadomo już było, że Klimczyk będzie szósty; po 5,70 - że Tadeusz Ślusarski i Konstantin Wołków zdobędą ex aequo srebrne medale.

Kozakiewicz pozostał sam. Miał już złoto. Pomimo gwizdzącej i wyzywającej publiki postanowił jednak skakać dalej. Kazał założyć poprzeczkę na rekordową wysokość 5,75. Przeleciał nad nią z zadziwiającą łatwością. Pierwsze miejsce i rekord świata. Czegóż jeszcze można chcieć? Ale rozdrażnionego Kozakiewicza nic tego dnia nie mogło zatrzymać.

Zażyczył sobie 5,78 - o cztery centymetry wyżej od rekordu świata poprawianego zazwyczaj latami, centymetr po żmudnym centymetrze. Już biegnie, już napina tyczkę, przepływa nad poprzeczką i spadając jeszcze, ledwie dotknąwszy zeskoku, niemal jeszcze w powietrzu zgina rękę, zaciska pięść i kieruje do publiczności i organizatorów taki dziób pingwina, jakiego jeszcze świat nie widział. Skandal! Niebotyczny skandal! Cała Polska zawyła z radości. Od tej pory nie będzie już „pokazywania zgiętą ręką”, nie będzie „dziobów pingwinich”. Będzie gest Kozakiewicza na wieczną rzeczy pamiątkę.

Wspaniałej klasy arbiter elegantiarum Bohdan Tomaszewski napisał, że tym gestem chciał Kozakiewicz powiedzieć: „No i co?! I tak jestem najlepszy!” Cała Polska wiedziała jednak, że chodziło o co innego. O to, dokładnie, co chce według Desmond Morrisa powiedzieć światu Francuz, rękę zginając... I nie chodziło tu już o publiczność czy skorumpowanych sędziów. To WYR.. miało wymiar historyczny, było krzykiem społeczeństwa. Zresztą parę dni później rozpoczęły się strajki w Lubelskiem, po miesiącu wybuchła „Solidarność”.

Żeby nie kończyć tak triumfalistycznie, oddajmy jeszcze głos Bohdanowi Tomaszewskiemu. Wspomina on w Przeżyjmy to jeszcze raz:

„Jest wciąż dzień 30 lipca 1980 roku, późny wieczór, pada deszcz i siedzę w autokarze. Jest po konkursie. Czekam, aż zbierze się komplet pasażerów i nareszcie po pełnym emocji dniu będę mógł znaleźć się w hotelu. Autokar jest wciąż nie wypełniony, motor warczy, kierowca czeka na zapóźnionych uczestników Olimpiady. Koło wejścia stoi zmoknięty młodzieniec w czerwonym dresie. Próbował wejść do środka, ale nie pozwolono. Przyglądam mu się. Zaraz, tak, poznaję, to przecież Wołków, Konstantin Wołków, świetny, dzielny chłopak, zdobywca srebrnego medalu. Zrywam się. Próbuję interweniować. Proszę, tłumaczę. Daremnie. Trzask zamykanych drzwi. Autokar rusza. W ciemnościach i strugach deszczu widzę smutną twarz olimpijczyka. Coraz mniejsza sylwetka ginie w mroku.

Jedno z najsmutniejszych wspomnień z tych igrzysk. Srebrny medal - wielka rzecz! Srebrny - ale nie złoty.

W drodze do hotelu zapytałem kierowcę, dlaczego nie zabrano Wołkowa. Spojrzał na mnie filozoficznie, wzruszył ramionami i rzucił krótko:

Przecież przegrał”.

Nie tylko przegrał. Swoją niestosowną porażką umożliwił zaistnienie skandalu. Na zamkniętym autokarze zapewne się nie skończyło. W Polsce natomiast dyskusje oficjeli nad tym, jak zinterpretować gest Kozakiewicza i jak nań zareagować, podjął nawet Komitet Centralny. Ostatecznie uznano, że lepiej będzie przychylić się do wersji Tomaszewskiego. Trzeba przyznać z podziwem, że ów zawsze wiedział, co i po co pisze.

TUzobfiJk. Urt-ііс

Jerzy Urban, dziennikarz, publicysta, pisarz i polityk lewicowy, redaktor naczelny tygodnika „NIE”.

W latach 1981-1989 rzecznik prasowy rządu (w randze ministra).

Zdjęcie z ostatniej konferencji prasowej rzecznika w kwietniu 1989 r.

ТЙ7

•

Skandale , \* polskie

C.....

kiedy był on rzecznikiem rządu Wojciecha Jaruzelskiego, znajdujemy dzisiaj we wszystkich bodaj polskich zbiorach sentencji, nawet w tak poprawnie-podręcznikowych, jak Skrzydlate słowa Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowskiego (1990), czy tak ideowo redaktorowi naczelnemu „Nie” przeciwnych, jak Leksykon polskich powiedzeń historycznych Macieja Wilamowskiego, Konrada Wnęka i Lidii A. Zyblikiewicz (1998). Innymi słowy, stał się rzecznik Urban klasykiem. A przecież wszystko zaczęło się zupełnie inaczej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku (a był to jednocześnie dzień pierwszej konferencji rzecznika rządu) to właśnie Jerzy Urban, bardziej nawet niż sam generał Wojciech Jaruzelski, zogniskował na sobie nienawiść społeczną. Generał był groźny, ale odległy; kiedy występował publicznie mówił językiem hermetycznych zakłęb, które dopiero trzeba by było analizować w ich subtelnych niuansach. Urban przeciwnie. Stawał twarzą w twarz z pstrokatą politycznie grupą korespondentów zagranicznych periodyków i mówił rzekomo do nich, tak jak oni rzekomo do niego (naprawdę chodziło oczywiście o

publiczność przed telewizorami) językiem potocznym i zrozumiałym, co gorsza niestroniącym od ironii i kpiny. Co jeszcze gorsze - pełnym sarkastycznego weredyzmu. Oczywiście zdarzały mu się dramatyczne wpadki.

Tych żaden rzecznik jakiegokolwiek instytucji na świecie uniknąć nie może, gdyż polegać musi na dostarczanych mu przez owe instytucje informacjach. Jeśli są one fałszywe, w sposób nieunikniony staje się ich nośnikiem. Tak było na przykład podczas poszukiwań księdza Jerzego Popiełuszki czy przypadku zmasakrowania Grzegorza Przemyska w komisariacie przy ulicy Jezuickiej w Warszawie. Nie o to jednak chodziło. Tego rodzaju fałszywe wiadomości paradoksalnie uspokajały nawet opinię publiczną, potwierdzały bowiem przekonanie, że „telewizja kłamie”, podbudowywały więc uświęcony obraz świata.

Wściekłość budziły natomiast takie stwierdzenia Urbana, jak to, że „rząd się wyżywi”.

Przypomnijmy: oświadczył on, komentując amerykańskie restrykcje ekonomiczne wobec Polski, iż: „Właściwie godzą one w ludność, bo przecież nie w rząd, który jakoś się wyżywi”.

Było to zdanie, które uznać można za cyniczne, jednocześnie jego prawdziwości podważyć się nie da. Kłamstwo zawsze ostatecznie można zdemaskować. Co począć natomiast ze zdaniem prawdziwym, a sprzecznym z wyznawanymi przez nas i głoszonymi zasadami?

Tutaj dopiero zaczyna się kłopot i zamieszanie w czarno-białym obrazie świata. I za to przede wszystkim powszechnie nienawidzono Urbana. Co inteligentniejsi mieli do nienawiści i drugi powód. Zdawali sobie otóż sprawę z tego, że podobnego zjawiska, jak owe konferencje prasowe, gdzie zagraniczni dziennikarze swobodnie, na oczach widzów, stawiają pytania i uzyskują na nie oficjalne czy pozostające w kanonach nowomowy, ale jednak odpowiedzi, nie spotka się w żadnym innym kraju radzieckiego bloku, że więc owemu krajowi, który chciałaby opozycja przedstawić jako ostatni krąg piekieł, wystawiają legitymację swoistego, relatywnego liberalizmu. Rzecz nie do zniesienia.

Tymczasem podczas spotkań Urbana z korespondentami miała miejsce swoista gra pozorów.

Pytania kierowane do rzecznika bardziej niż uzyskanie informacji miały na celu poinformowanie społeczeństwa o bieżących wydarzeniach. Podnosi na przykład rękę Bryan Brumley z amerykańskiej agencji Associated Press: „Chciałbym dla jasności zapytać, czy potwierdza pan, że to właśnie funkcjonariusze

milicji wkroczyli na teren klasztoru Św. Marcina i pobili sześć osób?” Oczywiście, Brumley doskonale wie, że wkroczyli i pobili. Dawno też już wysłał o tym depeszę do swojej agencji.

Chodzi mu nie o uzyskanie odpowiedzi, ale rozpowszechnienie wiadomości. Urban, rzecz jasna, rozumie to doskonale. Rzecz jest nie tylko wpisana w kosza, została też z góry zaakceptowana jako funkcjonowanie swoistego informacyjnego wentylu bezpieczeństwa.

Najlepiej zdają sobie z tego sprawę sami zachodni korespondenci, którym zmiana funkcji z rzeczywistych dziennikarzy na publicznych reprezentantów opozycji przynosi nieznanym im dotychczas splendor. Są oto rozpoznawani na ulicach, zapraszani i doceniani nawet przez ludzi, którzy nigdy nie przeczytali choćby jednego napisanego przez nich zdania. O czymś takim w normalnych warunkach nie mogliby nawet pomarzyć.

Pisała Helia Pick z angielskiego „The Guardian” (20 lipca 1984): „Większość dziennikarzy zachodnich w Warszawie nie lubi Urbana, który przypuszczalnie odwzajemnia te uczucia.

Obie jednak strony doszły do tego, że nawzajem się potrzebują”. Nie ma w tym nawet hipokryzji. Owo „nielubienie” Urbana to obowiązujący kanon. Być może Helia Pick jest nawet szczerze przekonana, że Urbana nie lubi. Ważna jest jednak tylko druga część zdania.

W odpowiednich proporcjach podobną ewolucję przeżywa pokaźna część społeczeństwa polskiego. Nienawiść do Urbana, pogarda dla Urbana, obrzydzenie Urbanem... pozostały kanonami, jednocześnie jednak okazało się, że bez Urbana nie można się już obejść. I znowu realne znaczenie okazała się mieć tylko ta druga część.

Kiedy w 1990 roku ukazał się jego Alfabet, rozszedł się w tak niebywałej liczbie egzemplarzy, że wystarczyło tantem na założenie ogólnopolskiego tygodnika. A przecież w



tymże Alfabcie pisze Urban o generale Jaruzelskim: „Największy umysł, z j jakim się zetknąłem, przynajmniej wśród ludzi. Wielka i już nieuleczalna moja miłość”. Natomiast na przykład o wyniesionym na narodowe ołtarze Kisielu: „Kiepski kompozytor, średni krytyk muzyczny, drugorzędny powieściopisarz, nudny felietonista, dobry publicysta, naiwny i niewytrwały polityk.

III

Skandale , polskie

Talentów ma wiele, ale wszystkie mierne...”. I w czymś takim zaczytywały się miliony Polaków katolików, z których trzy czwarte (od tego czasu ten ułamek się powiększył, gdyż jak zawsze po latach rosną szeregi kombatantów) powoływała się na „Solidarnościowe korzenie”!

Nie inaczej stało się z pismem „Nie”, którym brzydzić się należy. Cóż to była za zabawa (a często bywa i dzisiaj) patrzeć, jak znajomi zamawiają w kiosku „szmatławca” szeptem, a potem, zasłaniając widok wyprężonymi plecami, upychają go między kartki bogobojnych i poprawnych periodyków. Logika pozostała ta sama. Nadal należy deklarować głęboki, moralny protest przeciw istnieniu zgoła antychrysta, a obejść się bez niego nie sposób. Jerzy Urban jest tego oczywiście całkowicie świadomy. Byłby więc szalony, gdyby chciał zrezygnować z tak znakomitego statusu. Mnoży toteż prowokacje, płynie wciąż pod prąd, język ojczysty plugawi... Urban plugawi?

Funduje nam oto Anna Bojarska taki zbitek wyświechtanych i do znudzenia powtarzanych opinii o Urbanie:

„Gwiazdor-szmaciarz, Goebbels stanu wojennego, obsceniczna świnią, dystrybutor kloaki, stał się szanowanym obywatelem i poważnym biznesmenem, dającym ludziom zatrudnienie i rozrywkę. Już się go nie postawi pod pręgierzem, już nie można go lżyć bezkarnie. To jemu (...) wolno testować cierpliwość społeczeństwa, to jemu wolno lżyć i poniżać. Tej obscenicznej świni, szmaciarzowi, skatologowi, plującemu nam w oczy «czymś podobnym do substancji po żuciu tytoniu», i wycyganiającemu za to niezłe pieniądze, to jemu wolno wszystko. Wolno mu kłać «notorycznie» sprawy najświętsze. Choćby «największe autorytety moralne, których nam zazdrości cały świat»...”.

Urban plugawi? Zapewne. Ale uderz w stół, nożyce się odezwą. Pokalał nieco „największe autorytety moralne, których zazdrości nam cały świat”? Zapewne. Ale z wrzaskiem, kastetami i żądzą linczu rzuciła się na owe autorytety dopiero ta właśnie prawicowa, hałastra, która przed chwilą chciała wieszać Urbana. Przy czym tam, gdzie Urban kpił z poglądów, oni pobiegli zaglądać do rozporków, życiorysów dziadków i ubeckich teczek. Jak łatwo się domyślić, tym bardziej go nienawidzą. Gdy bowiem Urban ośmiesza innych, oni ośmieszają się sami, lejąc mu wodę na młyn. Urban rzecznik-klasyk służył pewnej opcji i pewnemu rządowi. Można było powiedzieć, że się sprzedał. Urban niezależny (też już klasyk) dopiero jest skandalem. Są tacy, którzy twierdzą, że nadal pociąga za sznurki. Nieprawda. Tylko od czasu do czasu uderza w stół, a nożyce szaleją już same. Rzekłbyś, że same mu się wpisują do karneciku, do chocholego tańca.

ocn

Ostatnio wydane książki Ludwika Stommy:

- \* Nalewka na Czereśniach
- \* Dzieje smaku
- \* Sławnych Polaków uczucia i śluby
- \* Polskie złudzenia narodowe
- \* Polskie złudzenia narodowe. Księgi wtóre
- \* A jeśli było inaczej. Antropologia historii

www.sens.rubikon.pl

■\

## Skandale polskie

### Spis treści

- str. 5 Wstęp, a właściwie wyjaśnienie
- str. 9 Przygody miłosne i matrymonialne króla Kazimierza
- str. 19 Królowa Jadwiga w opałach
- str. 27 Szalone małżeństwa Maryny Mniszech
- str. 37 Piławce - wszyscy uciekli, a nikt nie uciekł
- str. 45 Casanovą w Warszawie
- str. 57 Napoleon i piękna Polka
- str. 69 Ten dziwny Konstanty
- str. 79 Honor i ojczyzna to niezupełnie to samo
- str. 87 Barbara Ubryk - kłopotliwe tajemnice klasztoru
- str. 97 Franciszek Józef i Polka - żeby kochać, trzeba kupić miejscówkę
- str. 105 Zabójstwo Marii Wisnowskiej
- str. 117 Wóz Drzymały
- str. 129 Weredyk Latinik i strajk generałów
- str. 137 Fortuna Ciunkiewieżowej, która zafascynowała rodaków
- str. 145 Marszałek Piłsudski sejmem się nie przejmował
- str. 155 Wieniawa to jest siła wyższa
- str. 165 Słowo honoru, że Boga nie ma!
- str. 175 Sprawa Gorgonowej
- str. 187 Minister w ustępie
- str. 199 Słonimski - Ipohorski i ich dwie ojczyzny
- str. 205 Sprawa Cywińskiego
- str. 215 Górą nasi!
- str. 223 Jak herezje spadały z balonów
- str. 231 Poemat dla dorosłych
- str. 241 Porwanie i mord syna Bolesława Piaseckiego
- str. 247 Proces Wańkowicza
- str. 257 Cisi i gęgacze, czyli zamieszanie wokół pewnej „opery”
- str. 267 Skandaliczna interpelacja
- str. 279 Gest Kozakiewicza
- str. 287 Rzecznik Urban i jego sarkastyczny weredyzm

DEMART

W

POLSKI

i

Profesor Ludwik Stomma

adaia

9788374274227